ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

NR 6 (173) CZERWIEC 2013 CENA 14,70 ZŁ (w tym VAT 5%)
NAKŁAD 12 400

Laserem po Riese

olbrzymi krok naprzód

EXTREMALNE PENETRACJE

INDEKS 370110X ISSN 1505-6104

www.odkrywca.pl

VIKING - NAJWIĘKSZY WYBÓR WYKRYWACZY METALI W POLSCE

PROWADZIMY SPRZEDAŻ WYSYŁKOWĄ I RATALNĄ

ul. Radna 6 • 00-341 Warszawa • tel./fax 022 829 84 80
viking@viking.waw.pl • www.viking.waw.pl

CZERWIEC 2013

POSZUKIWANIA

3 **Ostatnia tajemnica Gontowej – laserowy raport**
Łukasz Orlicki

8 **Podziemia Lubania – przełamać impas**
Łukasz Orlicki

10 **Chrystus w kopalni, czyli co ma Rubens do hematytu (cz. 1)**
Krzysztof Krzyżanowski, Dariusz Wójcik

15 **Czeska rapsodia…**
Szczegóły operacji „Neptun" oraz sam fakt jej przeprowadzenia miały pozostać na zawsze utajnione. Prawda jednak wyszła na jaw o wiele szybciej, niż zakładano. Nie miało to już wówczas specjalnego znaczenia, gdyż efekt akcji przeszedł najśmielsze oczekiwania jej inicjatorów.
Piotr Maszkowski

20 **Zwisająca ręka maszynisty**
Nic nie wskazuje, że o katastrofie kolejowej, do której doszło na jednej ze stacji w wojennym Poznaniu, kiedyś dowiemy się czegoś więcej, niż wiemy dzisiaj. Historycy jednak, z uporem godnym lepszej sprawy, przypisują tę katastrofę działaniom AK. Tej samej, która nigdy nie przyznała się do kolejowej jatki w Borach Tucholskich. Dziś znamy sprawcę tej spektakularnej akcji polskiego podziemia…
Leszek Adamczewski

26 **Schaffgotschowie z Cieplic – za i przeciw Polsce**
Militarne epizody dolnośląskich rezydencji (cz. 6)
Szymon Wrzesiński

TAJEMNICE HISTORII

31 **Polityczny wulkan, czyli Góra św. Anny (Annaberg) cz. 2**
Dariusz Pietrucha

AKTUALNOŚCI/WYDARZENIA

38 **W boju i koszarach – żołnierski niezbędnik**
Dawid Dziama

40 **Polska i Ukraina: śmiertelny klincz (cz. 2) Wybaczyć – nie znaczy zapomnieć**
Piotr Galik

WĘDRÓWKI ODKRYWCÓW

44 **Miraże podziemnego muzeum**
Tomasz Rzeczycki

BATALIE I POTYCZKI

50 **Włoska Misja Wojskowa w Berlinie**
Leszek Molendowski

FORTYFIKACJE

54 **Punkt oporu w Krzyżowej, 1939**
Piotr Leonowicz

60 **Kanały forteczne MRU pomiędzy Bledzewem a Starym Dworkiem**
Petr Suchánek, Libor Martinú

KOLEKCJONERSTWO

66 **Kieszonkowa artyleria Jego Królewskiej Mości**
Pistolety i rewolwery w armiach I wojny światowej
Piotr Galik

KSIĘGARNIA ODKRYWCY

71 **Nowości czerwca w Księgarni Odkrywcy**

Okładka:
Wejście do sztolni nr 3 kompleksu Gontowa. Skanning laserowy WROGEO wnętrza sztolni nr 3. Zdjęcia: arch. redakcji „Odkrywcy"

Wydawca
Instytut Badań Historycznych
i Krajoznawczych sp. z o.o.
Prezes Zarządu: Magdalena Haber

Redakcja
ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław,
tel.: 71 329 71 85, 329 71 86,
fax: 71 328 83 71

Redaktor Naczelna
Izabela Kwiecińska
e-mail: kwiecinska@odkrywca-online.com
kwiecinska@odkrywca.pl

Zespół Redakcyjny
Piotr Maszkowski, Michał Cetnarowski
e-mail: redakcja@odkrywca.pl

Dział Fortyfikacje opracowuje i przygotowuje
Jerzy Sadowski

Stali współpracownicy:
Leszek Adamczewski, Marek Dudziak, Piotr Galik, Proteus, Janusz Skowroński, Wojtek Stojak, Tomasz Rzeczycki, Szymon Wrzesiński, Lech Zwirełło

Strona internetowa
www.odkrywca.pl

Twórca i administrator strony
Kazimierz Ruszel Bocianem zwany

Dział DTP
Cezary Chmielewski
e-mail: essperto@gmail.com

Dział Reklamy i Promocji
reklama@odkrywca.pl
tel. 71 329 71 71

Druk
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
37-100 Łańcut, ul. Podzwierzyniec 25

Konsultanci
Andrzej Bossowski – Geologia, Piotr Galik – Historia wojskowości, Maciej Kęszycki – Militaria, Krzysztof Krzyżanowski i Dariusz Wójcik – Górnictwo Dolnego Śląska, Aleksander Rostocki – Nieśmiertelniki, Marek Sokołowski – Numizmatyka, Wojtek Stojak – Eksploracja,

Grupa Eksploracyjna Miesięcznika „Odkrywca"
Koordynator – Łukasz Orlicki
gemo@odkrywca.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Zastrzegamy sobie także prawo przedruku nadesłanych tekstów i zdjęć w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Nie ponosimy odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie pośredniczymy w wymianie korespondencji. Przedruki artykułów i kopiowanie zdjęć – wyłącznie za zgodą redakcji.

Drodzy Czytelnicy

Czy wiecie co to jest skaning laserowy ? Nie? Nie martwcie się, większość z nas nie wie. Przepytałam na tę okoliczność wielu znajomych, i chociaż niektórzy całkiem nieźle radzili sobie z próbą odpowiedzi, to jednak zagadnienie okazało się zbyt trudne. I nie jest to dowód jakiejś szczególnej ignorancji. Otoczeni nowoczesną techniką i technologiami raczej staramy się używać ich osiągnięć w postaci urządzeń i aplikacji, niż podejmować wysiłek zrozumienia zasad ich działania. Zanim więc choć niektórzy z Was sięgną po internetowe źródła informacji o skaningu, warto postawić pytanie o jego związek z tematyką odkryć historycznych – a ściślej, z metodami i technikami badawczymi wykorzystywanymi we współczesnej eksploracji. Z pewnością rasowy poszukiwacz nigdy nie pozbędzie się łopaty jako atrybutu swej mozolnej pracy, świder wiertnicy dalej będzie zagłębiał się w skalnym zawale i rumowisku, ale urządzenia nowoczesnej techniki w coraz większym stopniu będą wchodziły w skład niezbędnego zestawu badawczego, zmieniając kształt współczesnej eksploracji. O tym czym jest skaning laserowy, a także o innych technikach badawczych i problemach jakie muszą znaleźć rozwiązanie w toku podejmowanych działań poszukiwawczych pasjonująco pisze Łukasz Orlicki w artykułach o badaniach na Gontowej i pod Górą Kamienną w Lubaniu prowadzonymi ze współuczestnictwem naszej Grupy Eksploracyjnej – to swoisty raport z pola walki z przeciwnościami mnożonymi przez okoliczności i naturę chciwie skrywającą zagadki przeszłej aktywności budowniczych III Rzeszy.

Podobnie interesująco i – aż się prosi napisać – dogłębnie, badają dolnośląską kopalnię hematytu Krzysztof Krzyżanowski i Dariusz Wójcik, w pierwszej części większego materiału poświęconego poszukiwaniom bezcennych dzieł malarstwa, wywiezionych ze zbiorów warszawskiego Muzeum Narodowego przez hitlerowskich grabieżców. Ślady wiodą do Sichowa i majątku sławnego Manfreda von Richthoffena oraz wspomnianych sztolni kopalnianych. O utraconym dziele Petera Paula Rubensa oraz innych niemniej wartościowych obrazach, które upodobał sobie sam Hans Frank, piszą Autorzy z wnikliwością i detektywistyczną pasją – Chrystus w kopalni, czyli co ma Rubens do hematytu – naprawdę nie można przeoczyć tego artykułu.

Napisałam nieco o możliwościach zastosowania nowoczesnej techniki we współcześnie prowadzonych badaniach eksploracyjnych, nie zapominając wszakże o żmudnych kwerendach po różnorodnych zasobach dokumentalnych i archiwalnych, które zazwyczaj poprzedzają wszelki wysiłek badawczy. Dostęp do archiwów, to stała potrzeba i konieczność dla każdego zajmującego się historią. Wszelkie ograniczenie w tej materii jest szczególnie dolegliwe. Okazuje się, że ta najzupełniej oczywista prawda może być nakładem znacznych zabiegów (w tym dyplomatycznych) złożona na ołtarzu polityki, mającej na celu nie tyle poszukiwanie prawdy, a przeciwnie – jej ukrycie.

„Gazeta Wyborcza" ujawniła właśnie w oparciu o książkę niemieckiego historyka M. Herwiga fakt, że rząd Republiki Federalnej Niemiec przez całe lata torpedował chęć przekazania przez USA przejętych tuż po wojnie archiwów NSDAP. Okazuje się, że Stany Zjednoczone gotowe były do tego już w 1967 r. uznając – słusznie bądź nie – że proces denazyfikacji został zakończony. Republika Federalna robiła wiele, by archiwa pozostały zamknięte w Stanach. Wiemy, że skutecznie. Ostatecznie wspomniane archiwa otworzono dopiero w roku 1994, i co jakiś czas przynoszą nowe niespodzianki. Taką, jak ta właśnie ujawniona. Istotą problemu wydaje się być właśnie denazyfikacja. To, że przeprowadzono ją w Niemczech niezwykle pobieżnie jest i było publiczną tajemnicą, ale skala zaniechań w tej materii poraża, niemniej jak oczywiście intencjonalny ich charakter. Być może sprawę ujawnioną przez „Gazetę" potraktowałabym refleksją bardziej ogólną, gdyby nie artykuł nad którym pracował właśnie Piotr Maszkowski – tekst publikujemy w tym właśnie numerze „Odkrywcy". „Czeska rapsodia", to gra wywiadów z denazyfikacją w tle – kto pisał partyturę, jakie dźwięki były fałszywe, czy tonację wybrano właściwie i co się stało z kompozytorem –dowiecie się po lekturze, do której serdecznie zapraszam. Muzyka podobno łagodzi obyczaje – „Odkrywca" może pokazać je takimi jakie są – bez retuszu. Z historyczną ostrością i wiernością obrazu.

Zapraszam

I na koniec jeszcze prośba – o chwilę wspomnienia – 9 maja zmarł dr Cezary Chlebowski –pisarz i publicysta, piewca Polskiego Państwa Podziemnego. Pamiętajmy.

Izabela Kwiecińska

Znajdź nas na:
http://www.facebook.com/Odkrywca

Ostatnia tajemnica Gontowej – laserowy raport

TEKST I ZDJĘCIA: ŁUKASZ ORLICKI

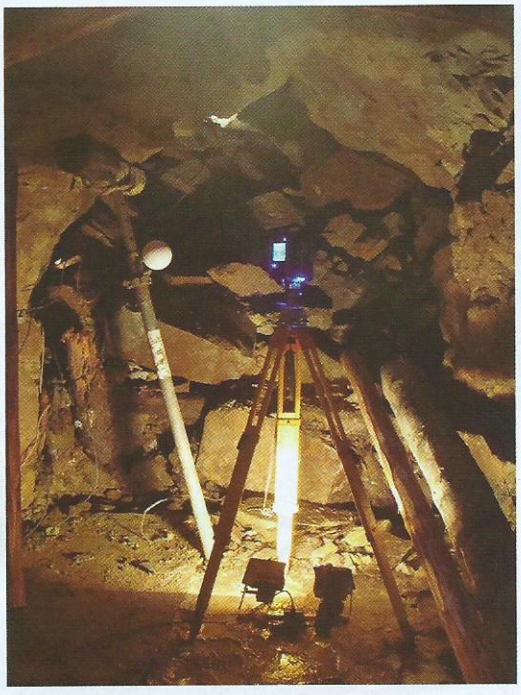

W maju 2013 roku minęły dwa lata od chwili, gdy rozpoczęto górnicze odkopywanie olbrzymiego zawału, jaki zamykał wejście do sztolni nr 3. Do dzisiaj udało się odsłonić 145 m głównego chodnika i prawie 90 m korytarzy bocznych, pokonując przy tym trzy solidne zawaliska. Na odkopanie czeka sześć zawalisk, które strzegą drogi do dalszych części podziemi. W trakcie trwania całego projektu, rozpoczętego wierceniami pod koniec 2008 roku, zastosowano całą gamę różnorodnych metod i technik badawczych, zaczynając od najbardziej tradycyjnych – kilofa i łopaty, przez znany od lat georadar, po pierwsze w Górach Sowich głębokościowe wiercenia, kończąc na laserowym skaningu.

Zlokalizowany w pobliżu Ludwikowic Kłodzkich podziemny kompleks określany mianem „Gontowa" bądź „Sokolec" (obydwie nazwy zostały nadane przez polskich badaczy – przyp. Ł.O.), powstawał na uboczu innych podziemi budowanych w ramach niemieckiego projektu „Riese". Nie znamy przeznaczenia kompleksu, ani planowanych i faktycznych rozmiarów części podziemnej i naziemnej. Nie zachowały się na ten temat żadne wiarygodne informacje, a nieliczne relacje jakimi dysponujemy, odnoszą się raczej do ciężkich warunków jakie panowały w obozie pracy. Podobnie jak w innych kompleksach „Riese", Niemcy jako niewolniczą siłę roboczą wykorzystywali więźniów, jeńców wojennych i robotników przymusowych. Na Gontowej prawdopodobnie większość prac wykonywali więźniowie AL Falkenberg, położnego tuż przy drodze wiodącej w kierunku masywu. Oni też stanowią największą liczbę ofiar. Przez co najmniej osiem miesięcy 1944/45 roku umierali z wyczerpania, zimna, głodu oraz w wyniku mordów i znęcania się niemieckich strażników.

Na przełomie stycznia i lutego 1945 r. prace przy kompleksie musiały zostać wstrzymane, z uwagi na przeprowadzoną w morderczych warunkach ewakuację więźniów AL Falkenberg. Od tego momentu nie mamy już żadnych pewnych informacji. Nie wiemy, co wydarzyło się tu w czasie ostatnich miesięcy wojny, nie znamy również szczegółów działalności żołnierzy Armii Czerwonej, którzy wkroczyli na te tereny w maju 1945 roku. Po wojnie pozostałości budowy na Gontowej nie zostały opisane w żadnych oficjalnych raportach przedstawicieli władz cywilnych i wojskowych. Nie wspominał o nich ani spis Anatola Demczuka, kierownika Referatu Wojskowego Starosty Wałbrzyskiego z 1946 r., ani listy sporządzane przez nadleśniczego A. Grzywacza do Dyrekcji Lasów Państwowych. Milczały na ten temat inwentaryzacje wojskowe i metryki obiektów podziemnych kpt. Niewęgłowskiego z 1949 roku. Gontowa nie znalazła się również na listach wojskowych z lat 50. odnoszących się do wykorzystania militarnego sowiogórskich podziemi. Sztolniami nie zainteresowały się także komórki terenowe Przedsiębiorstwa Poszukiwań Terenowych, choć ślady ich działalności można odnaleźć w pobliskich Ludwikowicach Kłodzkich. Jednak podziemia Gontowej nie zostały zupełnie „zapomniane". Niemal od chwili, gdy zostały opuszczone przez Niemców, stały się obiektem zainteresowania innych osób – nastoletnich mieszkańców okolicznych miejscowości, szabrowników, różnej maści niespokojnych duchów i pierwszych poszukiwaczy.

Obecnie znane są jedynie cztery wejścia wydrążone w górze w okresie II wojny światowej. Sztolnie nr 1 i 2 – znajdują się po północnej stronie Gontowej, na poziomie ok. 640 m n.p.m. Kryją dwa równoległe korytarze ze śluzami-wartowniami połączone w głębi wyrobiska siecią krótkich tuneli, oraz pomieszczenia o większych wymiarach i ok. 5-metrowej wysokości określane często „halami". Całość została spenetrowana, jak również skartowana i opisana. Dzisiaj są odcięte zabezpieczającymi kratami. Sztolnie nr 3 i 4 znalazły się dużo niżej, na poziomie ok. 580 m n.p.m. i około 500-600 metrów w linii prostej od wyżej położonych podziemi. Z ich przebiegiem oraz momentem, gdy zostały odcięte, związane były najbardziej barwne legendy dotyczące podziemi na Gontowej. Zagadkę sztolni nr 4 udało się rozwiązać w latach 90., gdy została po raz pierwszy odkopana przez Grupę Poszukiwawczą „Kret". Niewielki stosunkowo zawał blokujący wejście udało się pokonać po kilkunastu godzinach pracy kilku osób. W środku prostego, 100-metrowego chodnika odnaleziono tory, wentylacyjną lutnię i wagonik służący do przewożenia podkładów.

Sztolnia nr 3

Miejsce to budziło i budzi największe emocje ze wszystkich podziemnych wyrobisk Gontowej. Wg relacji okolicznych mieszkańców, przez krótki czas po zakończeniu działań wojennych sztolnia była dostępna, a obetonowane korytarze miały ciągnąć się kilometr w głąb góry, kryjąc różnego rodzaju zagadkowe i niezbadane przejścia. Być może pierwszym powojennym eksploratorem sztolni był p. Bohdan Grabowski, żołnierz AK i 2. Armii WP, który po wojnie pełnił na tym terenie funkcje administracyjne. Wspominał on, iż na podstawie informacji przekazanych przez austriackiego inżyniera Moschnera, i przy pomocy kilku niemieckich robotników, zorganizował,

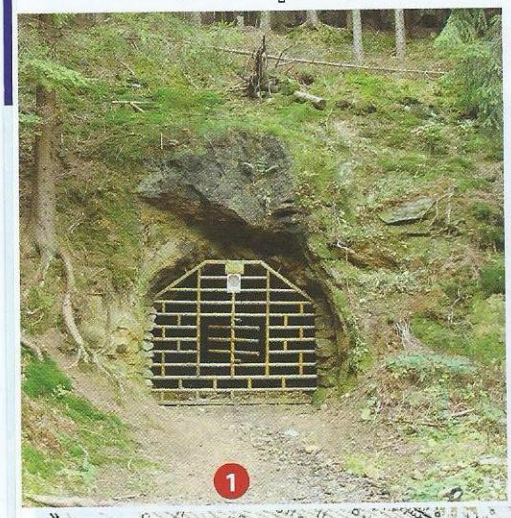

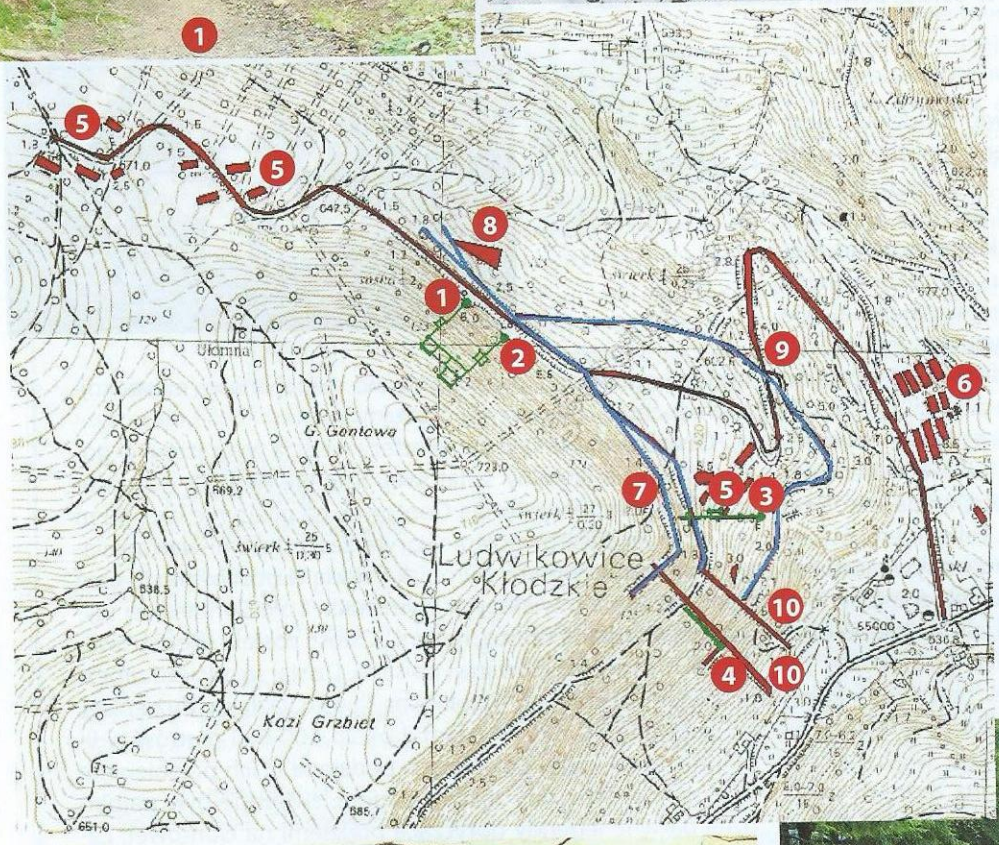

Mapa z naniesionymi pozostałościami po kompleksie „Gontowa".
1. Sztolnia nr 1.
2. Sztolnia nr 2.
3. Sztolnia nr 3.
4. Sztolnia nr 4.
5. Pozostałości fundamentów nieznanych budowli.
6. Pozostałości fundamentów baraków AL Falkenberg.
7. Kolor niebieski – przypuszczalny przebieg torów kolejki wąskotorowej.
8. Trójkątny nasyp w pobliżu sztolni 1 i 2.
9. Mur oporowy zabezpieczający newralgiczne skrzyżowanie.
10. Nasypy po pochylniach z torowiskiem, którymi za pomocą platformy trasportowano materiały na poziom sztolni.

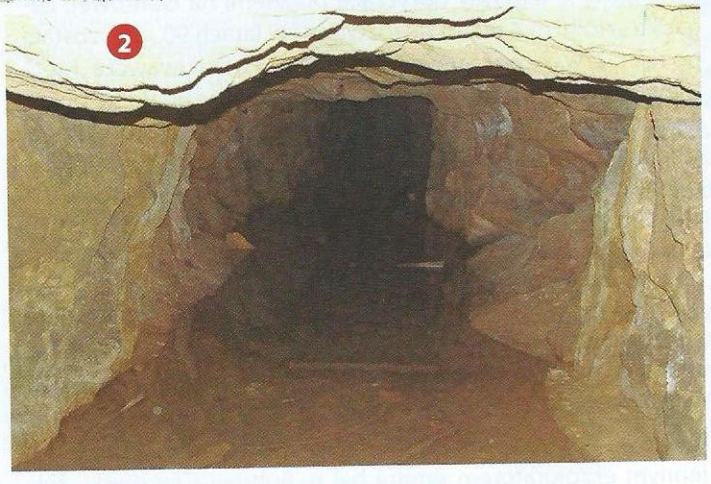

prawdopodobnie jesienią 1945 r., próbę przekopania jednego z korytarzy. Chodnik ten miał zostać wysadzony przez niemieckich żołnierzy tuż przed ewakuacją AL Falkenberg i przerwaniem robót w podziemiach. Próba odkopania jednej z odnóg głównego chodnika zakończyła się niepowodzeniem. Ciężkie warunki, kruchy i niestabilny piaskowiec, w jakim wykuto podziemia, spowodowały, że prace musiały zostać przerwane. Sam inicjator poszukiwań Bohdan Grabowski został wkrótce potem

aresztowany przez funkcjonariuszy UB i skazany na 12 lat więzienia za sprzeciwianie się „władzy ludowej" oraz przynależność do AK. Gdy po latach powrócił pod znane sobie wejście, stwierdził, że zostało wysadzone, grzebiąc za potężnym zawałem swoją tajemnicę. Do dzisiaj nie udało się ustalić kto, z jakiego powodu, i kiedy wysadził wejście do sztolni. Wydarzyło się to prawdopodobnie pod koniec 1945, bądź na początku 1946 roku. Powtarzanym do dzisiaj przekazom o jej przebiegu, wyglądzie i okolicznościach wysadzenia, towarzyszył informacyjny chaos, z którego wyodrębnienie wiarygodnej wersji było praktycznie niemożliwe.

Od czasu „poszukiwań Grabowskiego", czyli od lat 40. sztolnia stała się wielokrotnie obiektem zainteresowania wielu badaczy, eksploratorów, poszukiwaczy, historyków i pasjonatów tajemnic. Licząc tylko najbardziej zaawansowane akcje, wyrobisko próbowano odkopać co najmniej kilkanaście razy, przy czym pierwsze działania miały miejsce już w latach 50. Większość z nich podejmowano od strony wejścia, ale próbowano również dostać się do środka od góry, poprzez przekopanie w pionie olbrzymiego zapadliska spowodowanego wysadzeniem. Jednak mimo zaangażowania i zapału dwóch pokoleń eksploratorów efekt za każdym razem był ten sam. Zbity zawał, zlepiony lepkim piaskowcem, z którego przy próbach usuwania wypływały znaczne ilości wody, wydawał się nie do pokonania. Tę sytuację przerwał dopiero projekt podjęty przez Przedsiębiorstwo Budowlane „Margo", właściciela leżącego u stóp Gontowej Centrum Rekreacyjno-Konferencyjnego „Harenda".

Worki ze skamieniałym cementem znajdujące się pomiędzy dwoma poziomami sztolni.

Skaning WROGEO. Rzut boczny skrzyżowania na 130 m. Materiał zalegający spąg odpowiada oberwanemu stropowi.

Skaning WROGEO. Przekrój przez korytarz główny i widok na oberwaną wysadzeniem część prawej śluzy–wartowni. Pomiar wysokości obecnego stropu końcówki śluzy do spągu wynosi 12 metrów.

Skaning – rzut na całą sztolnię nr 3.

Odkopywanie sztolni – pierwszy etap projektu

Jesienią 2008 r. „Odkrywca", wspólnie z firmą „Margo", zorganizowali pierwsze w Górach Sowich głębokościowe odwierty. Maszyna firmy „GeoBlast" wykonała ponad 20 wierceń na głębokość ok. 24 metrów. W ostatnim z nich trysnął potężny słup wody – co oznaczało, że udało się natrafić na kontynuację sztolni. Wyrobisko okazało się całkowicie zalane, co więcej, wypełnione rozpuszczonym piaskowcem uniemożliwiającym odczyt z kamery. Niemniej jednak na podstawie tych wyników sporządzony został plan odkopania sztolni. Firma „Margo" zdecydowała się na jak dotąd najdłuższy i naj-

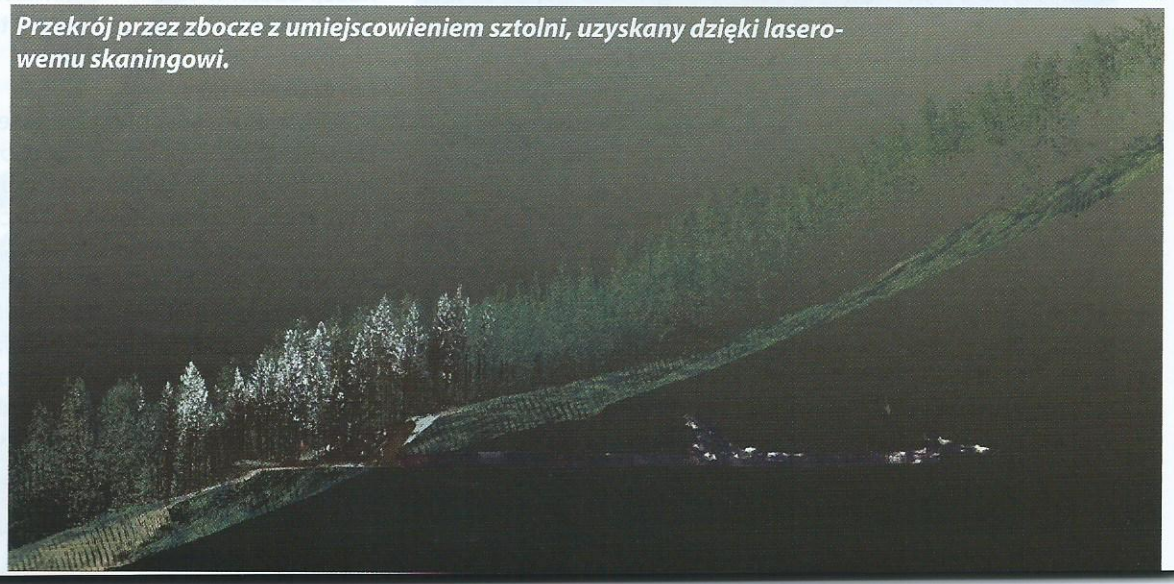

Przekrój przez zbocze z umiejscowieniem sztolni, uzyskany dzięki laserowemu skaningowi.

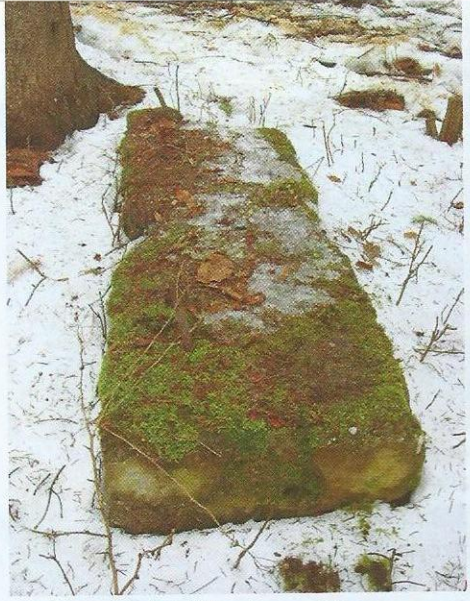

Pozostałości fundamentów przy wejściu do sztolni nr 3.

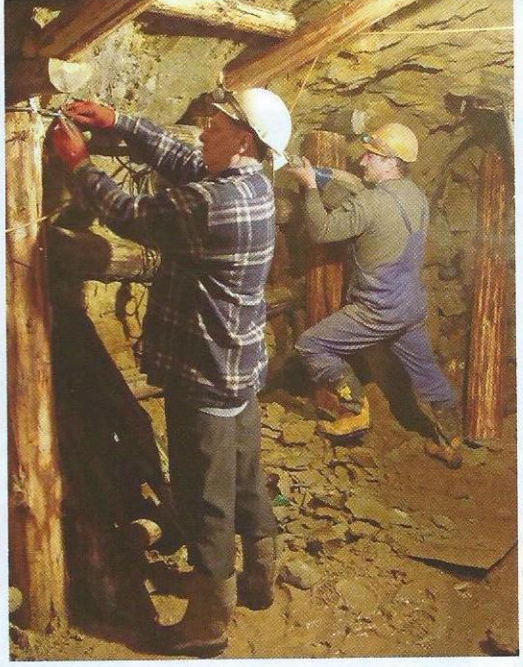

Górnicy podczas pracy przy końcowym odcinku sztolni.

bardziej kosztowny projekt eksploracyjny w Górach Sowich, polegający na mozolnym, górniczym przekopaniu olbrzymiego zawału blokującego wejście. Przez kilka miesięcy przygotowywano teren przed sztolnią, porządkowano platformę, przekopywano odwodnienie i budowano infrastrukturę. W maju 2011 r. rozpoczęły się pierwsze górnicze prace. Przez następne miesiące średnie tempo przebijania się przez ciasny, zbity zawał wynosiło ok. pół metra dziennie. 6 IX 2011 r. około 33-metrowy zawał spowodowany wysadzeniem został pokonany. Okazało się, że jest to dopiero początek.

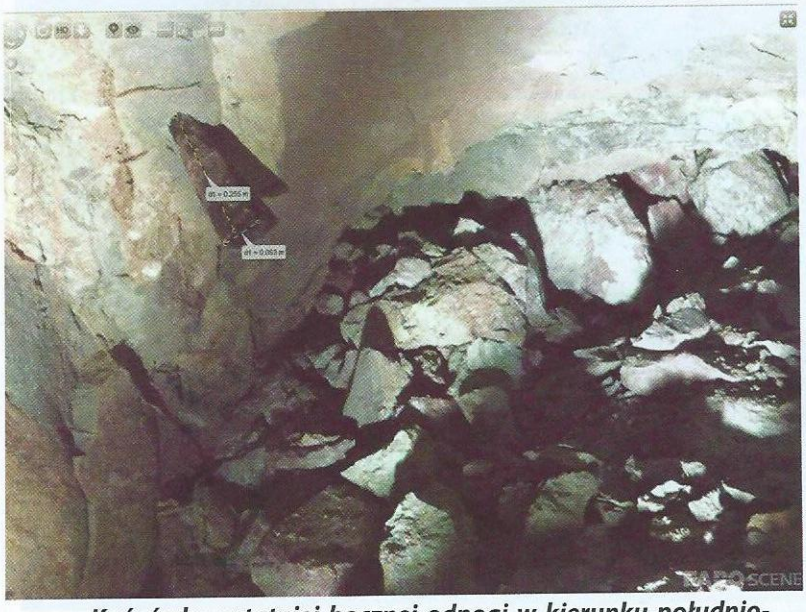

Końcówka ostatniej bocznej odnogi w kierunku południowym. Obraz uzyskany dzięki skaningowi umożliwia przeprowadzenie pomiarów poszczególnych przedmiotów.

Obecnie, po dwóch latach od rozpoczęcia prac przy pierwszym zawale, zostały pokonane jeszcze dwa kolejne, przecinające główną oś sztolni. Całość metrażu odkrytych chodników zamyka się liczbą ok. 230 metrów bieżących. Jednocześnie zagadka sztolni ciągle pozostaje do końca nie rozwiązana, bowiem istnieje jeszcze 6 kolejnych zawałów blokujących dojście do następnych części podziemi. Który z nich jest zawałem spowodowanym przez Niemców? Na razie wszystkie odkryte do tej pory partie podziemi są puste. Prawdopodobnie przed powojennym wysadzeniem pracowicie oczyszczono je z wszelkich możliwych do wykorzystania urządzeń i przedmiotów. Usunięto okablowanie, wentylację i tory kolejki, pozostawiając jedynie drewniane podkłady. Podczas inwentaryzacji kolejnych odkrywanych chodników natknęliśmy się jedynie na ślady odciętej instalacji, pozostałości kul z łożyska obrotnicy, puszki rozgałęźników, śruby, metalowe kotwy i fragmenty potrzaskanej oryginalnej obudowy. Tylko w odgałęzieniu prawej komory – będącej śluzą lub wartownią – pod naruszonym górotworem znajdują się metalowe szyny świadczące o zawaleniu tego fragmentu, być może jeszcze za czasów niemieckich. Jednak kierunek prowadzenia następnych etapów prac stoi ciągle pod znakiem zapytania, przyczyną są piętrzące się trudności, a co za tym idzie, rosnące koszty prowadzonych prac. Aby ocenić możliwości kontynuacji badań w sztolni na Gontowej, zdecydowaliśmy się na zastosowanie mało dotąd znanej technologii.

Badania na zewnątrz określające przebieg sztolni w stosunku do pozostałości fundamentów na powierzchni.

Lasery i skanery

Od wielu lat technologia laserowego skaningu znajduje coraz szersze spektrum zastosowania w przemyśle, w różnych dziedzinach gospodarki, pracach budowlanych, czy inwentaryzacjach architektonicznych. Nic dziwnego zatem, że nadszedł czas, aby również stała się znakomitym narzędziem do wykorzystania w eksploracji i historycznych badaniach. Dzięki firmie WROGEO z Wrocławia, której właściciele zdecydowali się nieodpłatnie przeprowadzić całość badań, w marcu 2013 r. sztolnia nr 3, wraz z otaczającym ją terenem, została poddana procesowi laserowego skaningu. Jego efekty może dziś zobaczyć każdy z czytelników „Odkrywcy". Technologia

ta pozwala na uzyskanie pełnego obrazu skanowanej powierzchni i informacji o kształtach obiektów. Polega ona na laserowym pomiarze odległości, gdzie w ciągu kilkunastu minut skanery zapisują położenie milionów punktów odzwierciedlających otaczającą skaner przestrzeń. W trakcie specjalnej komputerowej obróbki, uzyskuje się pełny trójwymiarowy obraz mogący być dowolnie przetwarzany, przy czym każdy zapisany punkt zawiera informację o swoim położeniu w przestrzeni.

W przypadku sztolni na Gontowej, dzięki tej metodzie, można było obliczyć wysokość potencjalnych zawalisk i stopień trudności ich przebicia, a także pozyskać pełny rzut poziomy sztolni, co w przypadku zniekształceń spowodowanych jej wysadzeniami nie jest łatwe do uzyskania standardowymi metodami. W efekcie przeprowadzenia skaningu uzyskaliśmy czytelny obraz przebiegu korytarzy oraz dodatkowe dane, takie jak głębokość pod powierzchnią ziemi, na jakiej znajdują się poszczególne odcinki wyrobiska. Niektóre dane okazały się szokujące. Prawa odnoga będąca częścią śluzy-wartowni (z torowiskiem), po wszystkich wysadzeniach została pogrzebana pod 12. metrami skały! Wszelkie prace jakie będą w tym miejscu kiedykolwiek podejmowane, będą bardzo trudne i ryzykowne. Podobnym, choć mniejszym zniekształceniom uległo skrzyżowanie położone 130 metrów od głównego wejścia. Obecnie trwa analiza danych, a z początkiem czerwca rozpocznie się kolejny etap odkrywania tajemnic sztolni nr 3 na Gontowej.

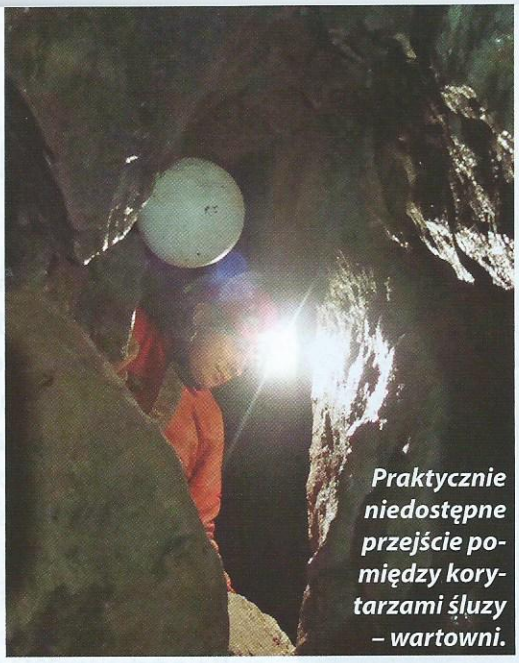

Praktycznie niedostępne przejście pomiędzy korytarzami śluzy – wartowni.

Laserowy skaning został przeprowadzony dzięki uprzejmości firmy WROGEO, która wyniki analizy przekazała w całości organizatorom przedsięwzięcia: firmie „Margo" i CRK „Harenda" oraz miesięcznikowi „Odkrywca". Serdecznie dziękujemy za okazaną pomoc.

Działania Grupy Eksploracyjnej Miesięcznika „Odkrywca" wspomagane są przez stale współpracujące z GEMO firmy specjalistyczne:

Dräger GRALmarine HELIKON-TEX.com ARPOL www.arpol.net.pl

Literatura:

1. M. Aniszewski, „Podziemny świat Gór Sowich", Kraków 2002
2. Ł. Kazek, B. Rdułtowski, „W kręgu tajemnic »Riese«", Kraków 2008
3. J. Kowalski, R. Kudelski, Z. Rekuć, „Tajemnica »Riese«", Kraków 2009
4. D. Sula, „Arbeitslager Riese – Filia KL Gross-Rosen", Wałbrzych 2003

REKLAMA

WYKRYWACZA JUŻ NIE SZUKAJ... WŁAŚNIE GO ZNALAZŁEŚ!

RUTUS *Argo*

Argo i Optima z sondami 29 cm w specjalnej cenie

- Automatyczne strojenie do gruntu
- Regulacja częstotliwości od 6329 Hz do 6944 Hz
- Możliwość regulacji reakcji na kamienie magnetyczne
- Identyfikacja cyfrowa w zakresie -90 + 90
- Dyskryminacja klasyczna i wybiórcza (20 pozycji)
- Czułość regulowana (48 poziomów)
- Pinpoint z podawaniem głębokości dla monet - pomiar niezależny od czułości
- Możliwość ułożenia własnego programu dźwięków
- Regulacja szybkości reakcji
- Praca dynamiczna, statyczna i jednoczesna

RUTUS DETEKTORY METALI

Gdynia
tel.: 058 - 679 33 14, 0601 284 371
e-mail: rutus@rutus.com.pl, www.rutus.com.pl

Podziemia Lubania – przełamać impas

TEKST: ŁUKASZ ORLICKI
ZDJĘCIA: AUTOR, ARKADIUSZ WILCZYŃSKI

Obserwowanie wyników. Sztolnia odnaleziona!

W maju 2013 roku wspólnie ze Stowarzyszeniem Miłośników Górnych Łużyc ponownie spróbowaliśmy zweryfikować informacje dotyczące tajemnicy dużego, podziemnego schronu umieszczonego pod Górą Kamienną w Lubaniu. Tym razem za pomocą odwiertów przeprowadzonych przez firmę Maxam, przy wsparciu Sowiogórskiej Grupy Poszukiwawczej. Jest to jedynie pierwszy etap zaplanowanej na ten rok akcji odkopania schronu od strony ulicy Parkowej.

Od sierpnia 2011 roku w kolejnych artykułach Tomasza Bernackiego i Janusza Skowrońskiego, ukazujących się pod wspólnym tytułem „Co kryje podziemny Lubań", poznawaliśmy stopniowo szczegóły intrygującej historii. Związana ona była z domniemanymi podziemiami pod Kamienną Górą – wzniesieniem górującym nad Lubaniem[1]. Według dotychczasowych informacji Niemcy planowali ulokować schron przeciwlotniczy w kilkusetmetrowej długości sztolniach, wykutych pod bazaltowym stożkiem wulkanu wygasłego miliony lat temu. Dla kogo schron był przeznaczony i jakie funkcje pełnił podczas zaciekłych walk o Lubań – na razie pozostaje zagadką. Tajemnicą jest również stan podziemi, stopień ich wykonania oraz… zawartość. Nikt bowiem nie jest w stanie podać jakiejkolwiek wiarygodnej informacji dotyczącej tego, co w schronie mogło zostać zdeponowane bądź porzucone.

Luftschutzstollenbau

Impulsem do podjęcia działań zmierzających do dotarcia wewnątrz podziemi, był, odnaleziony w Archiwum Państwowym w Lubaniu przez p. Tomasza Bernackiego, plan zatytułowany „Luftschutzstollenbau am Steinberg, Lauban, Schlesien". Mimo drobiazgowych poszukiwań jest to na razie jedyny materiał archiwalny dotyczący tego obiektu. Obok dokładnych wymiarów i szczegółów rozlokowania pomieszczeń, zawiera istotną informację – datę: „*28.7.44*", widniejącą na rysunku obok wejściowej śluzy. Odnosi się ona prawdopodobnie do okresu budowy tego fragmentu schronu.

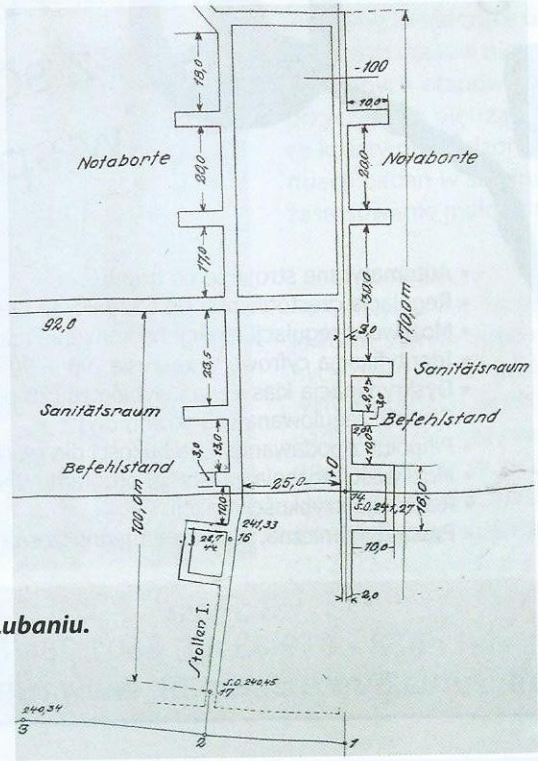

Plan schronu pod Kamienną Górą w Lubaniu.

Na przełomie 2011/2012 roku Stowarzyszenie Miłośników Górnych Łużyc wspólnie z „Odkrywcą" i Stowarzyszeniem „Perkun" podjęło próbę dotarcia do wnętrza schronu[2]. Według archiwalnego planu do środka można się było dostać czterema wejściami. Dwoma od ul. Parkowej oraz jednym, od strony ul. Strzeleckiej i od strony kamieniołomu. Dokładna analiza terenowa wykazała, iż najłatwiejsza droga prowadziła od strony ul. Strzeleckiej, gdzie miało znajdować się wejście zapasowe, ciągnące się długim, prostym korytarzem do centralnej części schronu. Sam wlot został wysadzony w nieznanych okolicznościach. Jesienią 2011 r. podjęte zostały kilkuetapowe czynności: badania georadarowe, odwierty sondażowe i ostatecznie, w styczniu 2012 r., odkopanie wejścia. Okazało się, że zamiast długiego korytarza odnaleźliśmy 40-metrowy odcinek chodnika wraz z torowiskiem, dwoma wagonikami i metalową rurą doprowadzającą niegdyś sprężone powietrze do górniczych młotów. Akcja ta pozwoliła wyciągnąć kilka wniosków. Przede wszystkim stan odkrytego wyrobiska był bardzo dobry. Poprowadzony w większości w twardym bazalcie korytarz nie wymagał obudowy. Ponadto wiedzieliśmy już, że prace przy budowie schronu nie zostały w pełni ukończone, jednak fakt, iż nie wykonano długiego, 290-metrowego odcinka mającego stanowić tylko wyjście zapasowe, nie przesądzał o istnieniu w centralnej części większego zespołu podziemnych pomieszczeń. Być może wyjście zapasowe wykonywano w ostatniej niedokończonej fazie prac? Chcąc kontynuować badania, musieliśmy poszukać innego sposobu rozwiązania lubańskiej tajemnicy.

Z pozostałych wejść najmniej dogodne jest wejście od strony kamieniołomu, przysypane tonami bazaltowej skały. Wydawało się, że dużo prościej będzie spróbować dostać się od strony ul. Parkowej, od której na niemieckim planie poprowadzono sztolnie nr 1 i 2. Jednak prościej nie oznacza łatwo. Podjęta w stycz-

Wiercenie 11 maja 2013 roku. 60 metrów od wejścia.

niu 2012 r. próba odkopania wejścia zakończyła się połowicznym sukcesem. Po kilku godzinach kopania ciężkim sprzętem, łyżka koparki najpierw wyciągnęła fragmenty drewnianych desek, potem części obudowy górniczej, odprysk niemieckiego kabla, by ostatecznie zazgrzytać o tory. Niestety, wznosząca się stromo nad wykopem gliniasta skarpa, której nie można było wystarczająco ściąć z obawy o zarastające zbocze drzewa, nie była zbyt stabilna. Nie było więc mowy, aby w tych warunkach odkopać wejście na tyle, by można było ocenić stan wyrobiska. Po wykonaniu kilku fotografii wejście ponownie skryło się za obsypującym się ze ściany materiałem. Kolejne próby odkopania nie dały większych rezultatów. Z pewnością na odcinku ok. 10 metrów korytarz schronu był poprowadzony w miękkiej gliniastej warstwie, która spowodowała zawalenie. Wznosząca się skarpa i zarastające ją drzewa nie pozwalają na prowadzenie większych prac metodą odkrywkową. Pozostaje jedynie kosztowne górnicze odkopywanie sztolni. W badaniach nastąpił impas, przerwany dopiero w maju br.

Wiercenia od strony ul. Parkowej

Podstawowym celem majowych badań stało się potwierdzenie, czy w dalszej odległości od miejsca ostatniej akcji eksploracyjnej istnieją drożne podziemne korytarze. Bowiem według wspomnień okolicznych mieszkańców, po wojnie wejścia od strony ul. Parkowej były dostępne na niewielkim 10-15 metrowym odcinku. Dopiero dalsze partie schronu kryły się za dużymi zawałami, których nikt po wojnie nie pokonał. Stopień nachylenia zbocza spowodował, że mogliśmy zastosować wiertnicę dopiero w sporej, ok. 60-metrowej odległości od wejścia, w miejscu, gdzie wg planu miała znajdować się typowa dla schronów p.lot. śluza zbudowana na planie kwadratu. Niestety, wymagało to przewiercenia ok. 24 metrów bazaltowej skały, co przy możliwych skutkiem wierceń odchyleniach od pionu, rzędu 1,5-2 metrów, powodowało, że zadanie „trafienia w sztolnię" stawało się bardzo trudne.

Przygotowanie kamery GRALmarine

11 maja br. od wczesnych godzin rannych maszyna firmy Maxam prowadziła wiercenia w miejscu wytypowanym przez Tomasza Bernackiego z SMGŁ. Przystosowana jednak specjalnie do pokonywania twardych skał, napotkała na niespodziewanej głębokości ok. 11 metrów na warstwę iłów, co wymusiło korektę planów i przesunięcie odwiertu o kilka metrów w stronę „centrum" schronu. Okazało się to bardzo dobrą decyzją. Bowiem dwa kolejne odwierty dotarły przez bazalt do głębokości ok. 21-22 metrów, gdzie wiertnica napotkała na pustkę. W pierwszym odwiercie okazało się nią dziwne przeluźnienie, natomiast w drugim, niewątpliwie sztolnia! Po przebiciu stropu wiertnica przedostała się przez pustkę, i po dwóch metrach trafiła na głębokości 24 metrów w twarde podłoże. Do odwiertu natychmiast wprowadziliśmy kamerę do badań GRALmarine. Jednak brak tzw. orurowania odwiertu sprawił, że wycofujące się z otworu wiertło spowodowało częściowe obsypanie się luźniejszego materiału skalnego. Otwór w stropie sztolni, którym kamera miała dostać się do środka, okazał się bardzo trudny do pokonania. Ostatecznie operujący kamerą Paweł Piątkiewicz wprowadził ją do środka. Niestety, już pierwsze ujęcia pokazały, że sztolnia jest całkowicie zalana, a stopień zanieczyszczenia wody pyłem i materiałem z odwiertu nie pozwala na uzyskanie wyraźnego obrazu. Pozostaje nam jedynie ufać efektom pracy wiertnicy, która trafiła we właściwym miejscu, i na odpowiedniej dla planów głębokości, w dwumetrowej wysokości pustkę. Może nią być jedynie sztolnia podziemnego schronu.

W następnych tygodniach przeprowadzone zostaną kolejne serie odwiertów na całej długości korytarza, już przy zastosowaniu odpowiednich zabezpieczeń, dzięki czemu uda się uzyskać wyraźne zdjęcia zawartości i stanu zachowania podziemnych korytarzy. Potem przyjdzie czas na decyzję o kolejnym etapie prac – górniczym odkopywaniu wejść od strony ul. Parkowej.

Organizatorzy akcji dziękują za pomoc Sowiogórskiej Grupie Poszukiwawczej i firmie Maxam oraz Panu Andrzejowi Juncewiczowi, właścicielowi motelu „Łużycki" w Lubaniu.

Działania Grupy Eksploracyjnej Miesięcznika „Odkrywca" wspomagane są przez stale współpracujące z GEMO firmy specjalistyczne:

Dräger GRALmarine HELIKON-TEX.com ARPOL www.arpol.net.pl

Przypisy:
[1] „Odkrywca" nr: 8, 9, 10, 12/2011
[2] „Odkrywca" nr 2/2012

Chrystus w kopalni, czyli co ma Rubens do hematytu (cz. 1)

TEKST: KRZYSZTOF KRZYŻANOWSKI, DARIUSZ WÓJCIK
ZDJĘCIA: AUTORZY

Zazwyczaj stronimy od szeroko rozumianej tematyki skarbowej, wierząc, że bardziej szanowani Autorzy zajmą się lepiej tą tematyką, a Naczelnej wystarczą nasze materiały o podziemnych kopalniach bez skrzyń wypełnionych sztabkami złota i jajkami Fabergé. Okazuje się, że elitarna skądinąd przynależność do Grupy Eksploracyjnej Miesięcznika „Odkrywca" zobowiązuje także do podporządkowania się bezwzględnym rozporządzeniom Komendanta Grupy. Wytyczne przyszły jasne i stanowcze: w jednej z miejscowości na Dolnym Śląsku miano przechowywać cenne depozyty w postaci dzieł sztuki. Pod koniec wojny podjęto rzekomo działania zmierzające do ich ukrycia. Według pewnej, sensacyjnej wręcz wersji, część depozytów ukryta miała zostać w jednej z okolicznych kopalni. Zadanie brzmiało: rozpoznać w archiwach i w terenie (kolejność dowolna) możliwość ukrycia depozytu wojennego w kopalni. Zadanie przyjęliśmy do wykonania.

Zacznijmy od razu od owej miejscowości i depozytu. W książce Włodzimierza Antkowiaka z 1993 roku pod tytułem „Nie odkryte skarby" czytamy: *„Sichów – wieś, gmina Męcinka, województwo legnickie. Jak wynika z opublikowanego przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce opracowania B. Heissnera pt. »Ewakuacja niemieckich władz administracyjnych i niemieckiej ludności z okupowanych ziem polskich w latach 1944-1945« (…) do istniejącego tu zamku, należącego do Manfreda von Riethofena przez pięć miesięcy zwożono najrozmaitsze dobra zrabowane z tak zwanej Generalnej Guberni, w tym wielką ilość dzieł sztuki, głównie z Krakowa. Sichów był najważniejszym z punktów etapowych na drodze przerzutu tych dzieł w głąb Niemiec (…), był też przygotowywany na kwaterę dla uciekającego z Krakowa Hansa Franka* [Generalny Gubernator – przyp. K.K., D.W.] *i jego sztabu. Frank przebywał w Sichowie przez tydzień, skąd już 23 stycznia 1945 roku na długo przed wejściem Rosjan uciekł do Drezna. Rejon ten był zaciekle broniony przez Niemców. Sichów (…) został niemal doszczętnie zniszczony, w czasie walk spłonął też zamek. Według zeznań ludności niemieckiej przesłuchiwanej w czerwcu i sierpniu 1945 roku, skrzynie zostały wyniesione z zamku na długo przed spaleniem obiektu. Część skrzyń wywiezionych z Sichowa odnalazł później Kieszkowski* [kierownik prac rewindykacyjnych na Śląsk – przyp. K.K., D.W.] *(…) zawierały głównie eksponaty z muzeów krakowskich i warszawskich. Istnieją również świadkowie twierdzący, że zamek nie został całkowicie opróżniony, i że coś w nim zamurowano (…)".* Kolejna książka autorstwa Bogusława Wróbla, „Ukryte skarby" z 2009 roku, potwierdza powyższe informacje: *„(…) do pałacu Riechtofenów w ostatnich miesiącach wojny przeniósł na krótko swoją siedzibę generalny gubernator Hans Frank. Wraz z nim trafiły tu zrabowane polskie dzieła sztuki. Pałac spłonął podczas działań wojennych na tamtym terenie. Ekipa Witolda Kieszkowskiego znalazła jedynie szczątki akt urzędowych i w altanie ogrodowej kilka skrzyń z kliszami cynkograficznymi".* Pomijając rozbieżności w nazwisku prawowitego właściciela sichowskiego zamku (prawidłowo brzmiało ono – wg „Słownika Geografii Turystycznej Sudetów" – Manfred von Richthofen), oba źródła przywołują niewątpliwie te same okoliczności. Szukając dodatkowego potwierdzenia tych faktów trafiliśmy na stronę Narodowego Instytutu Muzealnictwa i Ochrony Zabytków w Warszawie, gdzie w jednym z opracowań ponownie pojawia się dolnośląski Sichów i to w kontekście skarbów z najwyższej, można rzec, muzealnej półki. W tekście „Zaginiony szkic Rubensa" czytamy, że w maju 1935 roku zarząd miasta stołecznego Warszawy podjął decyzję o zakupie zbiorów polskiego arystokraty i kolekcjonera Jana Popławskiego. Do Muzeum Narodowego trafiło 95 dzieł sztuki, głównie obrazy flamandzkich mistrzów, w tym najcenniejszy nabytek jakim był – zdaniem komisji przyjmującej zbiory – szkic „Kreuztragung Christi" („Chrystus upadający

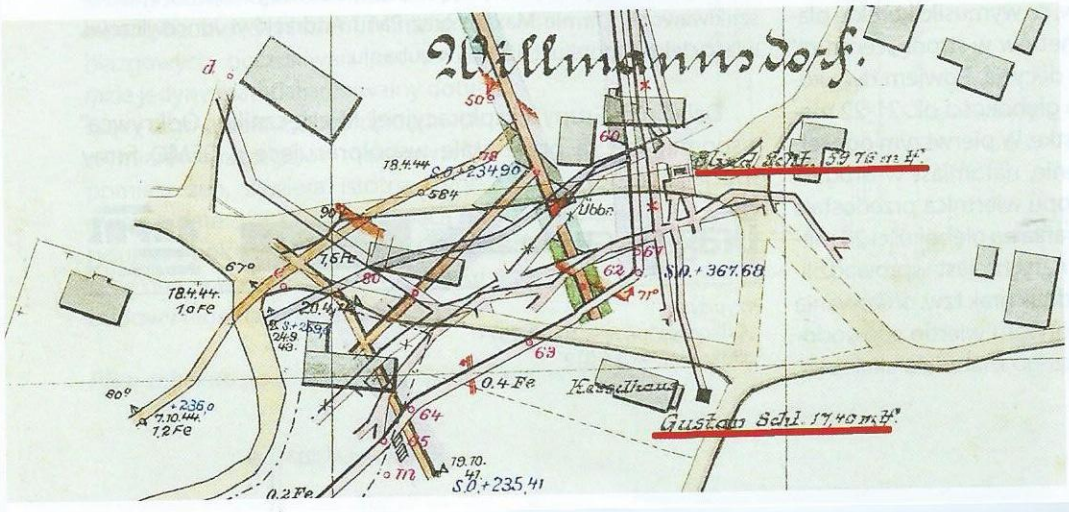

Fot. 1 Centrum Stanisławowa (Willmannsdorf) na mapie z 1899 r., aktualizowanej do 1944 r. Szare prostokąty to zabudowania wsi, pomarańczowym kolorem oznaczono ówczesne drogi. W dolnej części szyb „Gustav", obok budynek kotłowni. Widoczne są daty badań zawartości rud żelaza z 1944 r. Mapa ze zbiorów Państwowego Instytutu Geologicznego we Wrocławiu.

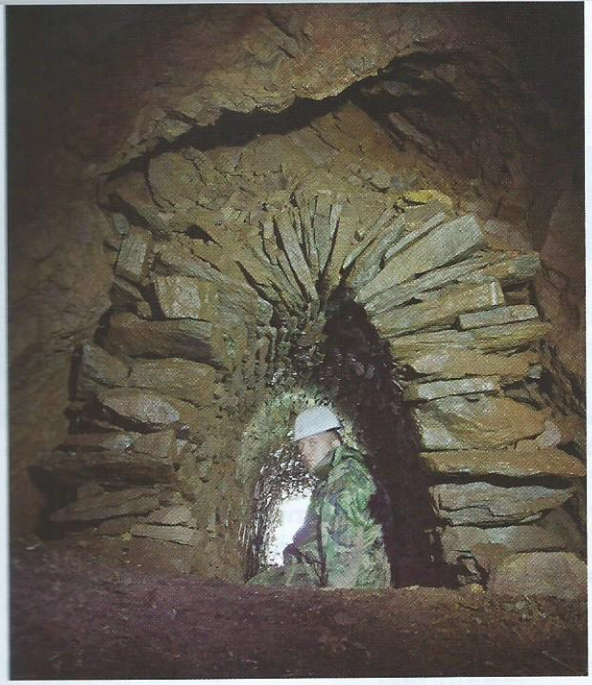

Fot. 2 Wnętrze sztolni „Carl", która udostępniała złoże „Carllager", następnie służyła do transportu podsadzki w głąb kopalni. Początkowy odcinek został wzmocniony kamienną obudową.

Fot. 3 Wlot sztolni „Carnall", część kopalni położona na północ od Stanisławowa w kierunku Sichowa. Ostatni fragment sztolni, podobnie jak „Carl", obudowany jest kamieniem. Sztolnia obecnie niedostępna z powodu obwału w jej początkowej części.

pod krzyżem") Petera Paula Rubensa, namalowany pomiędzy 1612 a 1615 rokiem, na dębowej desce o wymiarach 47,5×65 cm. Niestety, wraz z wkroczeniem wojsk nazistowskich do Polski we wrześniu 1939 roku szybko okazało się, że wszystkie cenniejsze dzieła sztuki stały się celem akcji „zabezpieczania" przez różnego rodzaju urzędy i organizacje niemieckie. W opracowaniu Instytutu czytamy, że *„(…) szkic Rubensa znalazł się w rękach dr. Kajetana Mühlmanna* [Komisarz ds. zabezpieczenia dzieł sztuki – przyp. K.K., D.W.] *wraz z innymi zabytkami z Muzeum Narodowego w Warszawie już w połowie grudnia 1939 r. (…) Wśród przejętych eksponatów był z całą pewnością szkic Rubensa. Potwierdza to m.in. notatka dr. Karola Estreichera zawarta w opracowaniu »Polskie Muzea oraz zbiory publiczne i prywatne w okresie przedwojennym i podczas wojny do maja 1941 r.«. We wspomnianym dokumencie znajdujemy adnotację, że między październikiem, a grudniem 1939 r. z Muzeum Narodowego w Warszawie, z działu malarstwa obcego zabrano ok. 100 najcenniejszych obrazów, wśród nich Pinturicchia, Dürera, Aertsena, Rembrandta, Rubensa, Jordaensa, obrazy staroniderlandzkie, Rigaud, Largillieri'a, Guardiego, Tiepola i wiele innych. Dzieła sztuki przejęte przez Muhlmanna trafiły ostatecznie do Krakowa, by znaleźć się pod kontrolą urzędu Hansa Franka".* Przez kilka lat szkic Rubensa wraz z innymi cennymi dziełami sztuki wisiał bezpiecznie na ścianach rezydencji Generalnego Gubernatora Hansa Franka. *„Kiedy latem 1944 r. Armia Czerwona przekroczyła Bug, Hans Frank wydał polecenie przygotowania na Dolnym Śląsku bezpiecznej składnicy dla polskich zbiorów muzealnych. Zadanie to powierzono dr. Ernstowi Wilhelmowi Palezieux, który był architektem i doradcą Generalnego Gubernatora w sprawie dzieł sztuki. Dzięki jego staraniom już na początku sierpnia 1944 r. do majątku von Richthoffenów w Sichowie przyjechał transport wypełniony polskimi zabytkami. O jego zawartości wiemy ze sprawozdania, które dr Ernst Palezieux wysłał 25 września 1944 r. (…) Dokument zawierał kilka załączników, które były spisami dzieł sztuki ewakuowanymi z Krakowa. Na liście nr 1 znajdowało się 14 najcenniejszych przedmiotów, które Hans Frank traktował prawie jak prywatną własność. Były to przede wszystkim obrazy, a wśród nich, poza dziełami Leonardo da Vinci i Rembrandta van Rijn, Rubens: »Kreuztragung Christi erste Wahl nr 84,*

REKLAMA

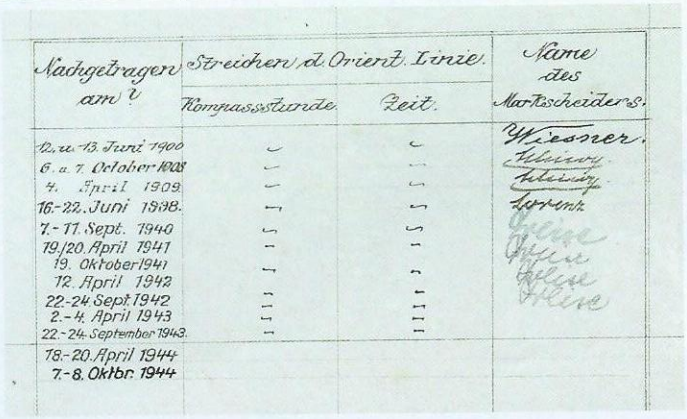

Nachgetragen am?	Streichen d. Orient. Linie. Kompassstunde.	Zeit.	Name des Markscheiders.
12. u. 13. Juni 1900			Wiesner.
6. u. 7. October 1908			[illegible]
4. April 1909			[illegible]
16.-22. Juni 1938.			Lorenz
7.-11. Sept. 1940			[illegible]
19./20. April 1941			[illegible]
19. Oktober 1941			[illegible]
12. April 1942			[illegible]
22.-24. Sept. 1942			[illegible]
2.-4. April 1943			[illegible]
22.-24. September 1943.			[illegible]
18.-20. April 1944			
7.-8. Oktbr. 1944			

Fot. 5 Zapiski mierniczych na mapie z 1899 r., aktualizowanej do października 1944 r. Największa aktywność wpisów przypada na lata pomiędzy 1941 a 1944 rokiem, kiedy to kopalnia przeżywała swój drugi okres świetności w związku ze zwiększonym, wojennym zapotrzebowaniem na rudę żelaza.

Fot. 6 Hałda szybu „Hochberg" przy drodze ze Stanisławowa do Leszczyny, w zimowej scenerii. W ostatnim okresie wydobycia, w latach 1944-1945 rudę zwałowano w sąsiedztwie szybu w związku z trudnościami z transportem. Wg jednego z opracowań w 1945 r. na hałdzie zalegało 20 tys. ton utlenionego syderytu o średniej zawartości Fe 48,85%.

aus dem Nationalmuseum in Warschau«. Dzięki zachowanej dokumentacji wiemy także, że Chrystus upadający pod krzyżem dotarł do Sichowa bezpiecznie. Konserwator dr Eduard Kneisel, który przejął opiekę nad zabytkami napisał w swoim raporcie, że dzieła sztuki wyznaczone do ewakuacji przyjechały do rezydencji von Richthoffenów w stanie nienaruszonym".

W powyższym opracowaniu znajdujemy więc kolejny raz potwierdzenie, że zamek w Sichowie był z pewnością miejscem przechowywania cennych dzieł sztuki. Dalej sprawa ukrywanych arcydzieł staje się dużo bardziej zagadkowa. Na początku 1945 roku zapada decyzja o przeniesieniu części dzieł sztuki do miejscowości Morawa koło Strzegomia. W Morawie zabytki czekają zaledwie kilkanaście dni, po czym zapada decyzja o przewiezieniu ich w głąb Rzeszy. *„Nie zachowała się lista zabytków wywiezionych do morawskiej rezydencji* – czytamy dalej w opracowaniu Instytutu – *ale wiemy, że trafiły tam m.in. obrazy Leonarda da Vinci, Rembrandta i Rafaela ze zbiorów Czartoryskich, dzieła Cranacha, Dürera i innych mistrzów. Nie ma żadnych przesłanek wykluczających prawdopodobieństwo wysłania do tej składnicy również szkicu Rubensa".* Mogło tak być, ale okazuje się, że część zabytków pozostała w zamku. Hans Frank okazał się bardzo przywiązany do „swoich" zbiorów i *„(...) przed wyjazdem z Sichowa, polecił swojemu adiutantowi, Helmutowi Pfaffenrothowi, by wraz z towarzyszącymi mu urzędnikami, Augustem Mohrem i Waltherem Baderem, wybrali kilka najcenniejszych dzieł sztuki i zabrali je do Bawarii. W ten sposób 28 stycznia 1945 r. w rezydencji Franka w Neuhaus znalazły się 3 skrzynie wypełnione polskimi skarbami. 10 lutego 1945 r. została przeprowadzona oficjalna inwentaryzacja przywiezionych eksponatów (...) razem 21 obrazów i 15 innych przedmiotów... Zamierzał on* [Hans Frank – przyp. K.K., D.W.] *wywieźć całą kolekcję ze Śląska; z braku jednak czasu, z 500 sztuk wybrano najcenniejsze. Wśród spisu zabytków nie było jednak dwóch cennych dzieł sztuki: »Portretu młodzieńca« Rafaela i »Chrystusa upadającego pod krzyżem« Rubensa".* Widać więc, że losy tych dwóch zabytków, tak cennych dla Generalnego Gubernatora, urywają się w Sichowie. W tym momencie w tej zgoła kryminalnej historii pojawiają się kolejne wątki związane z tą miejscowością. Wśród

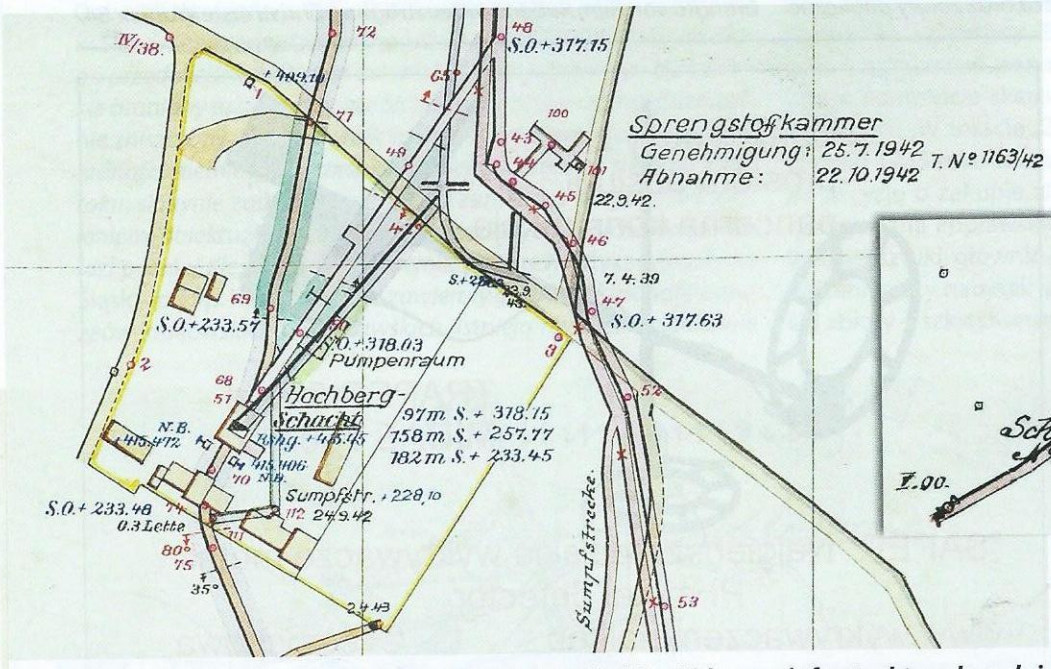

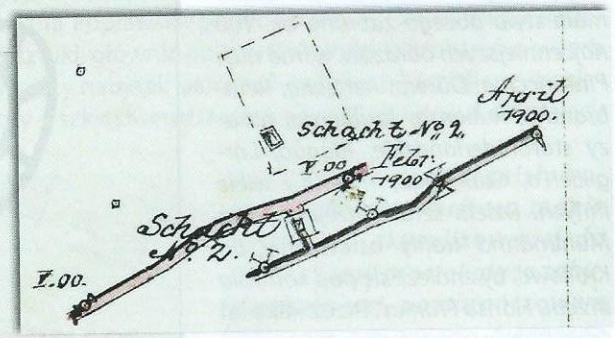

Fot. 7 Jeden z zapomnianych szybów wydrążonych na początku XX w. w celu weryfikacji złóż hematytu. Dwa równoległe wyrobiska znajdowały się ok. 800 m od zabudowań Stanisławowa.

Fot. 8 Rejon szybu „Hochberg" i późniejszej hałdy. Widoczna infrastruktura kopalni, pomieszczenie z pompami odwadniającymi oraz głębokości poszczególnych poziomów. Najgłębszy sięgał 182 m pod powierzchnią.

bowiem wielu hipotez próbujących ustalić losy najcenniejszych zabytków z zamku Richthoffena, m.in. takich, że Pfaffenroth najzwyczajniej ukradł cenne obrazy, jest i taka, która zakłada ukrycie części zbiorów w podziemnej skrytce. Hipoteza ta nie jest całkowicie wyssana z palca, bo wskazywać na to mają relacje osób z otoczenia Hansa Franka, które złożyli podczas procesów powojennych. Według tych osób, część zbiorów (jakich dokładnie – nie wiemy) miała zostać ukryta niedaleko, pod ziemią, gdzie można było dogodnie dojechać z cięższym ładunkiem. Postawiliśmy sobie w związku z powyższą historią parę pytań. Czy w bezpośrednim pobliżu Sichowa istniała podziemna kopalnia? Czy to możliwe, aby ukryto w niej skutecznie jakiekolwiek depozyty? Czy taka kopalnia mogła być penetrowana po wojnie przez Rosjan lub Polaków? Jakie są szanse na dotarcie do takiego obiektu współcześnie?

Po tym przydługim wstępie, mającym wprowadzić Czytelnika w klimat towarzyszący naszym badaniom, przychodzi pora na rozwiązanie zadania postawionego przez Komendanta. Na pierwsze powyższe pytanie o podziemną kopalnię odpowiedź jest jak najbardziej twierdząca. W odległości 4,5 kilometra na południowy-zachód od Sichowa znajduje się miejscowość Stanisławów (niem. Willmansdorf). Prowadzą do niej dwie drogi: jedna z centrum Sichowa przez Krzyżową Górę, wyłożona obecnie wygodnym asfaltem i druga, od zachodniej strony wsi, przez Sichowskie Wzgórza w stronę Rosochy. W latach 60. XIX wieku odkryto w Stanisławowie złoża hematytu, charakterystyczną czerwonawą rudę żelaza. Okolice wsi sprzyjały założeniu kopalni, ponieważ liczne doliny dawały możliwość dotarcia do złóż sztolniami. Jak czytamy w świetnym opracowaniu dr. Macieja Madziarza o historii kopalni, roboty górnicze rozpoczęto w niej w 1856 r. drążeniem górnej sztolni „Gustav", głębiąc jednocześnie szyb o tej samej nazwie, który służyć miał wentylacji. Na zdjęciu nr 1, które jest wycinkiem mapy z 1899 roku, aktualizowanej do 1944 roku, widzimy najstarszy szyb „Gustav" o głębokości 17,4 metra (podkreślony czerwoną linią), łączący się podziemnymi wyrobiskami z później wydrążonym szybem „ślepym" (Blindschacht), głębokości niemal 60 metrów.

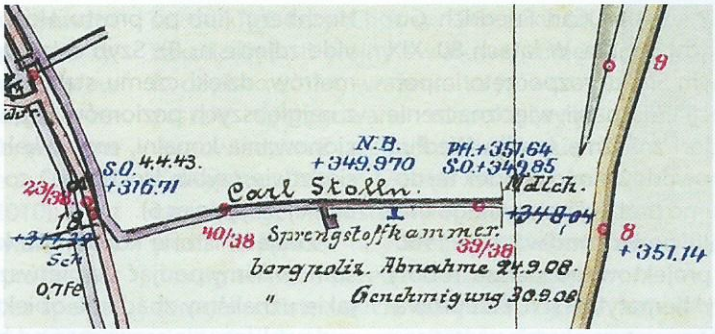

Fot. 9 Plan sztolni „Carl" na mapie z 1899 r. Na początku XX w. w lewym ociosie znajdowała się niewielka komora do składowania materiałów wybuchowych. Do tej pory widać w tym miejscu ślady po futrynie drzwi i półkach. Informacja na mapie wskazuje, że 24 IX1908 r. dokonano jej formalnych pomiarów przez dozór górniczy, zezwalając na jej wykorzystywanie sześć dni później.

W ciągu czterech kolejnych lat działalności kopalni wykonano sztolnię „Carl" oraz sztolnię „Carnall", dwa obiekty, które odegrają znaczącą rolę w dalszej części naszej opowieści. Sztolnia „Carl" założona została na północ od zabudowań Stanisławowa (zdjęcie nr 2 i 9), gdzie wąskim korytarzem prowadziła do części złoża rud żelaza zalegających na mniejszej głębokości, nazywanej „Carllager". U wylotu doliny miała zaś swój wylot sztolnia „Carnall", nazwana tak od twórcy jednego z pierwszych w niemieckiej literaturze geologicznej opisów złóż polimetalicznych w Sudetach (zdjęcie nr 3 i 10). Według archiwalnych źródeł przytaczanych przez dr. Madziarza, sztolnia ta została wykonana bardzo szybko, m.in. dzięki wykorzystaniu naturalnych szczelin w górotworze, które biegły równolegle do biegu warstw skalnych, co pozwoliło na *„dwukrotne zmniejszenie kosztów pędzenia sztolni w porównaniu do jej drążenia w skałach płonnych o dużej wytrzymałości. Wyrobisko sztolni stało się jednak przez to bardziej kręte (…)"*. Do lat 70. XIX wieku intensywnie eksploatowano złoża zalegające pomiędzy poziomami obu sztolni: „Carl" i „Carnall", prowadzono także wydobycie w złożu wysuniętym nieco na zachód, zwanym „Friedrich".

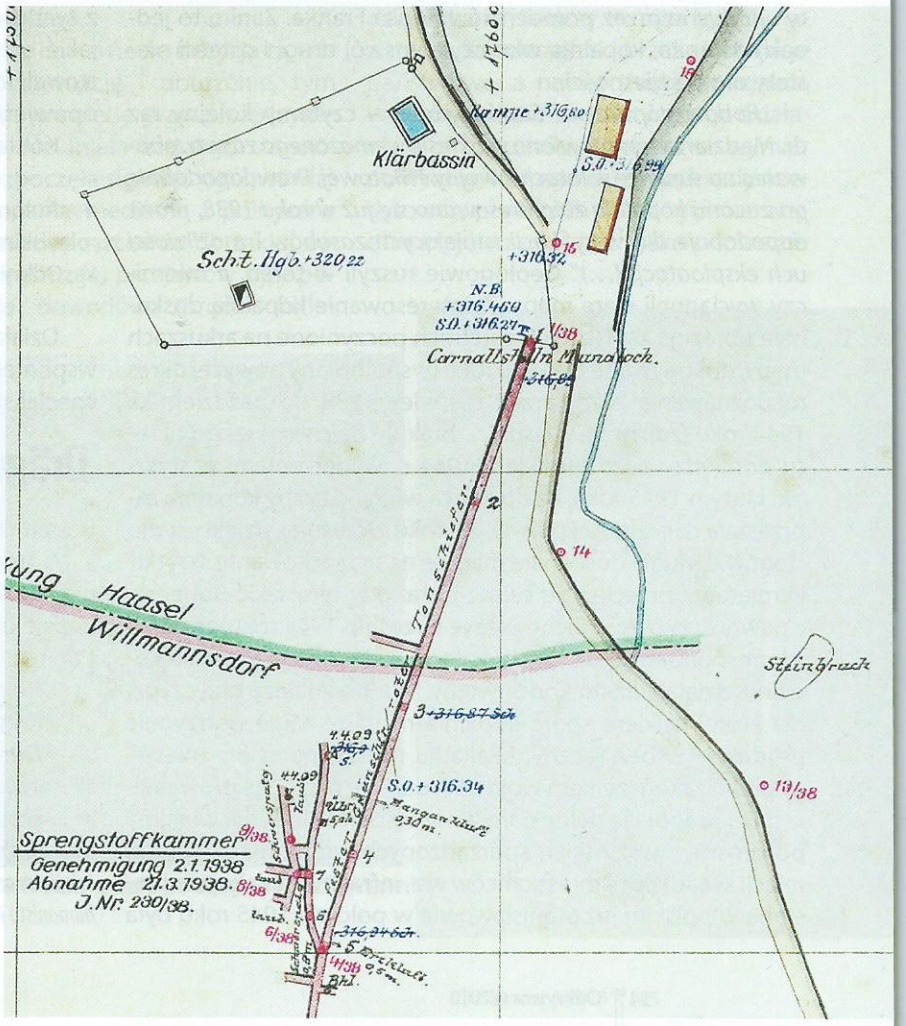

Fot. 10 Sztolnia „Carnall" na mapie z 1899 r., aktualizowanej do 1944 r. Widoczny wylot sztolni (Mundloch), szyb znajdujący się 4 m powyżej wlotu, zbiornik oczyszczający (Klarbassin) i początkowy odcinek chodnika.

W tym okresie eksploatowane złoża okazały się bardzo bogate, ponieważ ich miąższość (grubość) dochodziła do 6, a nawet 7 metrów. Co ciekawe, odnajdywany wówczas baryt, który okazał się tak cenny niecałe sto lat później, był traktowany jako odpad. W tym czasie w kopalni „Carl Friedrich Gustav" pracowało około 100 osób, a średnie wydobycie wynosiło od 150 tys. do 200 tys. cetnarów (8-10 tys. ton) rocznie. Wydobytą spod stanisławowskich ziem rudę odstawiano wozami do stacji kolejowej w Jaworze przez Sichów, tak więc drogi łączące te miejscowości musiałyby być w dość dobrym stanie, na co zwracamy uwagę w kontekście hipotezy ukrywania dóbr. Z Jawora ruda żelaza transportowana była wagonami do huty Vorwärts („Naprzód") w Wałbrzychu.

Przyczyną pierwszego końca kopalni „Carl Friedrich Gustav" stała się ogólnoświatowa gospodarka. W latach 80. XIX wieku do hut na Dolnym i Górnym Śląsku rozpoczęto importować tanie rudy żelaza ze Szwecji i Hiszpanii, więc znaczenie czerwonawych złóż z Willmansdorf znacznie spadło. Według cytowanego już dr. Madziarza spowodowało to upadek tej dobrze prosperującej kopalni, pomimo prób jej ponownego uruchomienia w 1890 roku. Do kopalni powrócono w latach 1900-1909, kiedy to prowadzono i projektowano dalsze roboty w celu rozpoznania przebiegu żył hematytowych. Przeprowadzono więc serię wierceń. Co istotne, w tym okresie wykonano 5 bezimiennych szybów, niektóre samotne, inne rozbudowane o niewielkie poziome wyrobiska, wszystkie rozsypane wokół Stanisławowa w odległości od 1200 do 200 metrów (zdj. nr 7 i 8). Do wznowienia wydobycia jednak nie doszło. Mogłoby się wydawać, że kopalnia popadnie w zapomnienie i może stać się za kilkadziesiąt lat doskonałym schowkiem na depozyty ukrywane przez pomocników Hansa Franka. Zanim to jednak nastąpiło, kopalnia wkroczyła w swój drugi i ostatni niestety okres świetności.

„Roboty górnicze w Stanisławowie – czytamy kolejny raz dr. Madziarza – *wznowiono w okresie wzmożonego zapotrzebowania na surowce w latach II wojny światowej. Prawdopodobnie porzuconą kopalnią zainteresowano się już w roku 1938, prawdopodobnie dla weryfikacji istniejących zasobów i możliwości uch eksploatacji (...)".* Geologowie ruszyli w teren, a mierniczy wyciągnęli stare mapy. Zainteresowanie kopalnią doskonale obrazują zapiski tych ostatnich poczynione na arkuszach mapy, dokonywane od 1900 roku (wspomniany powyżej okres rozpoznawania złóż), przez czerwiec 1938 do października 1944 roku (zdj. nr 5). Właśnie... brakuje najciekawszego okresu pomiędzy październikiem 1944 r., wydarzeniami w styczniu i lutym 1945 roku, aż do końca wojny. Czyżby kopalnia zaprzestała działalności prawie pół roku wcześniej, dzięki czemu stanowić mogła doskonałe miejsce na przygotowanie skrytki? Pamiętamy przecież, że cenne obrazy, w tym szkic Rubensa, z pewnością były w Sichowie we wrześniu 1944 roku, zgodnie z korespondencją dr. Ernsta Palezieux... W naszej ocenie kopalnia działała aż do końca wojny. Trudno znaleźć przyczynę, dla której całkiem spora kopalnia miałaby nagle wstrzymać produkcję w bezpiecznym zakątku Rzeszy, na osiem miesięcy przed zakończeniem wojny. Wydaje się raczej, że prowadziła dalej produkcję pełną parą, a my, współcześnie, nie widzimy po prostu... wszystkich sporządzonych wtedy map. Według relacji świadków – mieszkańców wsi, infrastruktura kopalni zastana w polskim już Stanisławowie w połowie 1945 roku była w bardzo dobrym stanie, sprawna i działająca, pomijając zdekompletowaną obsługę (wspomnimy o tym w II części naszej opowieści), jest więc mało prawdopodobne, że stała nieużywana przez całą zimę i połowę kolejnego roku. Z jednej strony może to zniechęcić miłośników teorii skarbowych, ponieważ idea ukrywania cennych depozytów na oczach pracujących górników wydaje się mało atrakcyjna, z drugiej strony, warto zwrócić uwagę i na takie przypadki z historii, kiedy to działająca kopalnia wręcz „pomagała" ukryć pewne zdarzenia i nietypowe zachowania.

Wracając jednak do historii kopalni: kiedy w 1938 roku stwierdzono, że złoża są obiecujące, zapadła decyzja o udostępnieniu złoża szybem pionowym, który nazwano „Graf-Hochberg" (lub po prostu „Hochberg" na niektórych mapach, vide zdjęcie nr 8). Szyb osiągnął imponującą głębokość 182 metrów, dzięki czemu stało się możliwe wydobywanie złóż z najgłębszych poziomów kopalni. W ostatnim okresie funkcjonowania kopalni, rudę zwałowano na powierzchni w sąsiedztwie szybu „Hochberg", co jest doskonale widoczne do dzisiaj (zdjęcie nr 6).

Znając historię kopalni do końca II wojny światowej postanowiliśmy podjąć się pierwszej części naszego zadania, za jakie uznaliśmy zbadanie obiektów mniej oczywistych. Zdecydowaliśmy się rozpocząć od badania kamerą szybu „Hochberg", aby rozwiać wątpliwości o jego głębokości i poziomie wody, jaka miała się w nim utrzymywać. Dalej w planie mieliśmy odszukanie 5 bezimiennych szybów, obiektów sprzed ponad 110 lat, aby sprawdzić ich stan zachowania. Na sam koniec zostawiliśmy sobie dwie najważniejsze sztolnie: „Carl" i „Carnall", które kusiły swoimi otwartymi wlotami. Co wynikło z tych poszukiwań, czego dowiedzieliśmy się od świadków, jakie były losy kopalni po wojnie i czy to możliwe, że penetrowali ją Rosjanie lub Polacy – to wszystko w II części naszej opowieści.

Kontakt z autorami: mediator.wroclaw@wp.pl

Autorzy dziękują za pomoc w opracowaniu artykułu Państwu Korolewskim ze Stanisławowa, oraz Grupie Eksploracyjnej Miesięcznika „Odkrywca".

Działania Grupy Eksploracyjnej Miesięcznika „Odkrywca" wspomagane są przez stale współpracujące z GEMO firmy specjalistyczne:

Dräger GRALmarine HELIKON-TEX.com ARPOL www.arpol.net.pl

Literatura

1. M. Madziarz, „Historyczna technika eksploatacji rud żelaza na przykładzie kopalni »Carl Friedrich Gustav« w Stanisławowie", [w:] „Dzieje górnictwa – element europejskiego dziedzictwa kultury" pod red. P. Zagożdzona i M. Madziarza, t. 2, Wrocław, 2009.

Krzysztof Krzyżanowski
Dariusz Wójcik

Miłośnicy górnictwa i wszelakich podziemi wytworzonych przez ludzi. Obszar głównego zainteresowania: historyczne kopalnie w Sudetach. W ciągu 10 lat swojej działalności zbadali setki obiektów głównie na Dolnym Śląsku, a swoją pasję opisali w kilku książkach oraz ponad 100 publikacjach prasowych i naukowych. Prywatnie: prawnik–humanista i ekonomista – umysł ścisły.

Czeska rapsodia...

TEKST: PIOTR MASZKOWSKI
ZDJĘCIA: ARCHIWUM REDAKCJI

Szczegóły operacji „Neptun" oraz sam fakt jej przeprowadzenia miały pozostać na zawsze utajnione. Prawda jednak wyszła na jaw o wiele szybciej, niż zakładano. Nie miało to już wówczas specjalnego znaczenia, gdyż efekt akcji przeszedł najśmielsze oczekiwania jej inicjatorów.

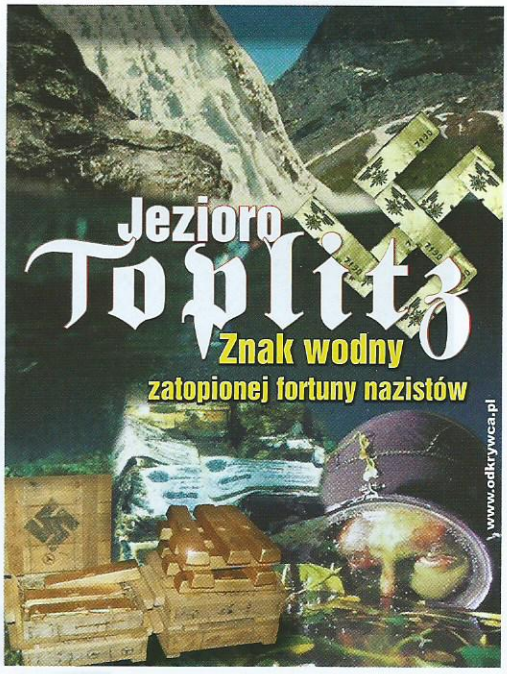

W 1959 roku ekipa finansowana przez zachodnioniemiecki tygodnik „Stern" odnalazła w austriackim jeziorze Toplitz skrzynie zawierające fałszywe funty sfabrykowane przez Niemców w ramach operacji „Bernhardt" (czyt. „Odkrywca" nr 3/2010). Przez kilka kolejnych lat podejmowane były mniej lub bardziej oficjalne próby eksploracji tego jeziora, jednak bez spektakularnych już efektów. Gdy jesienią 1963 roku podczas jednej z nich zginął nurek, rząd austriacki wprowadził czasowy zakaz prowadzenia tam poszukiwań. Głównym powodem były względy bezpieczeństwa, jednak przy okazji pojawiły się również inne teorie, notabene w tym temacie jest ich więcej niż wody w samym jeziorze. Władze Austrii miały obawiać się odnalezienia tajnych dokumentów hitlerowskich, które mogłyby zdradzić brunatną przeszłość wielu jej obywateli, a także ujawnić tożsamość byłych nazistów, z którymi zachodnioniemieccy, jak i tamtejsi politycy, nadal utrzymywali bliskie kontakty... Jakiekolwiek scenariusze wówczas by powstały, łącznie z filmowymi, Toplitz nigdy później swojej tajemnicy nie ujawniło. Jednak w 1964 roku dokumenty, których tak bardzo mieli obawiać się Austriaccy i zachodnioniemieccy politycy, zostały odnalezione w jednym z... czechosłowackich jezior.

Przedawnienie zbrodni

Do dzisiaj żyjemy w poczuciu, że zbrodnie dokonane przez Niemców podczas II wojny światowej nie zostały należycie rozliczone, a ich sprawcy w większości uniknęli kary. Choć w 1964 roku od zakończenia II wojny światowej minęło dopiero 20 lat, wrażenie to wówczas zostało spotęgowane niepokojącymi wypowiedziami zachodnioniemieckich polityków. Dotyczyły one stanowiska tamtejszego Ministerstwa Sprawiedliwości w kwestii ratyfikacji przez Bundestag terminu przedawnienia ścigania zbrodni nazistowskich, który miał, zgodnie z obowiązującym w RFN kodeksem karnym, minąć 9 maja 1965 roku. Zaledwie po 10 latach od czasu, gdy mocarstwa okupacyjne przekazały w całości kompetencje sądom RFN i jedynie po 7-letniej działalności Centrali Badań Zbrodni Narodowosocjalistycznych w Ludwigsburgu.

W Polsce i na świecie decyzja ta wywołała konsternację i oburzenie, tym bardziej, że w świetle prawa międzynarodowego nie miała żadnego uzasadnienia. Rozpoczęła się więc ogólnoświatowa kampania medialna i polityczna na rzecz niedopuszczenia do takiej sytuacji. Jednym z jej przejawów były poszukiwania dowodów zbrodni hitlerowskich w postaci nieujawnionych do tej pory materiałów archiwalnych, mogących świadczyć przeciwko pozostającym nie tylko na wolności przestępcom, ale przede wszystkim pełniącym nadal, niejednokrotnie wysokie stanowiska w RFN i Austrii byłym urzędnikom nazistowskim. W akcję zaangażowali się dziennikarze śledczy tropiąc byłych nazistów, wspomagani przez instytucje państwowe, a nawet służby specjalne. W bloku państw socjalistycznych działania tego typu miały dodatkowo wymiar polityczny, którego celem było zdyskredytowanie wrogich ideologicznie rządów krajów zachodnich jako poplecz-

Jezioro Czarne w Szumawach, gdzie „odkryto" archiwum RSHA.

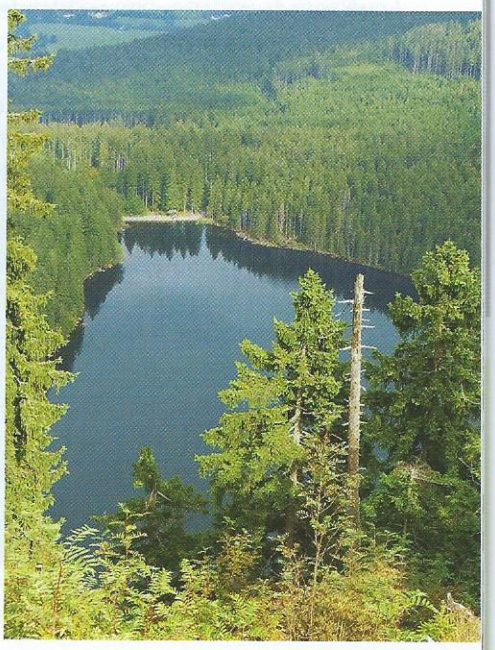

Jezioro Czarcie.

Słynna skrytka... Toplitzsee.

ków dawnych hitlerowców. Całość okraszona była fascynującą do dzisiaj otoczką nazistowskich tajemnic, zrabowanych i ukrytych skarbów, gigantycznych budowli, awangardowych projektów, tajnych operacji wywiadowczych i zaawansowanych technologii jakie hitlerowcy mieli opracować podczas wojny. To wszystko sprawiało, że tematy dotyczące tych kwestii nie schodziły z pierwszych stron gazet. Pobudzały nie tylko wyobraźnię czytelników, przede wszystkim skupiały ich uwagę na istotnym problemie, jakim była sprawa przedawnienia ścigania zbrodni hitlerowskich...

Zanim przejdziemy do omówienia problemu w naszym kraju, warto przyjrzeć się najbardziej spektakularnej akcji tego okresu. Została przeprowadzona w Czechosłowacji, niemniej, jak się wkrótce przekonamy, wywarła istotny wpływ na podobne działania jakie w tym samym czasie organizowane były w Polsce.

Diabelskie jeziora

Szumawy (Šumava), to obecnie górzyste pogranicze Czech, Austrii i niemieckiej Bawarii. W czasach zimnej wojny niedostępna dla turystów strefa graniczna oddzielająca żelazną kurtyną Czechosłowację od pobliskiej Austrii i Niemiec Zachodnich. Na krajobraz składają się tam bezkresne, jedne z największych w Europie Środkowej, lasy i surowe góry poprzecinane polodowcowymi jeziorami. Dwa z nich są szczególnie mroczne, o czym świadczą nie tylko ich nazwy. W Czarcim (Čertovo) wg legendy miał utopić się sam diabeł, zaś w oddalonym o 2,5 kilometra Czarnym (Černe) – diabły spod znaku swastyki zatopić tajne archiwum nazistów.

Telewizja na tropie legendy

Na początku 1964 roku redakcja popularnego telewizyjnego programu dla młodzieży czechosłowackiej „Ciekawska kamera", poszukiwała tematu na kolejny odcinek. Jindřich Bernard, jeden z producentów, przypomniał sobie wówczas historię, o której czytał w jednym z magazynów ilustrowanych. Dotyczyła licznych opowieści jakie krążyły na temat Czarciego Jeziora w Szumawach, i niezwykłych, konserwujących właściwościach tamtejszych wód, dzięki czemu zalegające na dnie przedmioty zachowują się praktycznie w nienaruszonym stanie. Jak się można domyślić, tego typu sensacjom towarzyszyły również i legendy. Mówiono o skarbach napoleońskich żołnierzy, zalegającej w głębinach złotej karocy, czy nazistowskich skrzyniach zatopionych tam pod koniec II wojny światowej. Wprost idealny scenariusz telewizyjnego programu z przygodą, tajemnicami i skarbami w tle. Nic dziwnego więc, że wkrótce ekipa „Ciekawskiej kamery" przystąpiła do przygotowań. A gdy okazało się, że także pobliskie, oddalone o 2,5 km Jezioro Czarne kryje równie wiele tajemnic, a może nawet i więcej, nie szczędzono środków i sił. Postanowiono wykorzystać najnowszy nabytek czechosłowackiej telewizji jakim były kamery umożliwiające wykonywanie zdjęć podwodnych. Nawiązano współpracę z sekcją płetwonurków Svazarmu (odpowiednik polskiej Ligi Obrony Kraju), a następnie przystąpiono do rozmów na temat pozwoleń na filmowanie w newralgicznej strefie przygranicznej. Czechosłowackie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, z którym uzgodnione zostały wszelkie formalności nie zgłosiło sprzeciwu, wręcz przeciwnie, zaoferowało wszelką pomoc przy realizacji programu. Pierwsze sondażowe nurkowanie mogło odbyć się już pod koniec kwietnia 1964 roku, jednak ze względu na zaplanowane w kolejnym miesiącu manewry wojskowe w Szumawach, właściwą akcję przeniesiono do czasu ich zakończenia. W rezultacie eksploracja jeziora i pierwsze zdjęcia do programu rozpoczęły się 20 czerwca 1964 roku.

Odkrycie

Podczas jednego z zejść pod wodę, płetwonurek zauważył wyłaniające się z mułu zarysy skrzyni. Wkrótce okazało się, że jest ich znacznie więcej. Mimo mętnej toni już na pierwszy rzut oka widać było, jak doskonale zostały zabezpieczone. Nurkowania i realizację programu natychmiast przerwano, a o odkryciu poinformowane zostało czechosłowackie Ministerstwo Spraw

wewnętrznych. Teren wokół jeziora został wkrótce zamknięty i zabezpieczony przed ciekawskimi, na miejsce przybyła sekcja nurków MSW, a także oddział saperów z brygady Wojsk Ochrony Pogranicza. W takiej sytuacji mogłoby się wydawać, że odkrycie zostanie utajnione. Nic bardziej mylnego. Kilka dni później informacja o odnalezieniu tajemniczych skrzyń z nieznaną jeszcze zawartością została ujawniona prasie, a na miejsce... zaproszono dziennikarzy. Skrzynie w obecności mediów wydobyto na powierzchnię, lecz ze względów bezpieczeństwa nie zdecydowano się na ich otwarcie. 14 lipca zostały załadowane na ciężarówkę i z wielką pompą przewiezione do Pragi w konwoju składającym się z eskorty 4 milicyjnych motocykli, wojskowego gazika, samochodu Straży Granicznej i Służby Bezpieczeństwa. 16 lipca Czechosłowackie MSW, za pośrednictwem agencji prasowej ČTK ujawniło, że skrzynie zawierają... tajną dokumentację niemiecką z czasów II wojny światowej. Wkrótce media zaczęły się prześcigać w konfabulacjach na temat wszelkich szczegółów odkrycia, a przede wszystkim hipotez dotyczących treści odnalezionego archiwum. Tymczasem MSW zatrzymało odnalezione akta do oceny merytorycznej i ekspertyzy historycznej. Na ich wynik oczekiwano przez kolejne dwa tygodnie. Atmosfera podsycana była zarówno przez dozujące napięcie Ministerstwo, jak i mającą wyłączność na informacje z pierwszej ręki – państwową agencję informacyjną ČTK. Zresztą i tak większość ukazujących się artykułów była wówczas jedynie powielaniem treści generowanych przez jej korespondentkę Márię Kočíkovą. Niebawem historią niezwykłego odkrycia zainteresowały się światowe media, lecz dziennikarze z Zachodu nie byli dopuszczani w okolice strefy przygranicznej, gdzie znajdowało się Jezioro Czarne. Tym samym byli uzależnieni od oficjalnie przekazywanych informacji. Agencja Reutera i Magazyn LIFE, złożyły nawet w związku z tym protest, zarzucając ČTK i czeskiej telewizji sztuczne wykorzystywanie sytuacji i zarabianie na swojej uprzywilejowanej pozycji. Protest nie przyniósł oczekiwanych skutków.

Znalezisko z Jeziora Czarnego wzbudziło emocje nie tylko w Czechosłowacji, odbiło się też szerokim echem poza granicami kraju. Przyczyniło się do reaktywacji swoistej mody na podobne poszukiwania ukrytych i zatopionych depozytów niemal we wszystkich krajach okupowanych w czasie wojny przez Niemcy. Do MSW i poszczególnych redakcji na świecie zaczęły spływać coraz to nowe tropy podobnych historii. 4 sierpnia 1964 roku został wyemitowany przez czechosłowacką telewizję film na temat znaleziska, zakupiony przez liczne stacje telewizyjne z całego świata.

Konferencja prasowa

Kulminacyjny moment nastąpił 15 września 1964 roku. Tego dnia została zorganizowana w gmachu czechosłowackiej telewizji konferencja prasowa. Obecny na niej Minister Spraw Wewnętrznych CSRS Lubomir Štrougal, dokonał prezentacji odkrytych archiwaliów, a także przedstawił wyniki ich ekspertyzy historycznej. Licznie zgromadzeni dziennikarze z całego świata obejrzeli specjalnie przygotowany film dokumentalny, a także zapoznali się z fotokopiami dokumentacji. Waga odkrycia była wyjątkowa. Skrzynie zawierały m.in. część tajnego archiwum Departamentu VI (SD-Ausland wywiad zagraniczny) Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA). Już w 1964 roku był to niezwykle wartościowy materiał historyczny, lecz nie tylko. Odpowiednio wykorzystane dokumenty mogły być również doskonałym narzędziem nacisku politycznego na rządy Niemiec Zachodnich i Austrii, gdzie eksponowane stanowiska zajmowali wciąż urzędnicy z nazistowską przeszłością. Na podstawie analizy treści odnalezionych akt, jasno miało wynikać, że rządy Niemiec Zachodnich oraz Austrii nie tylko nie rozliczyły się z nazistowską przeszłością, ale również są spadkobiercami politycznymi III Rzeszy, ukrywając od zakończenia wojny zbrodniarzy wojennych, którzy mogą się tam czuć bezkarnie. Co więcej, wciąż pełnią funkcje państwowe. Minister oznajmił również, że zachodnioniemiecki wywiad oparty jest niemal w całości na kadrach z czasów wojny, działając nadal w oparciu o rozbudowywaną wówczas siatkę szpiegowską, wymierzoną nie tylko przeciwko Związkowi Radzieckiemu i jego sojusznikom, ale także własnym sprzymierzeńcom i państwom zaprzyjaźnionym. Co ciekawe, w swym oświadczeniu minister Štrougal wyraźnie podkreślił, że nie wszystkie materiały zostały należycie przeanalizowane, lecz w miarę ich opracowywania będą wychodziły na światło dzienne nowe fakty, mogące zdyskredytować kolejnych czynnych polityków zachodnioniemieckich oraz austriackich za ich brunatną i nierozliczoną przeszłość. Zapewnił również, że poszukiwania w Jeziorze Czarnym będą kontynuowane, gdyż istnieje spore prawdopodobieństwo, że mogą się tam znajdować kolejne partie zatopionych skrzyń z hitlerowską dokumentacją. Rzeczywiście, jeszcze w 1965 roku przeprowadzono podwodną eksplorację tamtejszych wód, lecz oprócz urny z prochami zmarłego w latach 20. mężczyzny oraz bezgłowych szczątków nieznanej osoby, niczego nie odnaleziono. Trudno się zresztą temu dziwić...

Szpiegowskie gry

W 1961 roku czechosłowacki wywiad pozyskał pewną informację z rezydentury w Salzburgu. Z pozoru nie miała większego znaczenia, lecz jak się wkrótce okazało, stała się inspiracją jednej z najciekawszych operacji dezinformacyjnych zimnej wojny. Pewien miejscowy Austriak należący do lokalnego klubu nurkowego, sondował możliwo-

Dawna siedziba StB w Pradze – czechosłowackiej Służby Bezpieczeństwa, gdzie powstał plan operacji „Neptun".

ści wyjazdu, wspólnie z zachodnioniemieckimi przyjaciółmi, w Szumawy. Celem wyprawy miały być Jeziora: Czarcie i Czarne, gdyż słyszał, że na ich dnie zalegają „ciekawe artefakty". Podjął w tym celu nawet kroki formalne, jednak czechosłowackie MSW skutecznie mu taki pomysł wyperswadowało. Ów drobny epizod zwrócił jednak uwagę czechosłowackich służb na przygraniczny rejon Szumaw. Krążyły tam bowiem przeróżne opowieści o zatopionych skrzyniach i skarbach. Elektryzowały tym bardziej, że w czasie wojny w pobliżu stacjonowały jednostki Wehrmachtu i SS, a jeden z posterunków miał znajdować się w chacie nieopodal brzegów Jeziora Czarnego. Wiódł również tamtędy szlak wycofujących się w kwietniu 1945 roku jednostek niemieckich, chcących się poddać Amerykanom. Podobno miały tam też zostać ukryte materiały archiwalne, których Niemcy nie zdążyli zniszczyć... Podobno. Od czasu gdy w 1959 roku ekipa finansowana przez zachodnioniemiecki tygodnik „Stern" odnalazła w austriackim jeziorze Toplitz skrzynie zawierające fałszywe funty, historie tego typu skutecznie przykuwały uwagę światowej opinii publicznej. Wiedział o tym niejaki kpt. Brychta – zastępca naczelnika Wydziału 8. Departamentu I czechosłowackiego MSW – młody, lecz niezwykle zdolny i już doświadczony specjalista z zakresu dezinformacji i propagandy, od lat działający na kierunku zachodnioniemieckim. Był również zapalonym nurkiem, dlatego też sprawa Toplitzsee fascynowała go szczególnie. Gdy jesienią 1963 roku ponownie zrobiło się o niej głośno, wpadł na iście diabelski plan. Niedługo później nadarzyła się wyjątkowa okazja, by go zrealizować.

Operacja „Neptun"

Na początku 1964 roku do czechosłowackiego MSW wpłynął wniosek redakcji telewizyjnego programu młodzieżowego „Ciekawska kamera", z prośbą o wydanie zgody na przeprowadzenie zdjęć w strefie przygranicznej, na potrzeby mającego powstać odcinka o tajemnicach Jezior: Czarnego i Czarciego. Filmowcy dość szybko uzyskali odpowiednie zezwolenia zarówno dla siebie, jak i ekipy płetwonurków Svazarmu, którzy mieli bezpośrednio eksplorować oba akweny. Wśród nich znalazł się również... kpt. Brychta, zakamuflowany pod przykrywką anonimowego urzędnika państwowego. Obecność funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa przy tego typu akcji wydaje się z perspektywy naszej wiedzy w temacie naturalna. Bezpieka chciała mieć informacje na temat poszukiwań i ich wyników z pierwszej ręki, by w razie odnalezienia depozytu odpowiednio go zabezpieczyć i przejąć. Lecz w tym wypadku sytuacja była zgoła odmienna. Być może i taką rolę miał pośrednio pełnić zastępca naczelnika Wydziału 8., lecz nie to było jego głównym zadaniem. W początkowej fazie rekonesansu jaki odbył się 29 i 30 kwietnia 1964 roku, miał on w ramach pierwszego nurkowania i pierwszych zdjęć podwodnych realizowanych przez ekipę telewizyjną, zapoznać się ze strukturą dna, stopniem jego zamulenia i ogólnymi warunkami panującymi pod powierzchnią. Po co? Uwaga! By umieścić w jak najbardziej naturalny sposób odpowiednio spreparowane i postarzone skrzynie, by wyglądały tak, jakby przeleżały pod wodą ostatnie 20 lat! Następnie, podczas kolejnego nurkowania doprowadzić pozostałych płetwonurków z ekipy telewizyjnej na właściwy trop, by mogli je odnaleźć! Co miało znajdować w skrzyniach? Nic. Puste kartki papieru nadające im jedynie wiarygodnej masy.

„Środki aktywne" – najcięższy oręż dezinformacji

Chcąc lepiej zrozumieć cel dalszych działań, posłużmy się poniższym fragmentem z Archiwum Mitrochina: *„Republika Federalna Niemiec była dla KGB nie tylko terenem zbierania materiału wywiadowczego, ale także celem »środków aktywnych«. W latach 50. i 60. KGB i HVA koncentrowały się w swych operacjach na zdyskredytowaniu maksymalnej liczby polityków zachodnioniemieckich jako »neonazistów« i »odwetowców«. Dezinformacja zawsze działała najlepiej, jeśli miała pewne oparcie w faktach. W pierwszych latach istnienia RFN nie brakowało w jej władzach i na wpływowych stanowiskach autentycznych dawnych nazistów, których można było potępiać w kampaniach »środków aktywnych«".* (Mitrochin s. 677)". Dalej *„(...)HVA i KGB miały w Berlinie Wschodnim do dyspozycji archiwa Wehrmachtu, SS i NSDAP zdobyte przez Armię Czerwoną. Z dwóch obszernych zbiorów materiałów na temat autentycznych i rzekomych zbrodniarzy wojennych i neonazistów Abteilung X, wydział HVA przygotowujący »środki aktywne«, łączył prawdziwe dokumenty ze sfabrykowanymi świadectwami, tworząc druzgocące oskarżenia zachodnioniemieckiej elity politycznej, gospodarczej i wojskowej".* (Mitrochin s. 679).

Również czechosłowackie służby z powodzeniem wykorzystywały te metody, a kpt. Brychta, wraz ze swym wydziałem, wręcz się w nich specjalizował. Ułatwiały to zasoby archiwalne czechosłowackiego MSW (podobnie zresztą, jak polskiego), w których zgromadzono po wojnie olbrzymią ilość nigdy nie ujawnionych i niepublikowanych dokumentów niemieckich z okresu okupacji. W ograniczonym zakresie część owych akt była do tej pory, jak i również później, wykorzystywana operacyjnie przez działających na Zachodzie agentów, np. w celu szantażu i werbunku pracowników instytucji publicznych, czy korporacji będących w zainteresowaniu służb wywiadowczych państw socjalistycznych. Tym razem jednak plan zakładał wykorzystanie ich w pełni. Lecz zgromadzenie sporej ilości wartościowych materiałów mogących wywołać odpowiedni wydźwięk, było czasochłonne. Wymagało też nawiązania ścisłej współpracy z radzieckim KGB. Bratnia służba wtajemniczona w plany Czechosłowaków zgodziła się dostarczyć właściwe akta. Niestety nie spieszyła się zbytnio z ich przekazaniem, co nieco komplikowało sytuację.

Na kilka dni przed rozpoczęciem poszukiwań i zdjęć do filmu przez ekipę telewizyjną oraz nurków Svazarmu, pod osłoną nocy, z wygaszonymi światłami samochodu, do brzegu Jeziora Czarnego przyjechał z Pragi kpt. Brychta. Przez wiele tygodni pracownicy jednego z wydziałów MSW pieczołowicie postarzali i „charakteryzowali" skrzynie. Obciążone papierem były diabelsko ciężkie. Po paru godzinach i serii zanurzeń spoczęły na dnie. Nadszedł wreszcie kulminacyjny dzień akcji. Naprowadzony na skrzynie nurek bez trudu je odnalazł, nie domyślając się jednak, jak bardzo mu w tym pomógł jeden z jego „kolegów". Gdy na miejsce przybyła już oficjalnie ekipa z MSW, by wydobyć na powierzchnię „tajemnicze" znalezisko, filmowcom z telewizji zabroniono zbliżać się do, jakby nie było, odkrytego przez nich skarbu.

Szybko i przekonująco im wytłumaczono, że skrzynie mogą być zaminowane, zaś w przypadku ich nieumiejętnego otwarcia istnieje zagrożenie uruchomienia zabezpieczeń inicjujących reakcję chemiczną, która bezpowrotnie zniszczy znajdującą się wewnątrz zawartość. Dlatego też konieczne było przetransportowanie ich do Pragi, gdzie zajmą się nimi technicy z pracowni kryminalistycznej. Logiczne i racjonalne wytłumaczenie było wystarczająco przekonywujące. I tym sposobem członkowie redakcji telewizyjnej i nurkowie Svazarmu stali się bohaterami najbliższych miesięcy…

Po przewiezieniu skrzyń do Pragi nastąpiły tygodnie nerwowego wyczekiwania na dostarczenie przez KGB właściwych materiałów. Rosjanie przekładali kilkakrotnie termin ich przekazania, co przedłużało skrupulatnie zaplanowaną grę z mediami. Przekazanie ich stronie czeskiej nastąpiło dopiero 10 września 1964 roku. Po zapoznaniu z nimi Ministra Spraw Wewnętrznych i poinstruowaniu go przez kpt. Brychtę, jak odpowiadać dziennikarzom na trudne pytania, można było rozpoczynać konferencję prasową… na której to zaprezentowano mediom „odnalezione" dwa miesiące wcześniej w Czarnym Jeziorze na Szumawach tajne dokumenty… Prawdy nikt się wówczas nie domyślał. I zapewne by tak zostało, kto wie może co najmniej do roku 1989, gdyby nie… ucieczka w 1968 roku kpt. Brychty do Stanów Zjednoczonych, gdzie zamieszkał jako Martin Lawrence Britt.

W 1972 roku ukazało się pierwsze wydanie jego książki, w której ujawnił wszelkie szczegóły dotyczące operacji „Neptun". Do dzisiaj pracuje na Uniwersytecie Bostońskim, gdzie od 30 lat wykłada tajniki sztuki dezinformacji, manipulacji informacją, a także uczy studentów prawa sposobów ich unikania…

Bilans

Operacja „Neptun" była niewątpliwie jednym z największych sukcesów czechosłowackich służb specjalnych, która dodatkowo zaowocowała ok. 20 dodatkowymi przedsięwzięciami skierowanymi przeciwko Republice Federalnej Niemiec. Lecz nie tylko. Za pośrednictwem Czechosłowackiego MSZ kopie „odnalezionych" dokumentów zostały przekazane m.in. do Centrali Badań Zbrodni Narodowosocjalistycznych w Ludwigsburgu. Na ich podstawie zainicjowano kilkadziesiąt śledztw oraz wznowiono sprawy, które wcześniej z powodu braku dowodów zostały zawieszone. Wiele materiałów zostało wykorzystanych przeciwko konkretnym osobom i politykom zajmującym, mimo nazistowskiej przeszłości, eksponowane stanowiska państwowe w RFN, Austrii i Włoszech. Była to też niezwykle owocna akcja medialna czechosłowackiej telewizji i czechosłowackiej agencji informacyjnej. Jej wydźwięk międzynarodowy z pewnością również przyczynił się, w pewnym stopniu, do przedłużenia przez Bundestag terminu przedawnienia ścigania zbrodni nazistowskich w marcu 1965 roku o kolejne 4 lata…

W przyszłym numerze ciąg dalszy powyższej historii, lecz tym razem już w oparciu o wydarzenia, które w tym samym czasie miały miejsce w Polsce.

REKLAMA

MOTO WETERAN BAZAR
samochody zabytkowe i klasyczne
motocykle zabytkowe i współczesne
części
renowacja pojazdów
pojazdy wojskowe
akcesoria
dawna technika
militaria
literatura
starocie
gadżety
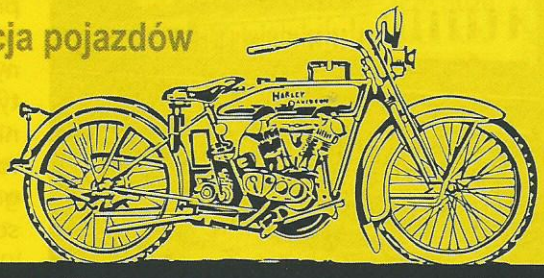
29-30 CZERWCA 2013
ŁÓDŹ - STADION "START" - UL. TERESY 56
PONAD 50 STOISK Z MILITARIAMI
NAJWIĘKSZA IMPREZA KOLEKCJONERSKA
Ponad 800 stoisk, 15 000 zwiedzających, powierzchnia giełdy 80 000 m2, niepowtarzalna atmosfera, 20-letnia tradycja.
Zapraszamy do Łodzi! Informacje - tel.: 42 205 44 33, 602 328 837
www.motoweteranbazar.com

Zwisająca ręka maszynisty

TEKST: LESZEK ADAMCZEWSKI
ZDJĘCIA: LESZEK ADAMCZEWSKI, ARCHIWUM AUTORA I PAWŁA PIĄTKIEWICZA

Nic nie wskazuje, że o katastrofie kolejowej, do której doszło na jednej ze stacji w wojennym Poznaniu, kiedyś dowiemy się czegoś więcej, niż wiemy dzisiaj. Historycy jednak, z uporem godnym lepszej sprawy, przypisują tę katastrofę działaniom Armii Krajowej. Tej samej, która nigdy nie przyznała się do kolejowej jatki w Borach Tucholskich. Dziś znamy sprawcę tej spektakularnej akcji polskiego podziemia. Pełny pasażerów pociąg pospieszny z Königsberga do Berlina omyłkowo zniszczyła szerzej nieznana organizacja konspiracyjna.

Tego dnia, a była to środa 15 września 1943 roku, życie w wojennym Poznaniu, stolicy Okręgu Rzeszy Kraj Warty (Reichsgau Wartheland), wyznaczał hitlerowski terror, praktycznie taki sam od czterech lat okupacji. W tamtą środę sąd specjalny w Posen skazał Zofię Jarecką na 4 lata pobytu w obozie karnym – za śpiewanie w miejscu publicznym polskiego hymnu narodowego i ubliżanie niemieckiemu policjantowi. Tego dnia minęła też 100. rocznica śmierci pruskiego generała Karla von Grolmana, który po zakończeniu wojen napoleońskich był autorem koncepcji i wstępnego projektu ufortyfikowania Poznania. Na jego grobie wieniec złożył nadburmistrz Posen doktor Gerhard Scheffler. I w tamtą wrześniową środę, w pobliżu zabudowań stacji Posen Luisenhainbahnhof, doszło do zdarzenia, o którym pozostał lakoniczny zapis historyka Czesława Łuczaka w pracy „Dzień po dniu w okupowanym Poznaniu": *„Polscy kolejarze, członkowie Armii Krajowej, spowodowali na stacji kolejowej w Starołęce wykolejenie się dwóch pociągów"*. I żadnych szczegółów o ewentualnych ofiarach – zabitych lub rannych, bo straty były znaczne, co widać na odnalezionych po wojnie zdjęciach z miejsca katastrofy.

Tajemnica Borów Tucholskich

Bitwa o szyny toczyła się niemal przez całą II wojnę światową. Z okupantem hitlerowskim prowadzili ją przede wszystkim partyzanci radzieccy i francuscy, odnosząc spore sukcesy. Zniszczono setki transportów wojskowych ze sprzętem, przy okazji zabijając lub raniąc wielu żołnierzy wroga. Nie bez znaczenia były też zniszczone linie kolejowe, które na długie dni odbudowy trzeba było wyłączyć z ruchu. Również w okupowanej Polsce partyzanci polowali na pociągi wroga. Tego typu akcje na terytorium Generalnego Gubernatorstwa przeprowadzała zarówno Armia Krajowa, jak i formacje partyzantki lewicowej, które nie uznawały rządu RP na wychodźstwie.

Na ziemiach włączonych do Rzeszy, choćby w rządzonym twardą ręką przez Arthura Greisera Kraju Warty, dywersja kolejowa była znacznie utrudniona, i to z wielu względów. Przede wszystkim wróg czuł się tu pewniej niż w GG. Niemcy mieli też pod pełną kontrolą praktycznie wszystkie dziedziny życia. Jedyny dobrze znany i udokumentowany przypadek zaatakowania pociągu dotyczy prowincji Gdańsk-Prusy Zachodnie, gdzie w nocy z 8 na 9 czerwca 1942 roku, niedaleko Starogardu Gdańskiego (wówczas Preussisch Stargard), polscy partyzanci wykoleili pędzący na zachód pełen cywilnych i wojskowych pasażerów pociąg pospieszny relacji Königsberg-Berlin, i z karabinów maszynowych ostrzelali ludzi próbujących ratować się z przewróco-

Dworzec kolejowy Posen-Hauptbahnhof na widokówce z lat drugiej wojny światowej.

Archiwalne zdjęcie z miejsca zderzenia się dwóch pociągów na stacji Poznań Starołęka w środę, 15 września 1943 roku.

nych i zmiażdżonych wagonów. Zginęło wiele osób, głównie Niemców, lecz pada jąca w niektórych publikacjach i filmach dokumentalnych (choćby brytyjskiej telewizji BBC o operacji „Foxley") liczba około 430 zabitych jest wzięta z sufitu. Zawziętość partyzantów, którzy w ciemnościach tamtej czerwcowej nocy przez kilka minut strzelali do zniszczonych wagonów, do niewidocznych z lasu rannych i zabitych, wzięła się stąd, że wszyscy uczestniczący w tej akcji – od dowódcy po szeregowego partyzanta – byli święcie przekonani, że wykoleili pociąg specjalny Adolfa Hitlera „Amerika". Ten mało znany epizod z dziejów pomorskiej konspiracji opisałem w publikacji „Tajemnica Borów Tucholskich" (czyt. „Odkrywca", nr 2/2009). Zastanawiałem się wówczas, która z polskich organizacji podziemnych przeprowadziła tę i podobną akcję, gdy prawie dwa tygodnie później, bo w nocy z 21 na 22 czerwca niemal w tym samym miejscu wykolejono transport wojskowy. *„W grę* – pisałem w 2009 roku – *wchodzą dwie: Armia Krajowa lub ideowo zbliżony do Narodowej Demokracji »Gryf Pomorski«"*, chociaż nie potrafiłem wskazać, która z nich, bo żadna nigdy nie przyznała się do wykolejenia obu pociągów i zabicia wielu Niemców. Dzisiaj już wiem, że obu zamachów na niemieckie pociągi na tym odcinku linii kolejowej z Tczewa do Chojnic, będącej częścią tzw. magistrali królewieckiej, najkrótszą drogą łączącej stolicę Prus Wschodnich z Berlinem, w czerwcu 1942 roku dokonali partyzanci z mało znanej organizacji konspiracyjnej – Polska Armia Powstania (PAP). Używała ona też nazwy Polska Armia Powstańcza i w latach 1940-1947 działała na Pomorzu, a jej Komenda Główna znajdowała się w Toruniu. Do PAP należał kapitan Stanisław Lesikowski, który był mózgiem akcji z 8 na 9 czerwca 1942 roku. Zamach na pociąg pasażerski przeprowadził oddział partyzancki Polskiej Armii Powstania pod dowództwem Stanisława Miszkiera, pseudonim „Kacke", który liczył dwudziestu dobrze wyszkolonych i uzbrojonych ludzi.

Bitwa o szyny w Kraju Warty

Na ziemiach włączonych do Rzeszy dywersję kolejową zastąpił uprawiany na dość szeroką skalę sabotaż. Polscy kolejarze prowadzili go na najważniejszych węzłach Reichsbahn w Kraju

Freitag, den 14. April 1944 — Ostdeutscher Beobachter — Nr. 103

Posen trauert um die Opfer des Terrorangriffs

Feierliche Beisetzung der Gefallenen im Ehrenhain des Deutschen Friedhofs in der Tannenbergstraße

Posen trauerte gestern um die Opfer, die der tückische Mordangriff der amerikanischen Luftgangster am 1. Osterfeiertag gefordert hat. Hinterlistig und feige sind sie gekommen, unschuldige Frauen und Kinder haben sie mitten aus blühendem Leben herausgerissen, pflichttreue Männer haben sie gemordet. Ein neues Schuldkonto haben sie auf ihr Gewissen geladen. Haß und tiefen Abscheu in den Herzen aller Deutschen der Gauhauptstadt, zurücklassend.

Die große Anteilnahme kam in überwältigender Weise am gestrigen Vormittag zum Ausdruck, als große Scharen von Menschen nach dem Friedhof in der Tannenbergstraße zur Beerdigungsfeier strömten. Partei und Wehrmacht hatten am Ehrenhain eine Trauerfeier gestaltet, die ein Bekenntnis für die Toten und ein Schwur zugleich war, aus der Härte der Stunde die Härte der Haltung zu schöpfen, aus den Opfern der feige Gemordeten sich über die Gräber hinweg die innere Zuversicht zu bewahren. Erschütternd war der Schmerz der vielen Hinterbliebenen, aufrüttelnd aber waren die Worte des Wehrmachtkommandanten und des Kreisleiters. So groß das Leid des einzelnen auch ist, so stark ist auch in jedem die Erkenntnis verankert, daß aus der opferreichen Notstunde des Reiches in nicht ferner Zukunft eine Zeit der Freiheit und der Größe erstehen wird. Die gestern zu Grabe Getragenen erleben diese Zeit nicht mehr, aber ihr Opfer trug dazu bei, daß sie kommt.

Das letzte Geleit

In mehreren Reihen hintereinander waren die mit dem Hakenkreuz geschmückten Särge aufgestellt. Hinterbliebenen mit Kränzen in den Händen Wache vor ihnen. Im weiten Quadrat hatten Abordnungen der Politischen Leiter, Ehrenformationen der Gliederungen und angeschlossenen Verbänden und eine Ehrenkompanie der Wehrmacht, die von einem Offizier und Eichenlaubträger dem Wehrmachtkommandanten gemeldet wurde, Aufstellung genommen. Der Ehrenplatz vor den Toten war den Hinterbliebenen vorbehalten, die zum Teil erst im letzten Augenblick aus dem Altreich zugereist waren. Ein Wald von Fahnen der Partei und der Gliederungen umsäumten die schlichten, mit den Namen der Toten versehenen Särge.

Neben Tausenden von deutschen Volksgenossen, die es sich nicht nehmen ließen, den Gemordeten die letzte Ehre zu geben, hatten sich auch alle namhaften Vertreter von Partei, Staat, Wehrmacht und Wirtschaft eingefunden, an ihrer Spitze Gauleiter und Reichsstatthalter Arthur Greiser und der stellvertretende Kommandierende General und Befehlshaber im Wehrkreis XXI, General der Artillerie Petzel. Begleitet von Kreisleiter V. i. A. Dr. Sprenger und dem Wehrmachtkommandanten, Generalmajor von Schuler, sprachen der Gauleiter und der Kommandierende General jedem einzelnen Hinterbliebenen ihr Beileid aus. Fassungsloser Schmerz beherrschte die große Trauergemeinde, unter der Frauen waren, die ihre Männer beklagen, Männer, die ihre Frauen verloren, Mütter, die um ihre Kinder weinten.

Wir lassen uns nicht niederzwingen

Ein Musikkorps der Wehrmacht spielte einen Trauermarsch. „Erde schaltt das Neue" sang die Spielschar der HJ. Sprechen Ueber den Gräbern blüht neues Leben — Du heilige Erde, nimm, was du gegeben. Du Deutschland wirst bleiben, wenn auch vergeha — und Söhne und Enkel werden erstehn und leben und wirken und kämpfen für dich, Deutschland.

Aufrüttelnd sodann die Ansprache des Wehrmachtkommandanten Generalmajor von Schuler. Erschüttert stehen wir, so sagte er, an der Bahre dieser Menschen, die amerikanischen Terror zum Opfer gefallen sind. Unter ihnen Angehörige der Wehrmacht, die sich auf der Urlaubsfahrt befanden und die Stunden zählten, die sie noch von ihren Lieben trennten. Unter ihnen deutsche Männer und Frauen, die am Ostersonntag die erste warme Sonne im Freien genießen wollten. Als wenn sie im Nu dahingerafft 'In heißem Mitgefühl gedenken wir derjenigen Angehörigen, die dieser Stunde nicht beiwohnen dürfen, heißes Mitgefühl empfinden wir für die Angehörigen, die miterleben und ansehen mußten, wie ihre Lieben gemordet wurden. Solid stark, so rief der General den Angehörigen zu, so stark wie unsere Brüder und Schwestern im Westen des Reiches. Trost kann euch niemand geben, aber soid sicher, daß eine heilige Flamme der Empörung in uns aufgelodert ist gegen den Feind, der bloral und alles Recht mit Füßen tritt. Seine Feigheit und Hinterhältigkeit sind aus der Ohnmacht dem deutschen Soldaten und der Haltung der deutschen Menschen gegenüber geboren. Der Deutsche läßt sich nicht niederzwingen. auch ihr sollt euch nicht bezwingen lassen. Die hier vor uns liegen. sie starben für Deutschland, aus ihren Särgen erwächst uns neue Kraft. Wir grüßen sie und wir werden immer ihrer gedenken.

Ein jähes Schicksal, so sagte Kreisleiter V. i. A. Dr. Sprenger in seiner Ansprache, hat sie, denen Gedenken diese Stunde gilt, aus dem Leben gerissen. Sie werden hier an dieser Stelle gebettet, an der die gefallenen Volksdeutschen Frauen und Männer ruhen. Tressorgende Mütter, liebende Bräute und unschuldige Kinder — ihr Leben wurde ausgelöscht. Soldaten und Politische Leiter, in treuer Pflichterfüllung auf dem Posten stehend, sie sind nicht mehr. In herzzerreißendem Schmerz haben die Angehörigen die Vorsehung und Gott gefragt, warum sie das zulassen konnten. Dann erfaßte sie Grimm und tiefe Abscheu gegen diejenigen, die eine satanische Freude daran haben, Kinder und Frauen zu vernichten. Unauslöschlicher Haß hat sich in ihre und in unsere Herzen gegraben.

Dumpfer Trommelwirbel klang auf, als Dr. Sprenger nach den Worten: So grüßen wir euch, ihr Toten und danken euch in tiefer Ehrfurcht, die Namen der Dahingegangenen verlas.

Gauleiter und Reichsstatthalter Greiser und General Petzel legten an den Särgen Kränze der Partei und der Wehrmacht nieder, während das Musikkorps der Wehrmacht das Lied vom guten Kameraden spielte und die Musikkapelle mit erhobenen Hand in ehrfürchtiger Stille verharrte, Abordnung hinter Abordnung, darunter der Oberbürgermeister der Gauhauptstadt Dr. Scheffler, trat dann vor und übergab den Toten den letzten Blumengruß.

Nach der ergreifenden und überaus würdigen Trauerfeier wurden die Särge in die Erde versenkt. Dicht nebeneinander ruhen die Toten, die ein gemeinsames Geschick aus diesem Leben gerissen hat.

Der Rundfunk am Freitag

11.30 bis 12: „Wer schaffen will, muß fröhlich sein", ein Chor und Musikzug des RAD. 12.35 bis 12.45: Der Bericht zur Lage. 15.30 bis 16: Solistenmusik. Werke von Joseph Haas. 17.15 bis 18.20: Hamburger Sendung „Ja, wenn die Musik nicht wär". 19.15: Frontberichte. 19.45 bis 20: Dr. Goebbels-Artikel: „Das Leben geht weiter". 20.15 bis 21: Operettenmelodien und Tänze. 21 bis 22: Heitere Musik, bekannte Stimmen: Hans Berger und Helge Roswänge.

Deutschlandsender: 17.15 bis 18.30: Orchester- und Kammermusik von Bach, Beethoven und Haydn. 19.10 bis 19.15: Wir raten mit Musik. 20.15 bis 21: „Das Tierleben". namhafte Solisten to liefern.

Verdunkelung: Von 20.40 bis 5.35 Uhr

Die übrigen würdige Trauerfeier für die Opfer des amerikanischen Bombenterrors auf dem Tannenbergfriedhof in Posen. Links: Gauleiter Greiser und General Petzel sprechen den Angehörigen ihr Beileid aus. Rechts: Hitlerjungen halten an den Särgen Wache

Die Trauerfeier auf dem Hauptfriedhof

Die Opfer, die der amerikanische Terrorangriff aus den Reihen der polnischen Bevölkerung gefordert hatte, wurden im Rahmen einer kirchlichen Feier auf dem neuen Hauptfriedhof gemeinsam beigesetzt. Eine große Menschenmenge umstand dicht gedrängt das mit Tannenspitzen geschmückte Grab, in dem die schlichten Holzsärge mit den Namen der einzelnen Toten aufgestellt waren. Die Würde des Augenblicks wurde unterstrichen durch die Anwesenheit des Oberbürgermeisters und der Leiter der Behörden, zu deren Geleitschaften die Toten gehört hatten.

Im Mittelpunkt der Trauerfeier stand ein Gottesdienst, den der polnische Bischof Dymek in vollem Ornat abhielt. Mit Worten tiefer Ergriffenheit sprach er den Hinterbliebenen der verlorenen Trost zu und mahnte alle übrigen zu seelischer Bereitschaft und Fassung für Schicksalsfügungen, die niemand voraussehen könne. Nachdem die Verlesung der Totenliste, Gebet und gemeinsamer Gesang die kirchliche Feier beschlossen hatten, gab Oberbürgermeister Dr. Scheffler in einer kurzen Ansprache dem Mitgefühl der deutschen Stellen für die Verluste Ausdruck, die der feindliche Terrorangriff auch unter der friedliebenden und arbeitsamen polnischen Bevölkerung verursacht hat und legte zum Ausdruck dieses Bedauerns einen Kranz der Stadtverwaltung am offenen Grabe nieder. Weitere Kränze wurden von einer Abordnung der Wehrmacht, vom Präsidenten der Reichsbahndirektion Dr. Holz und vom Präsidenten der Reichspostdirektion Richter niedergelegt.

Gottesdienst für die Opfer der polnischen Bevölkerung

Aufn. (3): OB Bilmer

Jedna ze stron dziennika „Ostdeutscher Beobachter" z 14 kwietnia 1944 roku, gdzie obok informacji o pogrzebie niemieckich ofiar amerykańskiego nalotu zamieszczono także zdjęcie z notką o pogrzebie Polaków.

Warty, przede wszystkim w Ostrowie Wielkopolskim, Poznaniu, Gnieźnie, Jarocinie i Lesznie, ale także we Wrześni, Krotoszynie, Rawiczu, Kole czy Kobylinie, by wymienić tylko miasta leżące w obecnym województwie wielkopolskim. A do tego dochodziły jeszcze duże stacje węzłowe w innych miastach Kraju Warty, choćby w Łodzi, Kutnie czy Inowrocławiu. Formy sabotażu były różne. Do maźnic dolewano kwas solny i wsypywano piasek, co powodowało zwiększenie tarcia i w efekcie zapalenie osi wagonów, a nierzadko całych wagonów. Uszkadzano semafory, do palenisk parowozów wrzucano butelki z benzyną, powodując wybuchy. We wspomnianym Kobylinie na rozjeździe wykolejono transport wojskowy jadący z Krotoszyna do Rawicza. Lista tego typu i podobnych form sabotażu polskich kolejarzy z Kraju Warty jest dłuższa. W Ostrowie np. „ginęły" wagonowe karty przewozowo-adresowe. Pozbawione ich wagony krążyły po całej Rzeszy dezorganizując transport, a przesyłane w nich towary często ulegały zepsuciu. Kolejarze wielkopolscy z narażeniem życia przewozili też na teren GG ludzi poszukiwanych przez hitlerowską policję, a w powrotnej drodze, czasami, zabierali ze sobą ulotki i prasę podziemną. Ani w Kraju Warty, ani w innych częściach ziem polskich wcielonych do Rzeszy (Górny Śląsk, Prusy Zachodnie i Wschodnie) nie były to akcje masowe, ale były. Z samego tylko węzła poznańskiego Reichsbahn – jak ustalili historycy w czasach PRL – dziesięciu polskich kolejarzy ścięto lub rozstrzelano, a trzydziestu kolejarzy-Wielkopolan zginęło w obozach koncentracyjnych.

Wymieniając różne przykłady form walki o szyny w wielkopolskiej części Kraju Warty, Mariusz Golik w wydanej w 1983 roku niewielkiej, ale rzetelnie opracowanej książeczce „Przed zamkniętym semaforem", nie wspomina o najbardziej spektakularnej akcji, czyli wykolejeniu dwóch pociągów na Starołęce. Informacji o tej katastrofie nie znajdzie się też we wspomnieniach, choćby (poza zdjęciem z ogólnikowym podpisem o *„akcji sabotażowej na dworcu kolejowym Poznań-Starołęka"*) w monumentalnej pracy „W konspiracji wielkopolskiej 1939-1945", wydanej w 1993 roku pod redakcją Zenona Szymankiewicza.

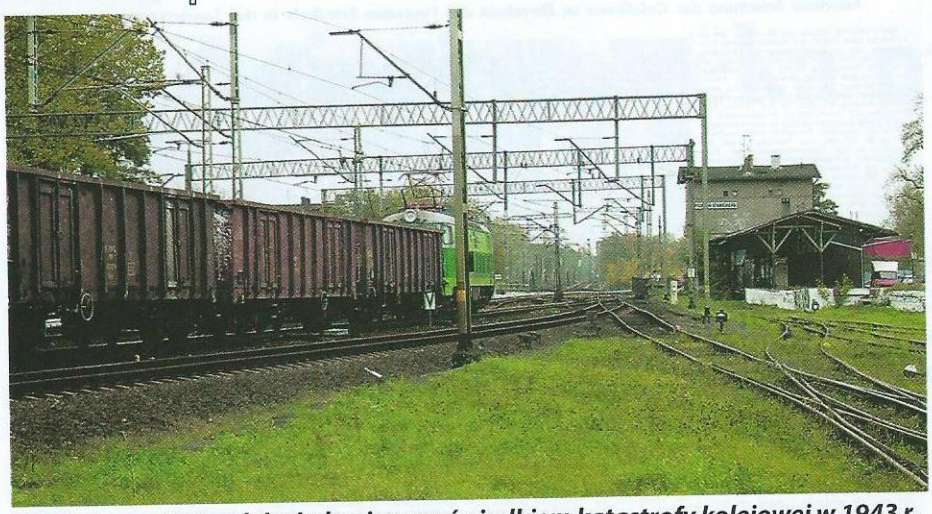

Stacja Poznań Starołęka była niemym świadkiem katastrofy kolejowej w 1943 r.

Kłębowisko wagonów

W 1943 roku Marian Rosada miał 13 lat i jak wielu jego rówieśników, mieszkających w ówczesnym Posen, musiał pracować. 16 sierpnia tegoż roku został zatrudniony w zakładach Siemensa, które w tym czasie montowały instalacje elektryczne w przeniesionej z Lipska do Poznania fabryce maszyn rolniczych. Do pracy Rosada dojeżdżał więc koleją na Starołękę. I tak też było tego dnia. – *Tego dnia, krótko po moim zatrudnieniu się w zakładach Siemensa* – wspominał Rosada pod koniec 2007 roku – *pociąg nie dojechał na stację Poznań Starołęka. Zatrzymał się gdzieś na wysokości spichlerza, który niedawno spłonął. Usłyszeliśmy, że wszyscy mają wysiadać, bo pociąg dalej nie jedzie. „Schnell! Schnell!" – poganiali pasażerów Bahnschutze. Wychodzę z wagonu i widzę, że cały teren oświetlony jest lampami karbidowymi i wszystko zawalone jest węglem. Co tu się stało? Po chwili zobaczyłem kłębowisko wagonów towarowych i dwa zniszczone parowozy, które zderzyły się czołowo. Kabina maszynisty jednego z nich była zupełnie zgnieciona. Zwisała zeń tylko ręka maszynisty lub jego pomocnika. Musiał zginąć na miejscu. Do stojącego niemal pionowo wagonu-bramkardu, który jechał tuż za tym parowozem, przystawiona była drabina. Tyle tylko zdążyłem zobaczyć, bo strażnicy kolejowi szybko przepędzili nas z miejsca katastrofy. Próbowałem tam wrócić po pracy, ale Niemcy przegonili mnie. Musiałem ratować się ucieczką…* To jedyna znana mi relacja z miejsca katastrofy kolejowej na stacji Poznań Starołęka 15 września 1943 roku. Zachowały się też dwie fotografie przedstawiające spiętrzone i rozbite wagony z węglem. Widać tam również ów wagon-bramkard, rzeczywiście niemal pionowo stojący na węglarce parowozu. – *O przyczynach tej katastrofy mówiło się różnie* – dodał Rosada. – *Mój ojciec uważał, że spowodowali ją polscy kolejarze-członkowie Armii Krajowej zatrudnieni w przedsiębiorstwie Reichsbahn w Kraju Warty*.

Wszystko wskazuje, że zderzenie i wykolejenie pociągów w tamtą wrześniową środę na stacji Posen Luisenhainbahnhof, nie było efektem działalności patrolu Kedywu AK – jak przeczytamy w niektórych publikacjach IPN, choćby w wydanym w 2007 roku „Polskim Państwie Podziemnym w Wielkopolsce 1939-1945" – ale skutkiem wypadku. A może raczej skutkiem nadmiernego eksploatowania taboru i infrastruktury kolejowej, braku właściwej konserwacji i wojennego tłoku na żelaznych szlakach. Niemcom do końca ich pobytu w Posen nie udało się ustalić konkretnej przyczyny tej katastrofy, chociaż niemal od razu wykluczono udział polskiego podziemia. Nikogo nie aresztowano, nie wspominając już o jakichś odwetowych egzekucjach.

Oparty o ścianę budynku. Posen Hauptbahnhof

Chociaż katastrofa na Starołęce była wypadkiem, to przecież nikt nie kwestionuje, że różne, często drobne formy sabotażu kolejowego godziły w niemiecki przemysł wojenny, a straty z biegiem lat rosły. Nie da się jednak porównywać ich do skutków bombardowań. Na celowniku aliantów, prędzej czy później, musiał znaleźć się też Posen, z liczącymi się w Rzeszy zakładami zbrojeniowymi i dużym węzłem kolejowym, gdzie krzyżowały się linie kolejowe, które w latach II wojny światowej w gospodarce niemieckiej i sprawnym funkcjonowaniu sił zbrojnych odgrywały bardzo ważną rolę. Poznań leży wszak na szlaku Berlin-Warszawa-Mińsk i dalej w kierunku Moskwy. Stąd wychodzą również, i wychodziły w czasie wojny, linie kolejowe do: Stettina (Szczecina) i Swinemünde (Świnoujścia), do Danzig (Gdańska) i Gotenhafen (Gdyni), do Allenstein (Olsztyna) i dalej do Königsberga (Królewca, obecnie Kaliningradu), do Breslau (Wrocławia) i dalej przez Waldenburg (Wałbrzych) do Dresden, do Kattowitz (Katowic) przez Ostrowo (Ostrów Wielkopolski), oraz do Schneidemühl (Piły) i jeszcze kilka linii o znaczeniu lokalnym. Na miarę sił i możliwości Niemcy inwestowali też w rozwój kolei, np. budując w okolicach Posen dużą towarową stację rozrządową, tuż za ówczesnymi wschodnimi granicami miasta, na obecnym Franowie. Nocne bombardowanie Poznania, w czym specjalizowali się Brytyjczycy, nie wchodziło raczej w grę, ze względu na polskich mieszkańców stolicy Kraju Warty. Wybrano więc najbardziej optymalny wariant – bombardowanie w dzień wybranych celów, co powinno do minimum ograniczyć ofiary wśród Polaków, chociaż z góry założono, że ofiar wśród cywilów uniknąć się nie da…

9 kwietnia 1944 roku, w pierwszy dzień Świąt Wielkanocnych, nad okupowanym Poznaniem pojawiły się bombowce 8. Armii Lotniczej USA. Pierwsze nadlatujące maszyny, przy bezchmurnej pogodzie, zrobiły serię bardzo dobrej jakości zdjęć przedstawiających Posen na chwilę przed eksplozją bomb. Widać na nich także ówczesne tereny kolejowe z charakterystycznym budynkiem Dworca Głównego i wiatami nad peronami. Ulice są niemal puste. U wylotu Bahnhofstrasse (Dworcowej) i na Glogauerstrasse (Głogowskiej), w pobliżu zachodniego wejścia na poznański dworzec kolejowy, widać podłużne plamki. To tramwaje, które prawdopodobnie ich obsługa – motorniczowie i zapomniani już dzisiaj konduktorzy – porzuciła w chwili ogłoszenia alarmu przeciwlotniczego i schroniła się gdzieś w pobliżu. Z kolejnych zdjęć lotniczych widać, że pierwsze amerykańskie bomby uderzyły w zakłady Deutsche Waffen- und Munitionsfabriken na poznańskiej Wildzie, bo właśnie nad tą dzielnicą, a ści-

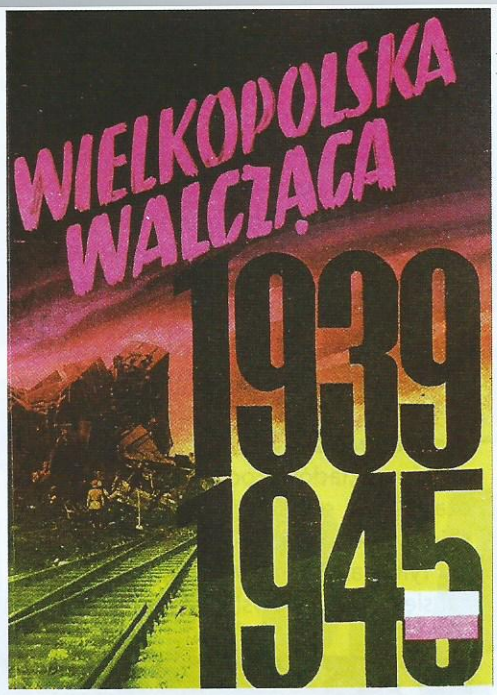

Okładka wydawnictwa „Wielkopolska walcząca 1939-1945" z czasów PRL ze zdjęciem z miejsca katastrofy na Starołęce.

ślej nad halami dawnych zakładów „Cegielskiego", unoszą się gęste kłęby dymu. Następne bomby z kilkaset, które tego dnia Amerykanie zrzucili na Posen, raziły główny dworzec kolejowy i przyległe tereny. W połowie lat 90. XX wieku Edmund Adamczak w liście do mnie, wtedy dziennikarza „Głosu Wielkopolskiego", napisał: *„Pracowałem wówczas jako robotnik przetokowy na poznańskim węźle kolejowym i do końca życia będę pamiętał makabryczne sceny z Dworca Głównego po bombardowaniu alianckim. Z poczekalni »Nur für Deutsche« wynosiłem na noszach ciężko rannych, a nawet konających Niemców. Strasznie jęczeli, wołali Boga. Wszędzie było pełno krwi. Rannych zanosiliśmy do karetek pogotowia, które stały na peronie pierwszym, tuż obok parowozu siłą podmuchu po eksplozji bomby ustawionego niemal pionowo i opierającego się podwoziem o ścianę budynku dworcowego".* Na kolejnym zdjęciu lotniczym widać więc kłęby dymu unoszące się nad terenami kolejowymi, w tym, nad głównym budynkiem dworcowym, i tym znajdującym się w pewnej odległości od niego – w 1913 roku zbudowanym specjalnie dla powitania cesarza Niemiec Wilhelma II i jego rodziny. Płonęły też pobliskie hale wystawowe Międzynarodowych Targów Poznańskich, gdzie znajdowała się część poznańskiej filii zakładów Focke-Wulf Flugzeugbau GmbH, produkujących samoloty i obiekty cywilne, które choćby ze względu na prowadzone badania naukowe mogły być przez Amerykanów wpisane na listę celów, jak np. Haus der Naturwissenschaft (obecne Collegium Chemicum) Reichsuniversität Posen.

Pogrzeb z udziałem biskupa

Podczas szesnastu minut nalotu na Posen, w niedzielę Wielkanocną 1944 roku, zginęło 47 Polaków i 35 cywilnych Niemców. Te liczby za niemieckimi danymi podał Czesław Łuczak we wspomnianej pracy „Dzień po dniu w okupowanym Poznaniu". Oprócz nich poległo wiele osób woj-

REKLAMA

LESZEK ADAMCZEWSKI

DYMY NAD GDAŃSKIEM

AGONIA PRUS ZACHODNICH

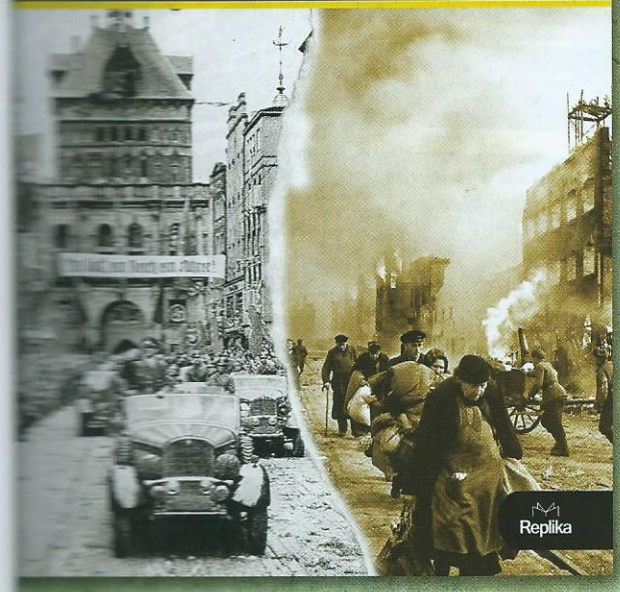

www.replika.eu

Najnowszy zbiór historycznych reportaży autora bestsellerów „Zmierzch bogów w Posen" i „Łuny nad jeziorami"

Wojenne i powojenne epizody z dziejów byłej prowincji Gdańsk–Westpreussen

m.in. Gdańsk – Gdynia – Sopot – Bydgoszcz – Toruń – Elbląg – Puck – Jastarnia – Nakło – Hel

POLECAJĄ

Replika

ODKRYWCA® SKARBY • WOJNA • HISTORIA

konflikty.pl portal historyczno - militarny

Radio Gdańsk

skowych i tych, których władze Kraju Warty uważały za wojskowych, jak np. policjantów. Ich liczba nie jest znana, ale wszystko wskazuje, że przewyższa straty ludności cywilnej. Gdy tylko ugaszono ostatnie pożary wzniecone przez amerykańskie bomby, namiestnik Rzeszy w Kraju Warty i miejscowy gauleiter NSDAP Arthur Greiser, wpadł na pomysł zorganizowania uroczystego pogrzebu... polskim ofiarom nalotu i nadania mu sporego rozgłosu propagandowego. Odbył się on 13 kwietnia 1944 roku na cmentarzu na Głównej, gdzie przed masową mogiłą, do której złożono 36 trumien ze zidentyfikowanymi zwłokami Polek i Polaków, uroczyste egzekwie żałobne odprawił, zwolniony na ten dzień z aresztu domowego, biskup Walenty Dymek – sufragan (biskup pomocniczy) kardynała Augusta Hlonda na archidiecezję poznańską. Wygłosił też okolicznościowe przemówienie, pozbawione jednak oczekiwanych przez nazistów treści politycznych, zwłaszcza potępienia „terrorystycznych nalotów bombowych" aliantów. W imieniu władz Kraju Warty współczucie ludności polskiej wyraził nadburmistrz Posen Gerhard Scheffler, który też w imieniu Zarządu Miejskiego złożył na mogile wieniec. Wieńce złożyły również delegacje Wehrmachtu, oraz poznańskich Dyrekcji Kolei Rzeszy i Poczt. Podczas kolejnego nalotu na Posen, do którego doszło 29 maja 1944 roku, tereny kolejowe nie ucierpiały już tak bardzo, jak półtora miesiąca wcześniej. Lotnictwo amerykańskie w ten wojenny poniedziałek skoncentrowało się bowiem na zniszczeniu zakładów Focke-Wulfa, zwłaszcza fabryki samolotów w podpoznańskich wtedy Krzesinach.

Tymczasem milowymi krokami zbliżał się kres hitlerowskich rządów w tym jednym z najstarszych miast polskich, i zbliżała się paniczna ucieczka Niemców. Podczas niej grupa czerwonoarmistów, którzy niespodziewanie przeprawili się przez zamarzniętą Wartę, zniszczyła uciekający z Posen ostatni niemiecki pociąg ewakuacyjny. Pociąg tajemniczy, przez lata obrosły mitami. Ale to już jest temat na oddzielną publikację.

Leszek Adamczewski

Dziennikarz, pisarz, badacz przeszłości. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Autor wielu niezwykle popularnych książek o tematyce eksploracyjnej i historycznej.

Dwa fragmenty amerykańskich zdjęć lotniczych przedstawiających tereny kolejowe z głównym dworcem kolejowym w wojennym Poznaniu na chwilę przed i podczas bombardowania 9 kwietnia 1944 roku.

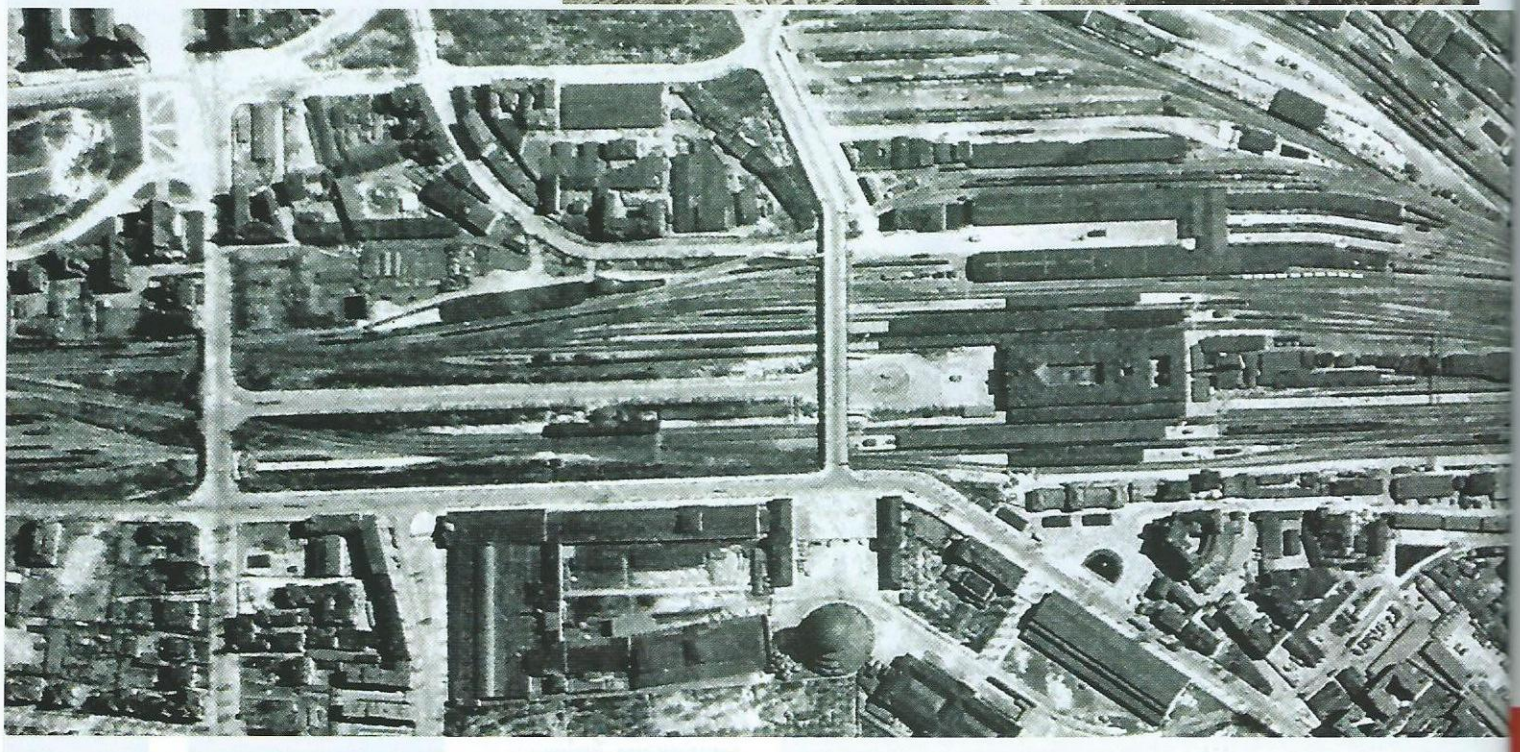

REBIS

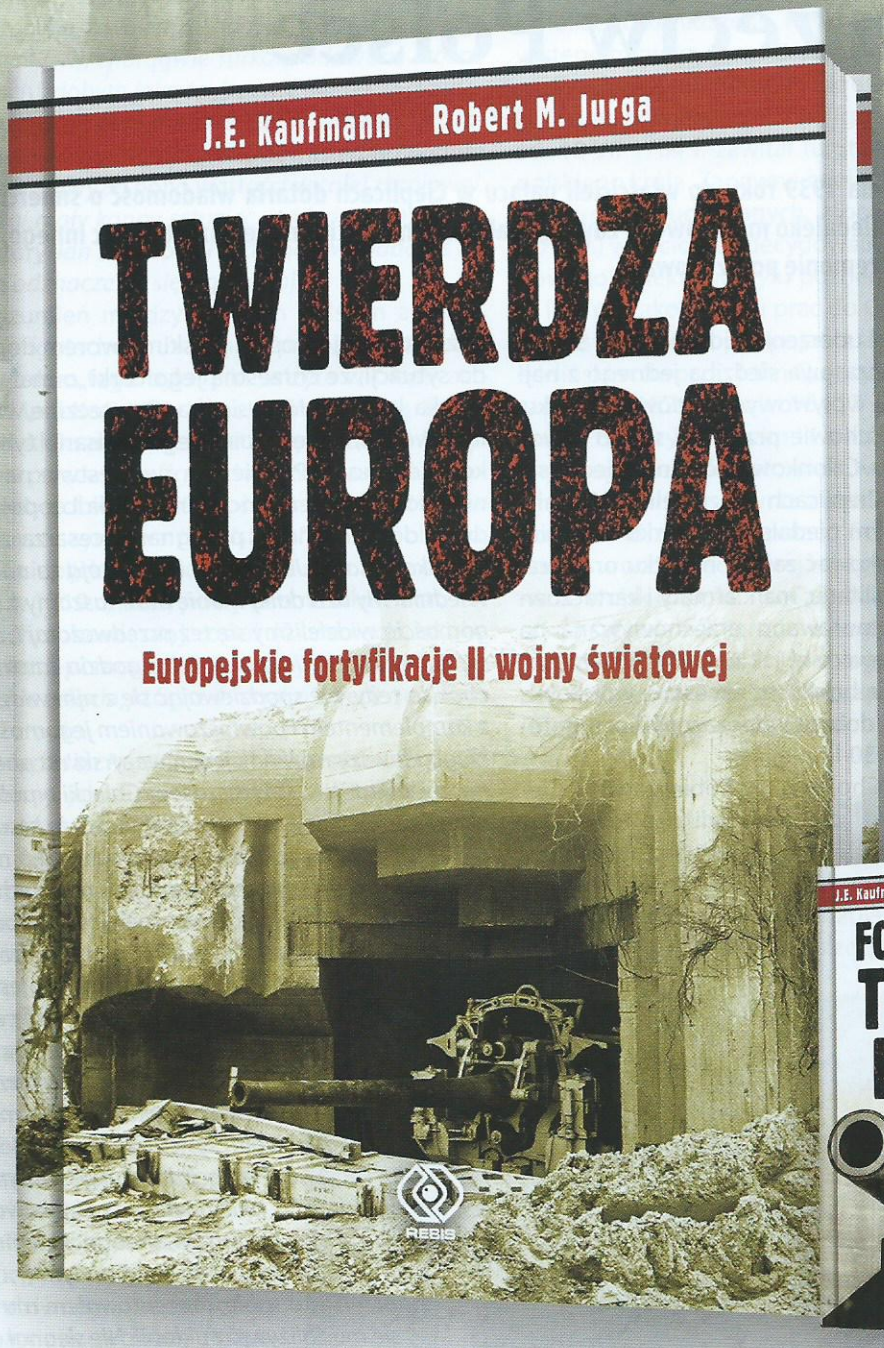

Polecamy też:

Unikatowa publikacja kompleksowo prezentująca europejskie fortyfikacje z czasów II wojny światowej – od Wału Atlantyckiego do Linii Mołotowa. Ponad 100 rysunków technicznych i planów, 60 fotografii i 45 map.

ODKRYWCA®
SKARBY • WOJNA • HISTORIA

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o. www.rebis.com.pl

Militarne epizody dolnośląskich rezydencji (cz. 6)

Schaffgotschowie z Cieplic – za i przeciw Polsce

TEKST: SZYMON WRZESIŃSKI

W ostatniej dekadzie września 1939 roku do właścicieli pałacu w Cieplicach dotarła wiadomość o śmierci ich syna. Niemal 21-letni młodzieniec poległ niedaleko miejscowości Zawady. Załamanym rodzicom nie pozostało nic innego, jak tylko sprowadzić zwłoki i zorganizować ceremonię pogrzebową.

31 sierpnia 1675 roku od uderzenia pioruna spalił się zamek Chojnik, dotychczasowa siedziba jednego z najzamożniejszych i najbardziej wpływowych rodów na Śląsku. W związku z tym, Schaffgotschowie przenieśli się do swych majątków poniżej ruin zamku. Członkowie rodziny osiedlili się w renesansowym pałacu w Cieplicach (ob. dzielnica Jeleniej Góry), natomiast w położonym niedaleko folwarku w Sobieszowie zdecydowano się ulokować zarząd majątku oraz uratowane po pożarze zamku militaria, m.in. armaty i kartaczownice. Wkrótce potem odrestaurowano przechowywaną na zamku w Chojniku broń drzewcową, jak halabardy, berdysze i piki. Pozyskano również inną broń oraz akcesoria wojskowe, albowiem zamek był bardzo dobrze wyposażony i przygotowany w ostatniej fazie wojny 30-letniej.

Panujący ówcześnie na Chojniku, w Sobieszowie i Cieplicach Krzysztof Leopold, zasłynął w historii jako towarzysz króla polskiego Jana III Sobieskiego podczas wyprawy na odsiecz Wiednia (1683 r.). Zapewne spory wpływ na taką decyzję miał fakt, iż Schaffgotsch wielokrotnie był wysyłany do Rzeczypospolitej w charakterze posła Habsburgów. Zawiązanie bliższych znajomości z polskim dworem doprowadziło nawet do sytuacji, że chrzestną jego córki „o mały włos" nie została polska królowa Marysieńka. Ostatecznie, wskutek cesarskiej interwencji, żonę Sobieskiego wpisano tylko na listę świadków ceremonii. Po wielkim zwycięstwie nad Turkami, gdyby nie osobista interwencja Krzysztofa Leopolda, mogło by nie dojść do oficjalnego pożegnania cesarza z polskim królem: *„Wojska Cesarza Jegomości i inne stoją za nami o mile tylko od Wiednia. My dziś dalej w imię Boże ruszamy (…). Z Cesarzem Jegomością widzieliśmy się też przedwczoraj (…), który po moim się ruszeniu od Wiednia, w kilka godzin zaraz do miasta przyjechał. Ja tedy, nie spodziewając się z nim widzieć, (…) posłałem z komplementem i powinszowaniem jegomościa ks. podkanclerzego, dawszy mu znak jeden wezyrski na pamiątkę szczęśliwej naszej wiktorii. (…) Tymczasem Gałecki o północy jako szalony przybiega do mnie od Pana Szafgocza, że cesarz wielce utrapiony, że przez jegomościa ks. podkanclerzego mówić z nim chcę, a on nie z oratorem moim, ale ze mną samym rozmówić się chce"*. Incydent ten oraz wcześniejsze nieporozumienia wpłynęły na późniejsze, nader chłodne spotkanie monarchów: *„Odpowiedział pan Szafgocz, że tak jest, że Cesarz Jegomość tym się turbuje (…). Dałem tedy sposób, że ja tego dnia z wojskiem ruszę; skoro tedy cesarz zbliżać się będzie, wyjadę od wojska ku niemu i powitamy się na koniach i staniemy przeciwko sobie (…), on między elektorami, a ja między swoim synem, senatorami i hetmanami. (…) I tak się stało. Przyjechał cesarz z samym tylko elektorem bawarskim (…); kilkadziesiąt z nim kawalerów dworskich, urzędników i ministrów, drabanci za nim, trębacze przed nim (…). Siedział na koniu gniadym (…). Stanąwszy tedy naprzeciwko sobie, prezentowałem mu syna swego, który się mu zbliżywszy ukłonił. Nie sięgnął cesarz nawet ręką do kapelusza; na co ja patrząc, ledwom nie zdrętwiał. Toż uczynił i wszystkim senatorom i hetmanom, i swemu powinowatemu (…).* [Dlatego postanowiłem] *jeno jeszcze kilka słów mówić do niego; po których obróciłem się na koniu, pokłoniwszy się wspólnie, i w swą pojechałem drogę (…). Po tym widzeniu, zaraz tak wszystko się odmieniło, jakoby nas nigdy nie znano. Odjechali od nas i Szafgocz, i ablegat…"*. Pierwszy z nich zabrał do domu

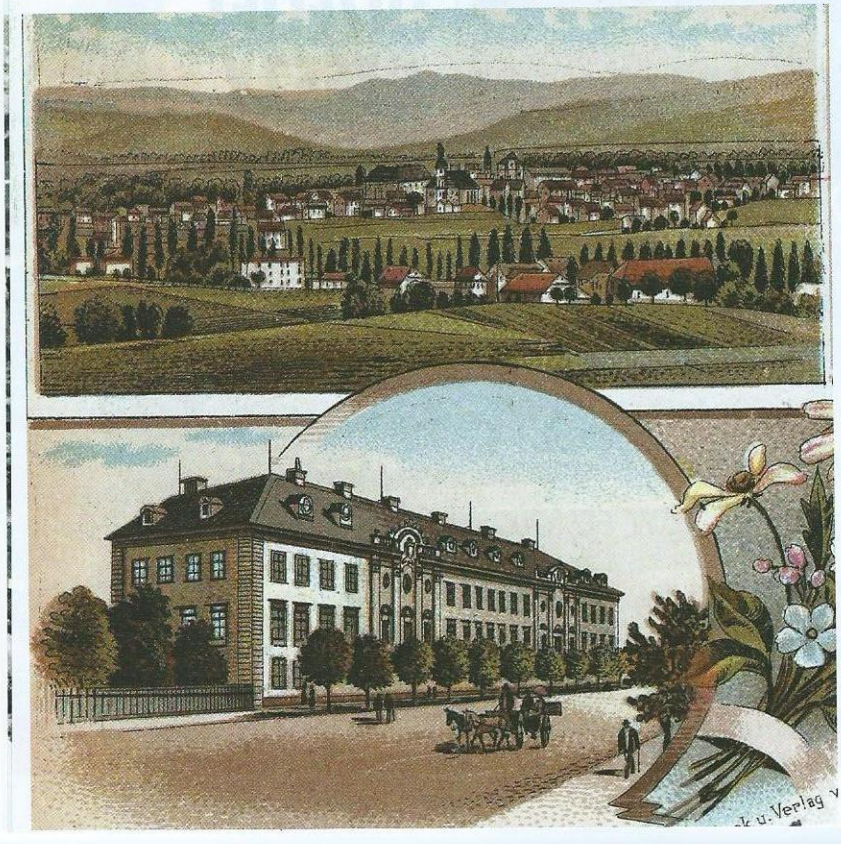

Panorama Cieplic i pałac Schaffgotschów w latach 90. XIX w., ze zb. Sz. Wrzesińskiego.

bogate łupy, którymi ozdobił wiele sal w swym pałacu. Poza tarczami, szablami i innymi trofeami, bardzo cenną był dar od Jana Sobieskiego, o którym wspominał w połowie XIX w. polski poeta i podróżnik, Wincenty Pol: *„Są to familijne pamiątki z rycerskich czasów, mające jednak historyczną wartość, bo o każdej zbroi jest jakieś zajmujące podanie, i tak znajdują się tutaj zdobyte chorągwie z wojen religijnych i buńczuki z wyprawy pod Wiedniem (…), chorągwie Turkom odebrane i różne inne łupy na Turkach zdobyte jako to: bogate siodła, buzdygany, sahajdaki, tarcze i karabele tureckie. Zbiór szczególnie starych strzelb i hakownic wałowych, częstokroć misternie i bogato inkrustowanych, jest najwyżej pono wartości w całej zbrojowni. Pokazano nam tutaj mały konny sztuciec wykładany misternie kością słoniową, który Jan III darował Szafgoczowi podczas bitwy wiedeńskiej za odznaczenie się jego w boju"*.

Mimo nieporozumień między dworem polskim a cesarskim, rodzina Schaffgotschów utrzymała przyjazne stosunki z Sobieskimi. Dowodem tego była m.in. wizyta w Cieplicach polskiej królowej Marii Kazimiery wraz z córką Teresą Kunegundą oraz synami Aleksandrem i Konstantym (1687 r.). Wszyscy zatrzymali się w pałacu Schaffgotschów do czasu, aż nadeszła wiadomość o chorobie Jana III. Gościem Schaffgotschów był również najstarszy syn „Lwa Lechistanu" Jakub Sobieski, który przebywał w cieplickim pałacu w 1702 roku. Dobre relacje zakończyły się w 1719 r., kiedy nowy pan na włościach, Jan Antoni Schaffgotsch, zobowiązany został do usunięcia Jakuba Sobieskiego z Oławy. Z pomocą 200 żołnierzy przegnał niewygodnego politycznie księcia, który zabiegał o zajęcie jednego z kilku tronów w Europie.

W kolejnych latach Jan Antoni podjął kilka istotnych decyzji, zarówno dla formy, jak i funkcjonowania własnego majątku. W 1720 r. nakazał rozbudować cieplicki kompleks dworski w stylu modnego wówczas baroku, zaś w lutym 1733 r. napisał testament, będący jednocześnie dokumentem fundacyjnym Biblioteki Schaffgotschów. Zobowiązał w nim swoich spadkobierców do utrzymania i zabezpieczenia zbiorów bibliofilskich, cennych dzieł sztuki oraz gromadzonych przez długie dekady wartościowych militariów. Ponieważ przez pięć kolejnych lat zdrowie mu dopisywało, w 1738 r. spisał nowe dyspozycje dotyczące swego dziedzictwa oraz zabezpieczenia finansowego swoich dzieci. Zbiory militariów wraz z pozostałymi zbiorami Schaffgotschów i szeregiem okolicznych dóbr miał otrzymać najstarszy syn. Nic dziwnego, że młodszy Franciszek, pozbawiony rodowej fortuny, poświęcił się karierze wojskowej. Zmarł w młodym wieku w Pradze w stopniu podpułkownika. Nieco lepiej potoczyła się kariera trzeciego syna Jana, który wstąpił w szeregi Zakonu Maltańskiego. Po latach walk na Bliskim Wschodzie aktywnie działał w służbie cesarskiej, dzięki czemu doczekał się stopnia rotmistrza, a następnie cesarskiego szambelana i wielkiego koniuszego. Pełnił także funkcję tajnego i rzeczywistego ministra stanu oraz wojny.

Przełom XVIII i XIX w. to okres korzystania ze źródeł cieplickich oraz odwiedzania Schaffgotschów przez wiele osobistości. 12 VII 1784 r. zawitał tu Stanisław Poniatowski, bratanek polskiego króla. Zapewne miał możliwość ujrzenia prowadzonych robót budowlanych, albowiem po pożarze rezydencji (1777 r.) właściciele zdecydowali się na wzniesienie całkowicie nowego obiektu w stylu późnego baroku (1784-1788). Cztery lata po zakończeniu prac do Cieplic przyjechał Hugo Kołłątaj, zaś z końcem lipca pojawił się amerykański ambasador na berlińskim dworze, John Quincy Adams (prezydent USA w latach 1825-1829). Z kolei 16 i 17 sierpnia pałac odwiedzili: król pruski Fryderyk Wilhelm III z królowa Luizą oraz brat monarchy, książę Henryk. Natomiast w 1814 r. okolice zwiedzał książę Jerzy Czartoryski wraz z siostrą Marią. W tym samym jeszcze roku (6 marca) w pałacu Schaffgotschów przygotowano wielką uroczystość, której motywem przewodnim było pokonanie wojsk Napoleona. Cały dochód z uroczystości przekazano na szpitale żołnierskie w Legnicy, Lubiążu oraz w Żaganiu. Trzy lata później (1817 r.) hrabiego Leopolda udekorowano Orderem Czerwonego Orła pierwszej klasy, będącego ówcześnie drugim z najwyższych pruskich orderów. W ostatnich latach swojego życia stary hrabia Schaffgotsch postanowił dokonać inwentaryzacji swych zbiorów bibliotecznych, sztuki i militariów, które dotąd w większości trzymano w pobliskim pałacu w Sobieszowie. Dziesiątki tysięcy eksponatów w latach 1833-1834 umieszczono na górnych piętrach „Długiego Domu", będącego niegdyś jednym z budynków klasztoru w Cieplicach. Nowe miejsce obejrzał dokładnie w 1847 r. Wincen-

Pałac w Cieplicach, stan obecny. Fot. Sz. Wrzesiński.

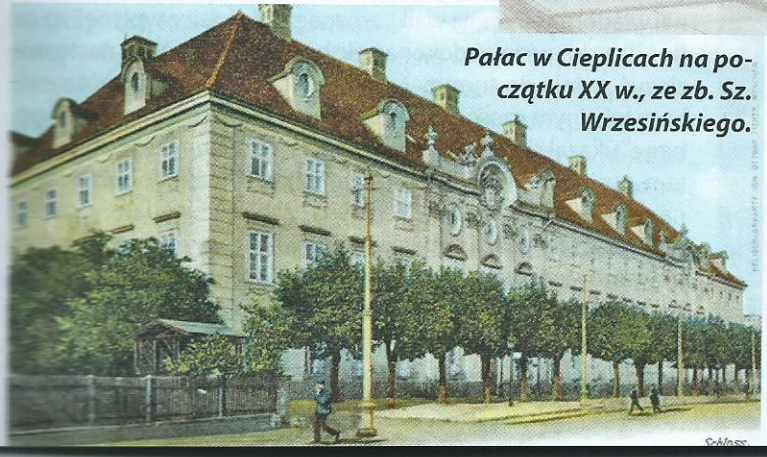

Pałac w Cieplicach na początku XX w., ze zb. Sz. Wrzesińskiego.

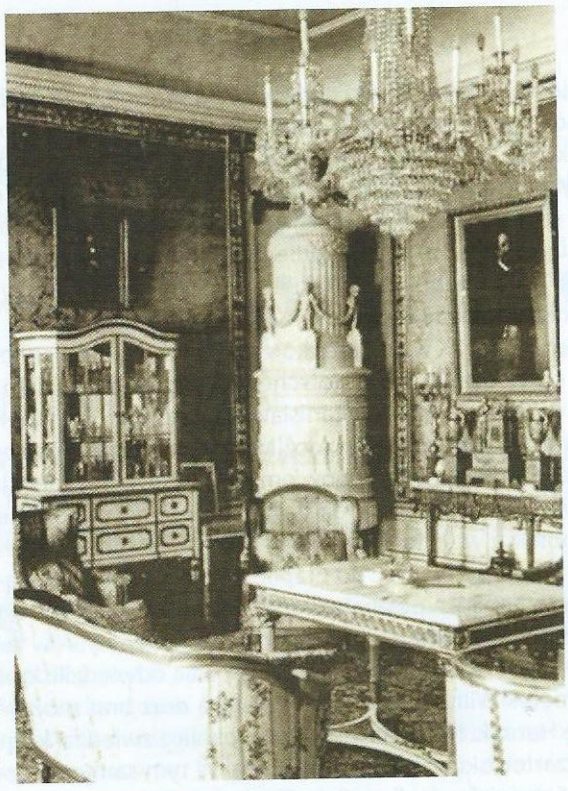

Pałac Schaffgotschów w Cieplicach, Żółty Salon, ok. 1930 r. Źródło: slaskiekolekcje.eu

Bogate zbiory w Bibliotece Schaffgotschów znajdującej się w tzw. „Długim Domu", stan w 1910 r. Źródło: fotopolska.eu

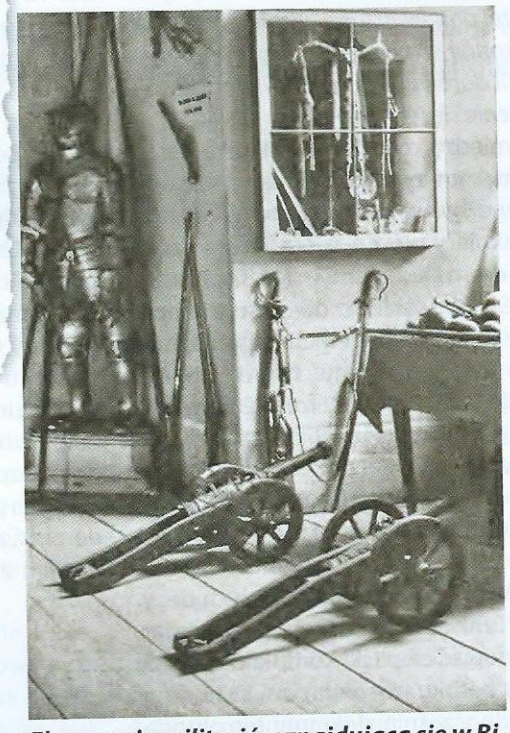

Ekspozycja militariów znajdująca się w Bibliotece Schaffgotschów na przełomie lat 20. i 30. XX w. Źródło: fotopolska.eu

ty Pol, który w swych „Pamiętnikach" wspominał: *„W zbiorach rodziny Szafgocza przechowało* [się] *tyle starożytnych pamiątek. (...) Na dwóch przeciwległych ścianach znajdują się olejno malowane i chorągwiami ozdobione „dwa drzewa genealogiczne", jedno rodziny Szafgoczów, a drugie* [spokrewnionych z nimi] *Piastów (...), jakie znajduje się w zbrojowni (...). Zbrojownia jest umieszczona w osobnym sklepieniu, które całe po temu urządzono. Są to familijne pamiątki (...),* [między innymi] *działa piękną rzeźbą ozdobione, które ze znakami Szafgoczów obeszły całe Niemcy w czasie 30-letniej wojny, miecz katowski, którym Jan Ulrich Szafgocz ścięty został w Regensburgu dnia 23 lipca 1635 roku (...). Dziwne to jest uczucie, kiedy się przechodzi dzieje rodziny, której losy splotły się z wielkimi wypadkami historii, zwłaszcza, gdy przy tym patrzymy na charaktery kreślone ich ręką, na te zbroje, które nosili, lub na tę broń, od której ginęli".*

Kilka kolejnych dekad dalszego rozwoju majątku Schaffgotschów spowodowało, iż pod koniec XIX stulecia ich dobra ziemskie zaliczano do jednych z trzech największych na Śląsku. Z kolei w 1925 r. majątek hrabiego Fryderyka szacowano jako szósty (pod względem areału) na terenie państwa pruskiego. Po przetrwaniu trudnego okresu gospodarczego w Niemczech, na arenie dziejów pojawił się kolejny symptom zmian. Dojście do władzy Hitlera i jego zwolenników miało swoje odbicie również na Dolnym Śląsku. Zdaniem dr. Arkadiusza Kuzio-Podruckiego ingerencja nazistów była nader szybka i skuteczna: *„W czasach nazistowskich Niemiecki Front Pracy (DAF), utworzony po likwidacji związków zawodowych był także bardzo aktywny w zakładach należących do Schaffgotschów. Rodzina hrabiego została zobowiązana do obchodzenia razem ze wszystkimi swoimi pracownikami wprowadzonego w 1933 r. Święta Pracy w dniu 1 maja. W 1935 r. wszyscy musieli stawić się w karczmie Górzyniec, aby wysłuchać transmisji uroczystości z Berlina. Hrabiego zobowiązano, aby na wzgórzu Chojnik zbudował pomnik poległym w czasie I wojny światowej swym 150 pracownikom* [i urzędnikom zatrudnionych w tutejszych dobrach]. *Corocznie na zamku – aż do 1944 r. – 24 listopada obchodzono święto zmarłych. Po ustanowieniu nowej władzy zmieniła się także forma świąt rodzinnych obchodzonych przez hrabiego. 5 września 1935 r. z okazji 21. urodzin Gotarda syna hrabiego Fryderyka, z okien wywieszono sztandar rodowy, a obok flagę ze swastyką".*

Wybuch II wojny światowej, której front zdawał się być odległym dla Schaffgotschów, bardzo szybko wpłynął na ich dalsze życie. Do 8. Regimentu Kawalerii został bowiem powołany Fritz, młodszy syn hrabiego. 22 IX 1939 r., podczas rozpoznania konnego w pobliżu Zawady pod Skierniewicami, napotkał na swej drodze polski oddział. W wyniku krótkiej wymiany ognia młody Schaffgotsch został śmiertelnie trafiony. W miejscu gdzie został pochowany, wbito w ziemię drewniany krzyż z imieniem i nazwiskiem oraz dniem i miejscem śmierci. Po otrzymaniu tragicznej wiadomości z pola walki, zrozpaczeni rodzice wpłynęli na to, by kilka dni później dokonać ekshumacji ich syna, a następnie złożyć zwłoki do trumny i dostarczyć do Cieplic. 3 października w lokalnym czasopiśmie „Beobachter im Izer- und Riesengebirge" ukazał się nietypowy nekrolog, odmienny od dotychczas tam umieszczanych. Rodzice poległego hrabiego, obarczając nazistów winą za śmierć ich syna, zabronili wydawcy gazety umieszczania jakichkolwiek symboli III Rzeszy. Ponadto dopilnowali, by w zawartych słowach nie pojawiły się popularne wtedy zwroty, jak: „poległ za Führera", czy „poległ za Wielkie Niem-

czy". Oto fragment nekrologu: *„Padł na polu chwały 22 września 1939 r., podczas zwiadu konnego, nieopodal miejscowości Zawady, w czasie wypełniania obowiązków wobec Ojczyzny, wraz z kolegami. Nasz najukochańszy Syn, Brat, Szwagier, Wujek Fritz hrabia Schaffgotsch, kawalerzysta pułku kawalerii, na krótko przed swymi 21. urodzinami. Fryderyk hrabia Schaffgotsch, Zofia hrabina Schaffgotsch (…)* [dalej wymienieni: Gotard, Maria, Gabriela, Zofia, Hans Ulryk Schaffgotschowie], *Hans hrabia Oppersdorf Thomaswalden. Pałac Cieplice 1 października 1939 roku. Nabożeństwo żałobne – środa, godzina 9, w kościele parafialnym w Cieplicach"*. Nacisk miejscowych aparatczyków musiał być znaczny, skoro elementy indoktrynacji pojawiły się zarówno podczas wyprowadzenia trumny z pałacu, jak i podczas pogrzebu: *„Trumnę złożono w podziemiach kościoła, w rodzinnej krypcie Schaffgotschów. Na wieku, spowitym wojenną flagą III Rzeszy, postawiono krucyfiks, a z przodu ustawiono drewniany krzyż z pierwotnej mogiły w Polsce przywieziony wraz z trumną. Na krzyżu umieszczono bojowy hełm Schaffgotscha. Cała krypta wypełniona była wieńcami i wiązankami z gałęzi świerkowych i sosnowych, a jedynym żywszym akcentem były białe szarfy z dedykacjami od ofiarodawców"* – twierdzi regionalista Janusz Ptaszyński. Dodatkowo, dla uczczenia pamięci tragicznie zmarłego syna, późną jesienią wydano pamiątkowe, kilkustronicowe pismo zawierające m.in.: wizerunek płaskorzeźby epitafijnej, dalej reprodukcję fotografii Fritza w mundurze podoficera 8. Pułku Kawalerii Wermachtu, jego dane personalne, informacje o ostatnich chwilach służby młodego hrabiego oraz przemówienia. Pierwsze z nich należało do opata Alberta Schmitta z Krzeszowa, a wypowiedziane zostało podczas mszy św. żałobnej w kościele parafialnym w Cieplicach. Dodano także słowa Dyrektora Urzędu Kameralnego Rzeszy, hrabiego Gressa, które wygłosił 28 września w pałacu w Cieplicach podczas ceremonii pogrzebowych. Ostatnie z przemówień również należało do Dyrektora Gressa. Tym razem jednak uwieczniono jego mowę pożegnalną wygłoszoną pod koniec listopada 1939 r. podczas składania wieńca w ruinach zamku Chojnik. Wspomniana powyżej płyta epitafijna została wykonana przez Crillo dell'Antonio na zamówienie hrabiego Fryderyka. Jej wzorem była wcześniejsza praca tegoż artysty, a dokładniej kamienna płaskorzeźba, którą wmontowano w centralną część pomnika poległych w czasie I wojny światowej na Chojniku (ob. pomnik niezachowany). Po wykonaniu pracy brązową płytę sprowadzono do Cieplic i umieszczono w kaplicy pałacowej. Przedstawia ona Fritza Schaffgotscha jako kawalerzystę, przygarniętego jedną ręką przez ukrzyżowanego Jezusa Chrystusa. Górny napis możemy tłumaczyć: *„Bądź wierny do śmierci, a ja dam Ci koronę życia"*. Z kolei dolny przypominał oglądającym, komu poświęcono dzieło: *„Na pamiątkę Fritza hrabiego Schaffgotsch, który przy wiernym wypełnianiu obowiązku zwiadowczego, obok miejscowości Zawady w Polsce, poniósł bohaterską śmierć 22 września 1939 r., na krótko przed swoimi 21 urodzinami. Nie ma większej miłości, aniżeli oddać życie dla swoich przyjaciół"*.

Militaria ze zbiorów Schaffgotschów. Broń palna oraz kusze inkrustowane, szable wschodnie, łuki refleksyjne, strzały, lub. Źródło: A. Kuzio-Podrucki, op.cit.

Po opuszczeniu pałacu przez Schaffgotschów wiosną 1945 r. w pomieszczeniach ulokowani zostali żołnierze Armii Czerwonej. Po wyrzuceniu wielu mebli, obrazów i dywanów przez okna, znaczną część sal dostosowano do nowych potrzeb. Odtąd bowiem pałac miał służyć jako szpital polowy. W przeciągu kolejnych dwóch lat, podczas chłodniejszych dni i nocy w piecach spalano kolejne meble, nie zastanawiając się w najmniejszym stopniu nad ich historyczną i artystyczną wartością. Na przełomie lat 40. i 50. postanowiono, że dawny pałac zostanie „domem wypoczynkowym" dla ważnych urzędników państwowych. Plan jednak nie wypalił, więc pojawiły się koncepcje stworzenia tutaj sanatorium, a następnie hotelu dla kuracjuszy. Ostatecznie pałac w 1953 r. przekazano Związkowi Harcerstwa Polskiego. Jedenastoletni okres użytkowania przez ZHP zaznaczył się niestety „zni-

Karabiny, muszkiety i pistolety z XVIII i XIX w. w zbrojowni Schaffgotschów. Przełom lat 20. i 30. XX w. Źródło: A. Kuzio-Podrucki, „Schaffgotschowie".

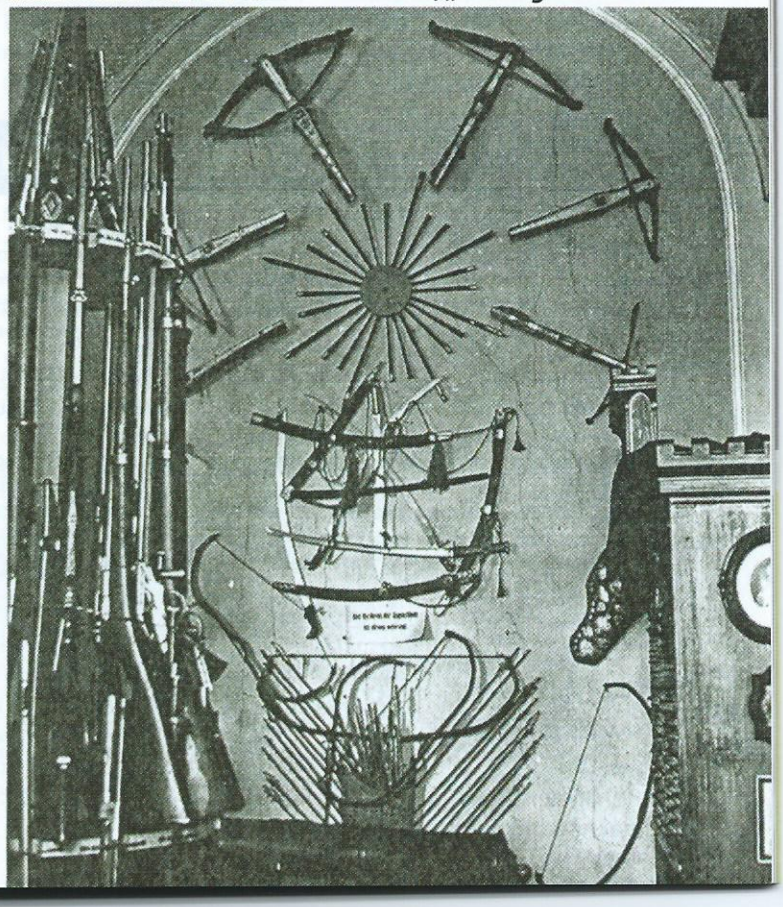

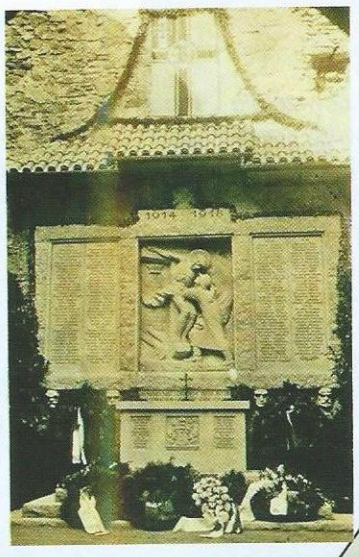

Pomnik poległych w I wojnie światowej na zamku Chojnik w Sobieszowie; ob. zaadaptowany na pomnik szlaku papieskiego. Źródło: dolny-slask.org.pl

kaniem" dalszych zabytków z pałacu. Po przejęciu obiektu przez Politechnikę Wrocławską nastąpił znów okres pogorszenia się stanu budynku. Połowiczne remonty zahamowały nieco dalszy proces destrukcji rezydencji Schaffgotschów, jednak konkretne zmiany i remonty nastąpiły dopiero w latach 90. ubiegłego stulecia.

Warto wspomnieć, iż po wojnie z pałacu została zabrana m.in. płaskorzeźba z wizerunkiem Fritza Schaffgotscha. Przechowywana w jednym z prywatnych mieszkań w Cieplicach, została zwrócona dopiero w 1975 roku. Obecnie epitafium, trumna hrabiego oraz prosty drewniany krzyż przywieziony na początku wojny z Polski, znajdują się w krypcie tutejszego kościoła pw. św. Jana Chrzciciela. Zwiedzający to miejsce nie zobaczą już krucyfiksu, hełmu Schaffgotscha, ani hitlerowskiej flagi przykrywającej niegdyś całą trumnę. Pokryte kurzem miejsce pochówku innych członków tego niegdyś wielkiego rodu, skłania do zadumy o nieuchronnym losie nawet tych wielkich. *Tempus fugit* – czas przemija, lecz pamięć o Schaffgotschach przetrwa…

Zestaw 4 pamiątek funeralnych poświęconych Fritzowi Schaffgotschowi. Wystawiane w 2011 r. na XX Aukcji – Śląsk w ikonografii, kartografii, medalierstwie. Źródło: artinfo.pl

Autor dziękuje Pani Aleksandrze Nowak-Odelga za udostępnienie i możliwość wykorzystania zdjęć z krypty Schaffgotschów w Cieplicach.

Literatura:
1. „Beobachter im Iser- und Riesengebirge" (3.10.1939)
2. A. Kuzio-Podrucki, „Schaffgotschowie", Cieplice 2013
3. H. Luchs, „Das Reichsgräflich Schaffgotschische Familienbild auf der Warmbrunner Bibliothek…", Schlesiens Vorzeit in Bild und Schrift (1888)
4. G. Nave, „Die Reichsgräflich Schaffgotsch'schen Sammlungen in Bad Warmbrunn", Warmbrunn 1928
5. W. Pol, „Pamiętniki", Kraków 1960
6. M. K. i J Sobiescy, „Listy", Warszawa 1983

Militarne epizody dolnośląskich rezydencji: cz. 1, „Odkrywca" nr 1/2013 – „Sobota, dzieje pałacu adiutanta Blüchera"; cz. 2, „Odkrywca" nr 2/2013 – „Kwatery wojenne w Skale"; cz. 3, „Odkrywca" nr 3/2013 – „Krwawe batalie pod Dębowym Gajem"; cz. 4, „Odkrywca" nr 4/2013 – „Tragiczne dzieje zamku Podskale"; cz. 5, „Odkrywca" nr 5/2013 – „Dom rodzinny Wernhera von Brauna w Bystrzycy".

Szymon Wrzesiński

Historyk i publicysta. Napisał m.in.: „Hitlerjugend na Śląsku", „Tajne badania Luftwaffe na Dolnym Śląsku", „Podziemne tajemnice III Rzeszy" oraz „Pogórze Izerskie w cieniu swastyki. Tajne fabryki, ośrodki szkoleniowe i eksterminacja w okresie III Rzeszy". Ostatnio wydał: „Napoleon nad Bobrem i Kwisą. Szlakiem bitew, skarbów i zabytków wojny 1813 roku".

Trzeci etap konkursu na 15-lecie „Odkrywcy"

Począwszy od nr kwietniowego, aż do nr czerwcowego publikujemy zestawy 5 pytań konkursowych, dotyczących historii magazynu oraz publikowanych w nim treści. Spośród tych, którzy odpowiedzą poprawnie na wszystkie 15 pytań, zostanie wyłonionych 10. zwycięzców, dla których przygotowaliśmy najnowszą wersję gry „Tomb Raider" (PC).

Ponieważ konkurs zakończymy 30 czerwca br. – zgodnie więc z harmonogramem wydawniczym „Odkrywcy" zwycięzców poznamy w nr sierpniowym. Poza tym dla uczestników każdego z 3 etapów konkursu mamy 10 nagród książkowych – oczywiście za udzielenie poprawnych, i w terminie, odpowiedzi. Poznamy ich po zakończeniu każdego etapu, w kolejnych wydaniach „Odkrywcy": w numerze czerwcowym – etap z kwietnia, w nr lipcowym – etap z maja i w kończącym konkurs nr sierpniowym – etap z czerwca.

Trzeci etap konkursu trwa od 10 do 30 czerwca 2013 r.

Chcąc zagrać o nagrody, należy wysłać SMS z odpowiedziami na zamieszczone poniżej pytania. W treści wiadomości wpisz: „ODKRYWCA." i numery kolejnych poprawnych odpowiedzi (np. ODKRYWCA.1A2B3C).

SMS należy wysłać pod nr 7368 (opłata wynosi 3,69 zł z VAT). Usługa jest dostępna we wszystkich sieciach GSM.

Nagrody zostaną przekazane zwycięzcom poleconą przesyłką pocztową. Lista nagrodzonych publikowana jest każdorazowo na łamach „Odkrywcy". Regulamin dostępny jest w siedzibie Organizatora oraz na stronie internetowej www.odkrywca.pl.

PYTANIA KONKURSOWE

1. Rotmistrz Jerzy Sosnowski, o którym pisaliśmy w „Odkrywcy" 2/109 i 3/110, był:
1A Instruktorem „Cichociemnych"
1B Polskim szpiegiem
1C Attaché wojskowym

2. Kryptonim fabryki mającej mieścić się w zalanej kopalni gipsu, opisanej m.in. w „Odkrywcy" 5 (124), 6 (125) i 11 (130), to:
2A „Langusta"
2B „Kraken"
2C „Homar"

3. Minelab Relic Hawk i Musketeer Advantage, testowane w numerze 8 (127), to nazwy:
3A Wykrywaczy metalu
3B Kamer podwodnych
3C Aparatów fotograficznych

4. Major Jan Żychoń – bohater artykułów z numerów 7 (114) i 9 (116) – zginął podczas bitwy:
4A pod Monte Cassino
4B pod Lenino
4C o Anglię

5. Podziemia Gontowej można zobaczyć na okładce Odkrywcy nr:
5A 1 (120) 2009
5B 11 (154) 2011
5C 3 (158) 2012

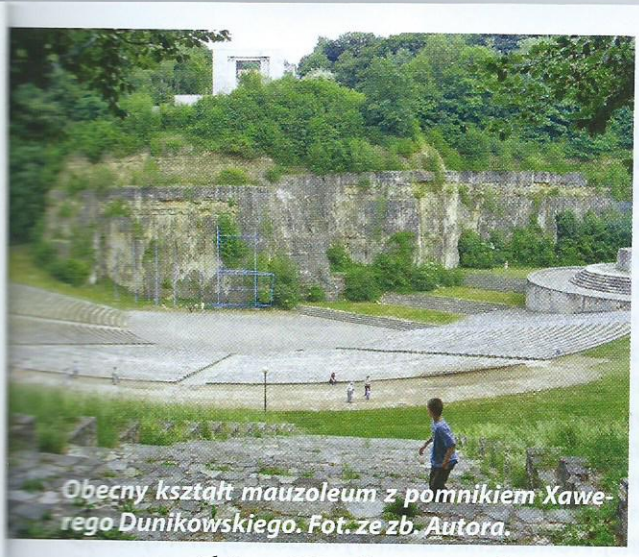

Obecny kształt mauzoleum z pomnikiem Xawerego Dunikowskiego. Fot. ze zb. Autora.

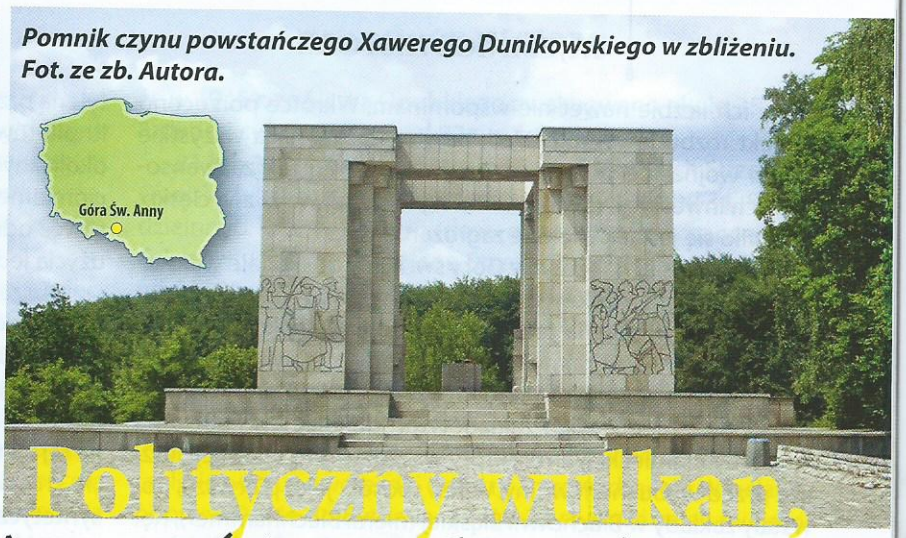

Pomnik czynu powstańczego Xawerego Dunikowskiego w zbliżeniu. Fot. ze zb. Autora.

Polityczny wulkan, czyli Góra św. Anny (Annaberg) cz. 2

TEKST: DARIUSZ PIETRUCHA

Annaberg została przez nazistów naznaczona piętnem miejsca przelewu krwi. Budując tam swoje „Feierstätte" i „Ehrenmal", starali się zmienić oblicze tego świętego dla Ślązaków miejsca. Wydawało się to proste, ale tylko na pozór. Naziści nie tylko przegrali wojnę. Przegrali również bitwę o „Świętą Górę" toczoną w umysłach i sercach mieszkańców Śląska. Ci, którzy przyszli po nich, powinni wyciągnąć z tego wnioski. Tak się jednak nie stało. Góra św. Anny znowu stała się miejscem ideologicznej bitwy.

W dniu 8 października 1939 r., już po zakończeniu Kampanii Wrześniowej, na mocy specjalnego dekretu Führera do niemieckiej rejencji opolskiej (do której należała Góra św. Anny) włączono zdobyte na Polakach powiaty: Lubliniec (niem. Lublinitz), blachowieńsko-zawierciański i część powiatu rybnickiego. Jednocześnie wyłączono z rejencji opolskiej powiaty: bytomski ziemski i grodzki, gliwicki ziemski i grodzki oraz powiat zabrzański, tworząc w ten sposób autonomiczną górnośląską aglomerację. Jednakże 20 grudnia 1940 r., na mocy kolejnej ustawy (niem. Preussisches Gesetzüber die Bildung der Provinzen Oberschlesien und Niderschlesien), zlikwidowano jednolitą prowincję śląską. Powstała znowu prowincja górnośląska ze stolicą w Katowicach (niem. Kattowitz), składająca się z rejencji opolskiej i katowickiej. Góra św. Anny stała się częścią tych administracyjnych przekształceń. Podlegała nazistowskim władzom rezydującym w Katowicach.

Wybuch II wojny przyniósł bardziej radykalne działania Niemców wobec religijnego charakteru „Świętej Góry". Naziści nie mogli sobie pozwolić na tolerowanie jej dotychczasowego charakteru. Tuż przed rozpoczęciem wojny w górnośląskich kościołach zakazano wygłaszania kazań w języku polskim. Na Górze św. Anny przepis ten obowiązywał od 14 lipca 1939 roku. W 1940 r. nastąpiła likwidacja annaberskiego „Domu Pielgrzyma", a potem miejscowego zakonu franciszkanów (listopad 1940). W 1941 r. władze niemieckie skonfiskowały budynki klasztorne. Starano się usunąć wszystkie polskie napisy. Najpierw ulokowano tam szpital wojskowy, później w zabudowaniach klasztornych funkcjonował obóz przesiedleńczy dla rumuńskich Volksdeutschów (którzy podobno całkowicie zniszczyli klasztorną bibliotekę; wg innych źródeł wywieźli ją Niemcy), działający w ramach organizacji „Volksdeutsche Mittelstelle-VoMi". Z założenia VoMi zajmowało się sprowadzaniem etnicznych Niemców z różnych krajów Europy, przeprowadzaniem ich rejestracji i ewakuacją do obozów przesiedleńczych. Od czerwca 1941 r. dział VoMi zajmujący się repatriacją Niemców przeszedł pod zarząd SS. Od tego momentu osobą odpowiedzialną za działalność VoMi został wysoki rangą funkcjonariusz RSHA Sturmbannführer SS Heinz Brückner (1900-?). W obozach VoMi poddawano Volksdeutschów silnej indoktrynacji oraz szkoleniu ideologicznemu, uczono języka niemieckiego, a w końcu wybierano ostateczne miejsce ich osiedlenia i zatrudnienia. Na czele Urzędu Dowództwa Operacyjnego (niem. Einsatzführung Oberschlesien) VoMi dla Górnego Śląska stał Einsatzführer Untersturmführer SS (od marca 1944 r. Obersturmführer SS) Lechner, który bezpośrednio podlegał gauleiterowi Fritzowi Brachtowi (1899-1945). Jego zastępcą był Scharführer SS (od lipca 1942 r. Untersturmführer SS) Effer. Góra św. Anny stała się miejscem indoktrynacji tych, którzy w przyszłości mieli stać się pełnowartościowymi obywatelami hitlerowskiej III Rzeszy i członkami „Herrenvolku". Szczerze mówiąc projekt ten nie zakończył się sukcesem. Większość z nich nawet nie nauczyła się dobrze mówić po niemiecku, nie mówiąc już o przyswojeniu sobie idei narodowego socjalizmu.

Podczas wojny na Górze św. Anny istniał obóz pracy przymusowej dla robotników budujących pobliską autostradę oraz dla żydowskich więźniów z filii obozu KL Auschwitz. Funkcjonował tu również duży oddział roboczy jeńców sowieckich podlegający „Stalagowi VIIIB" w Łambinowicach. Wszyscy byli zatrudnieni przy budowie autostrady, a także przy innych pracach. Nota bene, cała okolica była wręcz usiana podobnymi obozami. Pod koniec 1944 r. na Górnym Śląsku znajdowało się około 165 tys. robotników przymusowych, rozmieszczonych w przeszło 130 obozach, z tego 43% robotników pochodziło z ziem polskich, a 36% z ZSRR. Mieszkali oni w specjalnych obozach, jak chociażby: Blachownia Śląska, Kędzierzyn, Zawadzkie, Opole, Ozimek, Głubczyce, Grodków, Brzeg, Koźle, Racibórz, Strzelce Opolskie czy Niemodlin. O obozach jeniec-

kich i ich liczbie nawet nie wspominam. Wkrótce porzucono projekt rozbudowy autostrad, bowiem pożerająca wszystkie środki wojna nie pozwalała na prowadzenie tak zaawansowanych inwestycji. „Święta Góra" wyszła z tej walki zwycięsko, pojawiło się jednak większe zagrożenie…

Stojąc dzisiaj na szczycie Góry św. Anny doskonale widoczne są kominy zakładów chemicznych w pobliskich Zdzieszowicach. Bez wątpienia ten widok zakłóca sielankowy nastrój tego miejsca. Pamiętajmy, że owe zakłady zostały wybudowane przez Niemców jako element szeroko zakrojonego planu rozbudowy niemieckich zakładów produkujących paliwo na potrzeby niemieckiej armii, który wszedł w fazę realizacji jeszcze przed wybuchem wojny. W ten sposób, jako pierwsze, powstały zakłady w Blachowni Śląskiej (niem. Blechhammer), Kędzierzynie (niem. Haydebreck) i w pobliskich Zdzieszowicach (niem. Odertal). „Święta Góra" uzyskała dziwne sąsiedztwo, które wyraźnie pozbawiło otaczającej wzgórze aury tajemniczości. Co więcej, stało się zagrożeniem, o czym przekonano się w 1944 roku. Niemcy spodziewając się ataków lotniczych na Zdzieszowice, rozlokowali w pobliżu silne oddziały artylerii przeciwlotniczej. Początkowo, niedaleko Zdzieszowic, ulokowano baterię 242/VIII, w lutym 1943 r. dołożono do niej ciężką baterię 219/VIII oraz baterie zaporowe: 218/VIII, 221/VIII, 223/VIII i 243/VIII. W marcu 1943 r. dołączono baterię 213/VIII, dotąd rozlokowaną w rejonie Blachowni Śląskiej. To jeszcze nie koniec, gdyż pod koniec 1943 r. nieopodal umieszczono dywizjon „Heimatflak" 53/VIII. W pobliskim Ujeździe Śląskim (niem. Bischofstal) rozlokowano dodatkowe siły w postaci trzech baterii z 633. Ciężkiego Dywizjonu Artylerii Przeciwlotniczej. Co ciekawe, wg relacji miejscowych, do 1943 r. baterię w Ujeździe obsługiwali włoscy żołnierze. Obiekty przemysłowe w rejonie Blachowni, jak i Kędzierzyna i Zdzieszowic, były również ochraniane przez radarowy system wczesnego ostrzegania i naprowadzania ognia. Składał się z radarów typu FuMg 65 „Würzburg Riese" oraz „Freya". To wszystko nie uchroniło tego obszaru przed nalotami. W okresie od lipca do grudnia 1944 r. Amerykanie przeprowadzili szereg nalotów na obszar Górnego i Dolnego Śląska, które wykonywała 15. Flota Powietrzna. Dokonywali nalotów w dzień, więc Góra św. Anny musiała być dla nich dobrym punktem orientacyjnym. Pobliskie Zdzieszowice były bombardowane wiele razy, a niebo nad „Świętą Górą" stało się miejscem walki pomiędzy pilotami amerykańskich bombowców i ostrzeliwującą ich z ziemi niemiecką artylerią przeciwlotniczą. Wiele maszyn zostało strąconych. Wielu pilotów ratowało się skacząc ze spadochronem, na tereny okolicznych miejscowości. Czasami Niemcy przeciwko formacjom amerykańskich bombowców rzucali do walki swoje myśliwce odrzutowe. „Święta Góra" była więc również świadkiem użycia jednej z niemieckich Wunderwaffe.

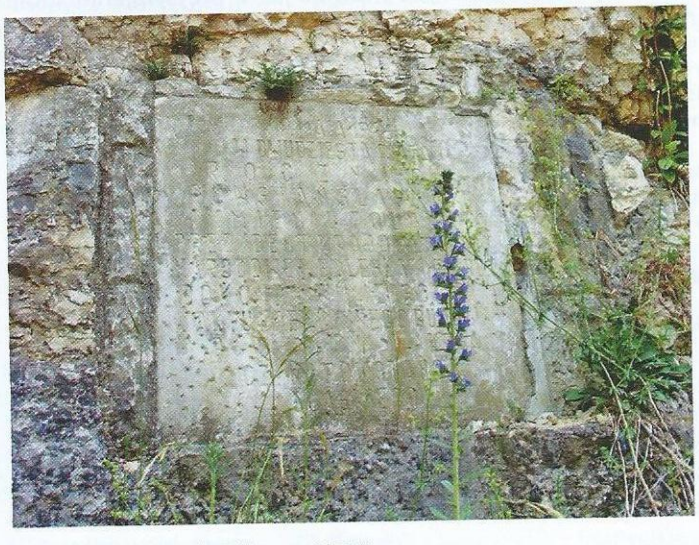

Obszar ten ze względu na swój strategiczny charakter, stanowił także obiekt zainteresowania polskiego wywiadu AK. Na Śląsku Opolskim działał tzw. Obwód Zewnętrzny Racibórz Koźle (kryptonim „R-316"), podlegający powstałemu w kwietniu 1940 r. rybnickiemu Inspektoratowi AK. Zadania operacyjne tej komórki AK były bardzo ważne, gdyż na terenie działania „R-316" znajdowały się trzy duże niemieckie zakłady benzyny syntetycznej. Prowadzenie zadań wywiadowczych w tym rejonie nie było łatwe, były to bowiem rdzenne obszary III Rzeszy. Komórka „R-316" zbierała informacje na temat rozlokowania niemieckich baterii przeciwlotniczych, które później przekazano aliantom. Na podstawie tej wiedzy Amerykanie planowali swoje naloty na wspomniane zakłady. W rejonie Ozimka, Dobrodzienia, Opola i Kluczborka działał również tzw. Obwód Zewnętrzny „Panew", podległy Inspektoratowi AK w Wieluniu (Okręg Łódzki AK). Ten również zbierał informacje na temat niemieckich zakładów zbrojeniowych na Opolszczyźnie, a także szlaków kolejowych, które w 1944 r. były szczególnie intensywnie atakowane. W rejonie Namysłowa, Kępna, Sycowa i Kluczborka istniał tzw. Obwód Zewnętrzny „Reduta", podlegający Inspektoratowi AK w Ostrowie Wielkopolskim (Okręg Poznański AK), który głównie zajmował się zdobywaniem danych wywiadowczych oraz akcją sabotażową. W lipcu 1944 r. został on rozbity aresztowaniami, pomimo tego nadal funkcjonował. Wielką, choć zapomnianą zasługą „Reduty" było zdobycie niemieckich planów obrony wybrzeża morskiego od połowy Norwegii do Belgii. W pobliskich lasach lublinieckich działał około 40-osobowy oddział AK dowodzony przez byłego powstańca śląskiego, a podczas Kampanii Wrześniowej szefa kompanii ckm w 74. pp, st. sierż. Józefa Karpe (ps. „Tadeusz"), który w 1944 r. przeprowadził spektakularny napad na niemieckie koszary w Lublińcu pełne niemieckich „ozdrowieńców". Oddział „Tadeusza" podlegał Podinspektoratowi AK Tarnowskie Góry. Drugim, mniejszym, ale dobrze uzbrojonym oddziałem AK były „Kasztany" (prawdopodobnie 9 osób), także działający w rejonie Lublińca. 6 lipca 1944 r. Niemcy, w sile ok. tysiąca policjantów i żandarmów, zorganizowali obławę na polskich partyzantów w okolicach Lublińca, ale nie przyniosła ona zamierzonego efektu. Bez wątpienia „Święta Góra" stanowiła świetny punkt obserwacyjny dla polskich wywiadowców. Nic dodać, nic ująć.

W 1944 r. w nazistowskich Niemczech pojawiła się obłąkana idea Volkssturmu. Oczywiście dotknęła ona mieszkańców okolicznych miejscowości, w tym także wioski Góra św. Anny. Naczelnym dowódcą górnośląskiego Volkssturmu został prezydent rejencji katowickiej Oberführer SS dr Walter Springorum (1892-1973), słynny z tego, iż wcześniej zakazał posługiwania się językiem polskim na Górnym Śląsku nie tylko w miejscach publicznych, ale także w domach i w kościołach. Czasami zastępował go drugi prezydent rejencji katowickiej Oberführer SS prof. dr Otto Müller Haccius (1895-1988).

Pamiątkowa tablica z 1946 roku. Fot. ze zb. Autora.

W październiku 1944 r. bataliony Volkssturmu z terenu Górnego i Dolnego Śląska zaczęto kierować na zbudowane naprędce pozycje obronne. Skierowano ich tam około 40. Tragicznym paradoksem historii jest fakt, że w szeregach Volkssturmu znalazło się wielu byłych polskich powstańców śląskich, którym teraz przyszło zginąć za Adolfa Hitlera...

Kiedy w dniu 12 stycznia 1945 r. znad Wisły ruszyła sowiecka ofensywa, wulkan zamarł w przerażeniu, ale ziemia wokół niego zaczęła się kotłować. To była jedna z najcięższych zim od wielu lat. Na zawalone śniegiem i ścięte mrozem drogi wyruszyła masa ludności cywilnej, która zgodnie z opracowanym wcześniej planem ewakuacji (tzw. „R-Plan") musiała opuścić swoje miejsce zamieszkania. Powtarzam, musiała, bo nie był to akt dobrowolny, ale rozkaz, który należało wykonać. Na Górnym Śląsku 15 stycznia 1945 r. na hasło „Szturm Mongołów" skoszarowano wszystkich pracowników administracji i policji. Dzień później gauleiter Fritz Bracht wydał hasło „Nicolaus", oznaczające ewakuację ludności cywilnej ze wschodnich powiatów Górnego Śląska (Żywiec, Bielsko, Olkusz, Zawiercie i Lubliniec). Rankiem 16 stycznia na zachód ruszyły pierwsze pociągi z uciekinierami. Specjaliści orzekli, że dla potrzeb ewakuacji ludzi i dóbr z obszaru Górnego Śląska potrzebnych było 40 tys. wagonów (!), co było liczbą niemożliwą do osiągnięcia. Nie tylko skala przekreśliła realizację tego szalonego planu, także szybki rozwój sowieckiej ofensywy wkrótce uniemożliwił ewakuację koleją. Trasy linii kolejowych zostały przecięte przez Sowietów. Dlatego ludzie uciekali pieszo. Wymieszani z wycofującymi się żołnierzami, często pozbawionymi nawet broni ręcznej, stanowili swoisty potok przerażenia i strachu. Wielu z nich, bardzo wielu, mówiło po polsku. Byli Ślązakami podobnie jak ci, którzy mówili po niemiecku. „Święta Góra" w milczeniu obserwowała ten exodus, który był preludium do wielkich ludzkich tragedii. Ewakuowaną ludność cywilną kierowano na Dolny Śląsk, w rejon Kamiennej Góry. Jedynie obszar Katowic, Gliwic, Zabrza i Bytomia, który zgodnie z rozkazem miał pracować do ostatniego momentu, właściwie nie został objęty ewakuacją. Mieszkańcy tych miast w większości pozostali na miejscu. Ludzi kierowano do różnych punktów zbiorczych, które były całkowicie przepełnione. Niemcy wymyślili na nie odpowiednią nazwę – „kocioł czarownic" (niem. „Hexenkessel"). Wielu uciekinierów trafiało do miejsc postoju z zapaleniem płuc, z ciężkimi odmrożeniami i innymi chorobami nabytymi w drodze, które często stawały się przyczyną zgonu. Niektórzy nie wytrzymywali fizycznie trudów ucieczki, także ich stan psychiczny nie pozwalał na dalszą walkę o przeżycie. Całymi rodzinami popełniali samobójstwa. Niemcy nazywali to „epidemią samobójczą" (niem. „Suizidendemie"), która dotknęła wiele śląskich rodzin. Nastrój ogólnej paniki wzmagała działalność sowieckich grup dywersyjnych, które zostały zrzucone w rejonie Opola na krótko przed rozpoczęciem ofensywy styczniowej. Rosjanie podają, że w 1945 r. ze Śląska Opolskiego ewakuowano około 355 tys. ludności cywilnej, a ponad 87 tys. zginęło.

21 lub 22 stycznia Rosjanie byli już w pobliskich Strzelcach Opolskich (niem. Gross Strehlitz), które zajęli siłami 31. Samodzielnego KPanc. Gwardii (dow. gen. mjr wojsk pancernych Grigorij Kuzniecow). Z rejonu Strzelec Opolskich uderzyli siłami 54. BPanc. Gwardii (dow. płk Iwan Czugunkow) ze składu 7. KPanc. Gwardii z 3. Armii Pancernej Gwardii i 120. DP (dow. gen. mjr Iwan Goworow) ze składu 21. Armii Ogólnowojskowej oraz 1. Samodzielnego Korpusu Kawalerii Gwardii (dow. gen. lejt. Wiktor Baranow). Posuwali się w kierunku na Toszek (niem. Tost) i Tarnowskie Góry (niem. Tarnowitz). Przemieszczali się wzdłuż ówczesnej drogi nr 5 prowadzącej z Wrocławia poprzez Opole do Bytomia. 22 lub 23 stycznia zajęli miejscowości: Góra Św. Anny, Żyrowa (niem. Buchenhöh), Górażdże (niem. Steinfurt O.S.), Kadłubiec (niem. Karlhorst) oraz Gogolin i szybko zbliżali się w stronę Gliwic (niem. Gleiwitz). Opór stawiały im rozbite niemieckie jednostki wchodzące w skład XXXXVIII KPanc. (dow. gen. Maximilian Reichsfreiherr von Edelsheim) ze składu 17. Armii, a mianowicie resztki 712. DP (dow. gen. mjr Joachim von Siegroth), 68. DP (dowódca gen. leut. Paul Scheuerpflug), 164. batalionu zapasowego, 432. batalionu zapasowego, jednostek Volkssturmu i 408. DP (dow. gen. leut. Heinrich Wosch). Niemcy nie byli w stanie zatrzymać sowieckiego uderzenia. Zdobywcy zaznaczali swój pochód falą zbrodni dokonanej na ludności cywilnej. „Święta Góra" po raz pierwszy zobaczyła żołnierzy mówiących w dziwnym, śpiewnym języku. Właściwie nie po raz pierwszy, bo wcześniej byli

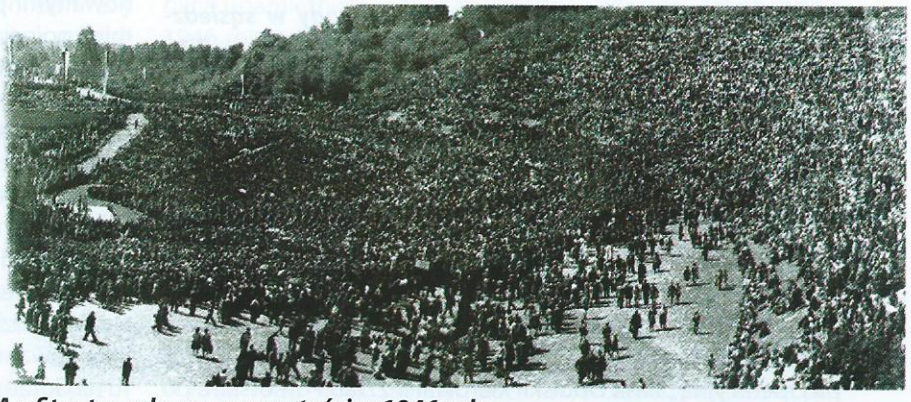

Amfiteatr podczas uroczystości w 1946 roku.

Amfiteatr w dniu dzisiejszym. Fot. ze zb. Autora.

tu sowieccy jeńcy. Niektóre pobliskie miejscowości były całkowicie wyludnione, tak więc Sowieci wkraczali na „ziemię niczyją" (niem. „Niemandsland"). Musieli jednak uważać, bo zdarzało się, że w ewakuowanych miejscowościach Niemcy zatruwali wodę w studniach oraz pozostawione celowo artykuły żywnościowe. Taka sytuacja miała miejsce w jednej z wiosek niedaleko Kluczborka (niem. Kreuzberg). Zdobywcy ruszyli

Resztki kamiennej mozaiki na ruinach monumentalnej wieży. Fot. ze zb. Autora.

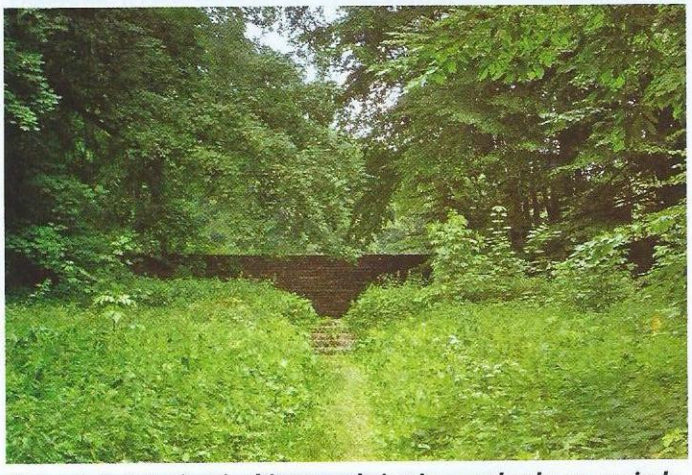

Pozostałości niemieckiego założenia – schody w sąsiedztwie monumentalnej wieży. Fot. ze zb. Autora.

w stronę Gliwic, a potem pozostał już tylko jeden kierunek – do Berlina.

Rosjanie przebywali na tych terenach do drugiej połowy marca 1945 roku. Do tego czasu spokojnie grabili pobliskie zakłady w Zdzieszowicach. Oficjalnie przekazali te tereny Polakom 18 marca Polska Grupa Operacyjna „Śląsk Opolski" (około 50-60 osób) wyruszyła z Katowic w drugiej połowie marca 1945 r. Wcześniej, 1 marca w Katowicach zorganizowano sztab Grupy Operacyjnej. Na jego czele stanął Tadeusz Rasiński. Grupą Operacyjną „Śląsk Opolski" kierował inż. Jan Pomorski, a po nim inż. H. Stankiewicz. Zastępczynią szefa była por. Halina Diamand. W skład sztabu Grupy weszli również: inż. Platon Januszewicz (Centralny Zarząd Przemysłu Hutniczego), inż. Jan Dobrzański (Południowe Zjednoczenie Przemysłu Metalowego) oraz przedstawiciele przemysłu węglowego, chemicznego, cementowego, włókienniczego i wielu innych. Skład Grupy starano się dobrać w taki sposób, aby jej trzon stanowili polscy działacze polonijni, pochodzący z Opolszczyzny. Jednakże w praktyce większość członków Grupy Operacyjnej „Śląsk Opolski" w ogóle nie znała Opolszczyzny, gdyż pochodziła z terenów centralnej Polski. Grupa była dość pośpiesznie, chaotycznie tworzona, co w późniejszym czasie potwierdził jej zespół. Znalazło się w nim wielu pospolitych karierowiczów, ludzi bez zasad moralnych, a nawet szabrowników... Podstawowym zadaniem Grupy było zorientowanie się co do rozmiarów, struktury i położenia poniemieckiego przemysłu na Śląsku Opolskim. Obszar działania Grupy Operacyjnej „Śląsk Opolski" obejmował 14 powiatów dawnej rejencji opolskiej oraz powiaty: rybnicki i cieszyński. Po czasie pochodzący z Dąbrowy Górniczej wojewoda gen. Aleksander Zawadzki (1899-1964), nie radząc sobie z tak szerokim terenem, przekazał urząd Pełnomocnika Rządu na Śląsk Opolski w ręce urodzonego pod Raciborzem Arki Bożka (1899-1954), który wówczas był członkiem Polskiego Stronnictwa Ludowego. Na terenie Śląska Opolskiego schemat tworzenia nowych struktur władzy był nieco inny, niż na Górnym Śląsku, czy tym bardziej w Zagłębiu Dąbrowskim. Miała na to wpływ specyfika narodowościowa tego rejonu, należącego przed wojną do Niemiec. Ponadto Rosjanie niechętnie przekazywali Polakom władzę czerpiąc garściami dobra pochodzące z grabieży poniemieckiego obszaru. Polakom brakowało poza tym miejscowych działaczy, których można by zaangażować w tworzenie nowych struktur. Dlatego też przyjęto specyficzną taktykę, nad miastami Śląska Opolskiego „patronat" przejmowały miasta z Zagłębia Dąbrowskiego, w praktyce obsadzając stanowiska miejskie swoimi ludźmi. Polacy w miastach Śląska Opolskiego musieli więc najpierw przejąć władzę od Rosjan, a następnie obsadzać stanowiska ludźmi zazwyczaj wyznaczanymi i nominowanymi przez wojewodę śląsko-dąbrowskiego, którzy nie mieli pojęcia o Śląsku Opolskim. Pierwsza Miejska Rada Narodowa powstała w Krapkowicach 13 czerwca 1945 roku. „Święta Góra" spokojnie obserwowała zmiany, w pokorze oczekując na swój dalszy los.

Gdy III Rzesza poniosła klęskę na Górę św. Anny w 1945 r. powrócili franciszkanie. Wydawało się, że wszystko wraca do normy. Jednakże Grupa Operacyjna „Śląsk Opolski" miała spory orzech do zgryzienia w postaci annaberskiego nazistowskiego „Feierstätte" i „Ehrenmal". Co z nimi zrobić? Ależ to proste. Wysadzić. W ramach „odniemczania" Ziem Odzyskanych likwidowano wszelkie ślady niemieckości. Z kościoła i klasztoru na Górze św. Anny usunięto wszystkie niemieckie napisy. Gigantyczne „Reichsfeierstätte" na Górze św. Anny raziło swoim ogromem, a wymowa tego miejsca była aż nazbyt widoczna. Dlatego zaprojektowane przez Roberta Tischlera mauzoleum wyleciało w powietrze. Polscy wojskowi saperzy wysadzili je dokładnie 16 X 1945 r., podczas pierwszych po wojnie oficjalnych dożynek, połączonych ze zlotem Związku Weteranów Powstań Śląskich. Tak brzmi oficjalna wersja. Było nieco inaczej. Obiekt nie został wysadzony w powietrze. Pomyślcie sami. To była duża, kamienna i bardzo solidna budowla. Ile materiałów wybuchowych trzeba by użyć, aby wysadzić ją w powietrze? Jak duży fragment skały musiałby zostać uszkodzony takim wybuchem? Kto ryzykowałby zawaleniem się skalnego zbocza prosto na położony poniżej amfiteatr? Prawda jest taka, iż mauzoleum rozebrano rękoma okolicznych mieszkańców. Bardzo ostrożnie i uważnie. Po zakończeniu wojny materiał budowlany był towarem deficytowym. Rozebrano kamienne bloki, ozdobne mozaiki, a wszystko wywieziono w niezna-

Poniemieckie schody prowadzące na szczyt skalnego wzgórza. Fot. ze zb. Autora.

nym kierunku. Być może do Warszawy lub jeszcze dalej na wschód? Dlatego skała jest nieuszkodzona i pozbawiona śladów wybuchu. Można jeszcze porozmawiać ze świadkami, którzy brali udział w tej rozbiórce. Być może coś tam wysadzono, aby w okolicy usłyszano huk. Niektórzy twierdzą, że go słyszeli. Propagandowa mistyfikacja. Co więcej, szczątki bojowników Selbschutzu znajdujące się w podziemnej „Totenhalle" zebrano, i bez rozgłosu pochowano na annaberskim cmentarzu. Nieoficjalnie. Powoli nad annaberskim klasztorem zbierały się kolejne ciemne chmury. Przepraszam, nie ciemne. Właściwie czerwone.

Paradoksalnie polityka nowych polskich władz komunistycznych zmierzała w stronę kursu wyznaczonego wcześniej przez brunatnych nazistów. Władze powojennej Polski nie miały zamiaru tolerować religijnego charakteru „Świętej Góry". Sanktuarium, pielgrzymki, modlitwy, kazania, klasztor... komu to potrzebne? Tak naprawdę wojna wokół Góry św. Anny wcale się nie skończyła. 11 IX 1945 r. decyzją władz powiatowych w Strzelcach Opolskich franciszkanów usunięto z klasztoru, zalecając im wyjazd do Niemiec. Wśród nich byli o. Bonifacy Wiesiołek i o. Feliks Koss, którzy już raz, podczas wojny, musieli opuścić klasztor. Zostali usunięci przez Gestapo za używanie języka polskiego. Pozostał jednak kościół, dumnie i niewzruszenie wznoszący się na szczycie „Świętej Góry". Kto wie, być może komuś przyszło nawet do głowy wysadzić go w powietrze. Na szczęście tak się nie stało. „Święta Góra" znowu stała się miejscem pielgrzymek.

W 1947 roku sanktuarium odwiedził, urodzony w Mysłowicach, arcybiskup metropolita gnieźnieński i poznański kardynał August Hlond (1881-1948), który wziął udział w pielgrzymce mężczyzn i młodzieńców na Górę św. Anny. Ten sam, którego osobę w 1939 r. internowany w Rumunii prezydent Ignacy Mościcki rozpatrywał jako kandydata na nowego prezydenta RP. Myślano o nim również jako o premierze polskiego rządu na uchodźstwie. Wojenne losy rzuciły tego wybitnego Górnoślązaka do Włoch, a potem do Francji, gdzie w 1943 r. został internowany przez Gestapo. W lipcu 1945 r. powrócił do Polski i stanął na czele metropolii warszawsko-gnieźnieńskiej. W 1949 r. w sanktuarium powitano nowego prymasa – ks. arcybiskupa Stefana Wyszyńskiego (1901-1981). Uroczystość miała miejsce podczas zorganizowanego na Górze św. Anny zjazdu kapłanów. W latach 1957-1963 kościół uzyskał nowy wystrój wnętrz, dzięki pracy śląskiego artysty-malarza Josefa Mitschke. Pojawiły się neobarokowe sztukaterie, malowidła ścienne oraz główny ołtarz. W latach 60., podobnie jak się to działo w Piekarach Śląskich, władze PRL-u wszelkimi sposobami utrudniały organizowanie pielgrzymek na Górę św. Anny. W tym samym czasie, gdy się odbywały, organizowano w amfiteatrze masowe imprezy. W 1955 r. w miejscu, gdzie wcześniej stało mauzoleum, stanął budowany już od 1946 r. pomnik polskiego czynu powstańczego, którego autorem był urodzony w Krakowie były więzień KL Auschwitz o numerze 774 Xawery Dunikowski (1875-1964). Pomnik utrzymany w stylu socrealizmu istnieje do dzisiaj. Obiekt składa się z czterech monumentalnych bram (pylonów) uwieńczonych architrawarami, stojących dookoła płonącego znicza. Podobno ma to być symbol otwartego śląskiego domu. Całość wykonano z karkonoskich granitów. Pomnik ozdobiony jest głowami (tzw. „głowy śląskie") czterech postaci: Górnik, Hutnik, Rolnik, Kobieta-Ślązaczka. Został odsłonięty w 1955 r. przez Przewodniczącego Rady Państwa gen. Aleksandra Zawadzkiego jako „Pomnik Czynu Powstańczego", co uwieczniono na istniejącej do dzisiaj pamiątkowej tablicy. W amfiteatrze, a potem pod nowym pomnikiem, począwszy od 1946 r. cyklicznie odbywały się masowe uroczystości odwołujące się w swojej retoryce do okresu powstań. Uroczystości były odpowiednio wyreżyserowane, aby w oczach uczestników miały wymiar pseudopatriotyczny, a już na pewno antyreligijny. Bezskutecznie.

Polscy komuniści na Górze św. Anny ponieśli ideologiczną klęskę. Ludzie nie byli zainteresowani tego typu przedstawieniami. Dla nich bardziej liczył się mit „Świętej Góry", niewzruszony od wieków, pomimo tak wielu politycznych zawieruch. Do dzisiaj w zboczu skalnej ściany pozostała pamiątkowa tablica upamiętniająca postać Bolesława Bieruta, datowana na 1946 rok, informująca o decyzji zorganizowania w tym miejscu specyficznego ośrodka patriotycznego kultu. W 1971 r. odbyło się tutaj wielkie patriotyczne przedstawienie, upamiętniające 50. rocznicę III powstania śląskiego. Wojewodą śląskim był wówczas, urodzony w Gliwicach, Jerzy Ziętek (1901-1985), a reżyserii tego masowego widowiska podjął się znany polski reżyser filmowy, pochodzący z Szopienic na Górnym Śląsku Kazimierz Kutz. W 1973 r. w sanktuarium odbyła się uroczystość 300-lecia konsekracji świątyni, na której obecny był, urodzony pod Wodzisławiem Śląskim, arcybiskup metropolita wrocławski ks. kardynał Bolesław Kominek (1903-1974). W roku 1980 – roku „Solidarności" i wywołanego przez nią podmuchu nadziei – na Górze św. Anny odbyły się uroczystości 500-lecia sanktuarium i konferencja Episkopatu Polski pod przewodnictwem prymasa Stefana Wyszyńskiego. Trzy lata później Górę św. Anny odwiedził papież Jan Paweł II (1920-2005), który podobno miał do tego miejsca wielki sentyment. Chyba nie ma w tym przesady, bo ten wielki Polak nadał świątyni tytuł bazyliki. Jego osobę do dzisiaj otacza się w tym miejscu wielką czcią.

Wracając do miejsca u podnóża góry, gdzie znajduje się amfiteatr, obecnie najlepiej wygląda tam pomnik autorstwa Xawerego Dunikowskiego. Byłem w tym miejscu chwilę potem, jak w 2011 r. szumnie obchodzono 90. rocznicę III powstania śląskiego. Pod pomnikiem leżały sterty kwiatów, zazwyczaj w biało-czerwonym kolorze, w tym wiązanka złożona przez Prezydenta RP Bronisława Komorowskiego. Na co dzień jednak nie jest tak pięknie. Rejon amfiteatru jest mocno zaniedbany. Wystarczy jednak stanąć obok pomnika i spojrzeć

w dół, na równo ustawione stopnie amfiteatru, na skalne wyrobiska, a następnie na szczyty okalających amfiteatr drzew, by uzmysłowić sobie niewątpliwą magię tego miejsca. Gdzieś tam, pod naszymi stopami znajduje się Hala Zmarłych, a także monumentalna porfirowa rzeźba umierającego wojownika, której nikt nie zdołał stamtąd wyciągnąć. Za naszymi plecami mamy obszerny plac, starannie wyłożony przed wojną granitową kostką. W gęstych krzakach można znaleźć ruiny małej restauracji, kiedyś z widokiem na mauzoleum obecnie na pomnik. Kamiennymi schodami zejdziemy ze szczytu wzgórza do amfiteatru. Chyba dość niedawno były remontowane, bo nie wyglądają najgorzej. Kiedy już znajdziemy się na poziomie amfiteatru, możemy zauważyć, jak bezlitosny potrafi być czas. Skalne stopnie amfiteatru monumentalnie wznoszące się ku górze są w coraz gorszym stanie. Jednak koniecznie trzeba na nich usiąść i spojrzeć w górę, w stronę uwieńczonego pomnikiem skalnego wzniesienia, które z dołu wydaje się niedostępne i wręcz magiczne. Wygląda niesamowicie. Następnie warto zbliżyć się do skały, by zauważyć mnóstwo śladów po odwiertach pochodzących z czasów, gdy wydobywano stąd urobek, a całe miejsce było jednym wielkim kamieniołomem. Po lewej stronie widnieje dziwna konstrukcja przypominającą dysk, która kiedyś jaśniała ogniem wielkiego znicza. Później dobudowano do niej część ozdobioną godłem RP, wraz z masztem flagowym. Warto też przejść się nieco w bok od amfiteatru, by zobaczyć ruiny majestatycznej wieży ze słabo zachowanymi fragmentami kamiennej mozaiki, a także wielkie kamienne schody, którymi z drugiej strony można było się dostać do annaberskiego „Reichsfeierstätte". Trochę dalej ciągną się szerokie, brukowane aleje, którymi tłumy miały podążać w stronę miejsca politycznego kultu. Miały, ale kierowały się bardzo rzadko. Oczywiście zostaje nam wspiąć się w stronę sanktuarium na szczycie Góry św. Anny, które w każdy ciepły weekend rozbrzmiewa głosami wielu ludzi mówiących różnymi językami. To miejsce nadal jest często odwiedzane. Przed wysokimi schodami do kościoła zawsze ustawionych jest mnóstwo straganów. Zazwyczaj można tam znaleźć coś ciekawego, co będzie stanowiło niepowtarzalną pamiątkę z tego niecodziennego miejsca. Pomimo politycznych zawieruch „Święta Góra" zachowała swój religijny charakter. Śląski też, bo gwara jest tu wszechobecna. Warto zobaczyć wnętrze kościoła, odwiedzić klasztorne zabudowania i pospacerować pełnymi zieleni parkowymi alejkami. Opuszczając Górę św. Anny wzdłuż całej drogi towarzyszą nam malownicze kapliczki annaberskiej Kalwarii, rozrzucone szeroko po całym terenie. Jeśli ktoś chciałby je wszystkie zobaczyć, na zwiedzanie Góry musi poświęcić cały dzień. Powiem szczerze, warto. Niedaleko znajduje się niedawno wyremontowany budynek dawnego schroniska Hitlerjugend, obecnie nazywany „Harcówką". Wjeżdżając na Górę św. Anny po lewej stronie drogi stoi gmach Muzeum Czynu Powstańczego (oddział Muzeum Śląska Opolskiego), żywy relikt czasów, gdy „Świętej Górze" próbowano nadać patriotyczny i pseudo-obywatelski aspekt, odchodząc od religijnego zabarwienia. Muzeum jest ciekawe i polecam jego zwiedzanie. Bogate zbiory fotografii, powstańcze mundury, sztandary bojowe oraz ordery i odznaczenia zainteresują każdego. Znajdują się tam również oryginalne meldunki bojowe, pisemne rozkazy wydawane podczas III powstania śląskiego, a także broń, której powstańcy używali podczas walk. Część obecnej ekspozycji jest poświęcona historii Góry św. Anny. Znajduje się tu również Dział Przyrody Muzeum Śląska Opolskiego. Uroczyste otwarcie tej placówki miało miejsce 19 VII 1964 r., choć jeszcze w innej siedzibie. W obec-

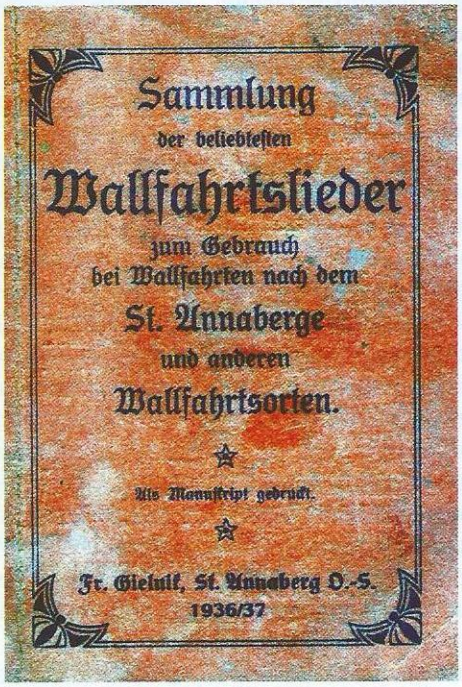

Śpiewnik modlitewny Góra św. Anny 1936-1937. Fot. ze zb. Autora.

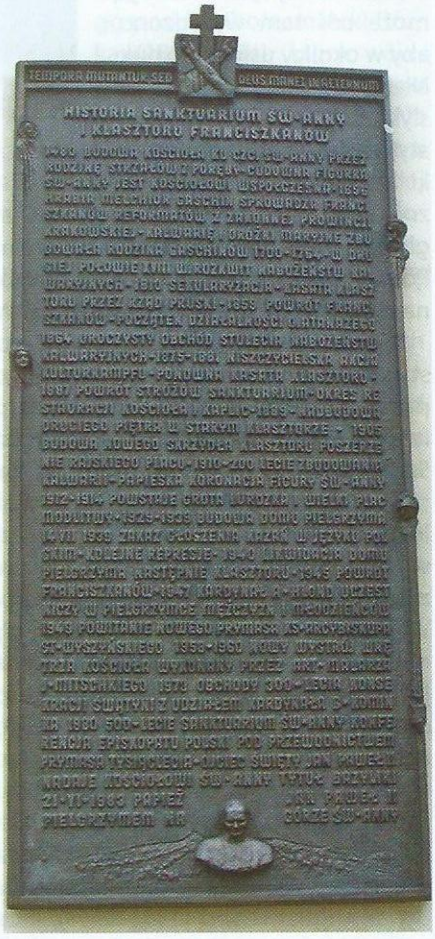

Tablica informacyjna na annaberskim kościele. Fot. ze zb. Autora.

Wóz pancerny „Korfanty" przed Muzeum Czynu Powstańczego na Górze św. Anny. Fot. ze zb. Autora.

nej znajduje się od 1980 r. Co ciekawe, teraz Muzeum mieści się w historycznym budynku, w tzw. „Domu Polskim" (zwanym również „Domem Pod Chełmskim Wierchem"), którego nazwa pochodzi z 1936 r., kiedy to Bank Słowiański w Berlinie zakupił pochodzącą z XIX w. karczmę wraz z gruntem uprawnym dla potrzeb I. Dzielnicy Związku Polaków w Niemczech. W latach 1937-1939 w „Domu Polskim" odbywały się m.in. zjazdy polskich organizacji, a także obozy harcerskie i kolonie zuchowe ZHP w Niemczech. Na przyległym terenie urządzono poletka doświadczalne, na których młodzi rolnicy należący do Związku Polaków w Niemczech, zdobywali doświadczenie i fachowe wiadomości. Budynek był zradiofonizowany, a ustawione w oknach głośniki, ku wściekłości nazistów, witały przechodniów dźwiękiem polskiej mowy. To właśnie tutaj zebrani na sejmiku w październiku 1937 r. członkowie Związku Polaków w Niemczech oficjalnie i otwarcie manifestowali swoją polskość. Część z nich w ten sposób podpisała na siebie wyrok śmierci... W czasie II wojny światowej Niemcy urządzili na przyległym terenie obóz pracy dla Żydów, a w „Domu Polskim" mieściła się jego komendantura. Zaskoczeniem dla współczesnych może być stojący przed wejściem wóz pancerny, ozdobiony symbolem trupiej czaszki i skrzyżowanych piszczeli. Wiem, z czym może się kojarzyć... Nie proszę Państwa. To nie drugowojenny pojazd Waffen-SS. To powstańczy wóz pancerny nazywany „Korfanty". A właściwie jego replika. Prawdziwy „Korfanty" podczas III powstania śląskiego walczył w ramach Grupy „Północ" w rejonie Kędzierzyna, a w dniach 21-27 maja wziął udział w walkach w rejonie Góry Św. Anny. Po zakończeniu powstania prawdopodobnie wysłano go do Muzeum w Krakowie, lecz jego dalsze losy nie są znane.

Po przemianach politycznych w Polsce, gdy rodziła się III RP i po ogłoszeniu ustawy samorządowej, amfiteatr na Górze św. Anny został przekazany we władanie gminie Leśnica. To zbyt mała gmina, by udźwignąć ciężar utrzymania tak gigantycznego obiektu. Po 2-3 latach gmina przekazała ów obiekt do Skarbu Państwa, który jest jego właścicielem do dzisiaj. Leży na terenie woj. opolskiego, więc z ramienia wojewody przekazano go w ręce starostwa Strzelce Opolskie. Jak dotąd nikt nie ma pomysłu na jego wykorzystanie. To wielka szkoda. Okoliczne tereny zajmuje park krajobrazowy, który przyciąga wielu mieszkańców Śląska. Lecz polityczny wulkan niestety nie cichnie. W 1989 r. na Górze św. Anny miała się odbyć msza święta, z udziałem ówczesnego premiera III RP Tadeusza Mazowieckiego oraz kanclerza Niemiec Helmuta Kohla. Msza miała być symbolem pojednania dwóch narodów. Niestety, z powodu protestów różnych środowisk nie doszło do niej. Odbyła się więc w Krzyżowej koło Świdnicy, miejscu związanym ze śląską antyhitlerowską opozycją zwaną „kręgiem z Krzyżowej". Cóż, Góra św. Anny nie stała się miejscem pojednania. Wielka szkoda, gdyż to miejsce nadal pozostaje symbolem rozdarcia śląskich dusz. Miejscem, które stało się tragiczną, powojenną kontynuacją polsko-niemieckiej wojny na pomniki. Miejscem, które raczej jest pomnikiem dwóch totalitaryzmów i dowodem na to, że ich idee niestety głęboko pozostają w ludzkich sercach. Papież Jan Paweł II nazwał Górę św. Anny „Górą nadziei". Doskonała nazwa dla tego magicznego miejsca, do którego każdego roku przybywa blisko 300 tys. pielgrzymów. Pielgrzymi pozostają apolitycznym, żywym pomostem pomiędzy narodami i kulturami. Ja wiem, że „Święta Góra" sobie poradzi. Tak długo, dopóki jej magia żyje w naszych sercach.

Literatura:
1. S. Arczyński, T. Kwiek, „Śląsk opolski", Warszawa 1983
2. B. Stokowy OFM., „Góra Św. Anny. Zarys historii ośrodka kultu religijnego na Górnym Śląsku", Opole 1947
3. J. L. Dobesz „Wrocławska architektura spod znaku swastyki na tle budownictwa III Rzeszy", Wrocław 2005
4. B. Längin, „Unvergessene Schlesien. Land zwischen Spree und Weischel".
5. S. E. Pollok, „Śląskie tragedie", Wydawnictwo Żyrowa 2012
6. R. Niedźwiedzi, M. Zarankiewicz, „Zanim Góra św. Anny wynurzyła się z morza. Skamieniałości, jaskinie i drogie kamienie wokół sanktuarium św. Anny", Góra św. Anny 2007
7. „Historia Górnego Śląska. Polityka, gospodarka i kultura europejskiego regionu", praca zbiorowa pod red. J. Bahlcke, D. Gawreckiego i R. Kaczmarka, Gliwice 2011
8. „Schlesien", Gräfe und Unzer Verlag München
9. „Sztuka Górnego Śląska od średniowiecza do końca XX wieku", praca zbiorowa pod red. E. Chojeckiej, Katowice 2004
10. „Sztuki piękne w III Rzeszy. W przeddzień 70. rocznicy palenia książek: 10 V 1933-10 V 2003", praca zbiorowa pod red. H. Orłowskiego, Poznań 2004

Dariusz Pietrucha
Prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium"

W numerze kwietniowym (4/171) z 2013 roku ogłosiliśmy wielki konkurs na 15-lecie „Odkrywcy". Składa się on z trzech etapów. Każdy etap to 5 pytań, na które należy odpowiedzieć przesyłając sms. W każdym etapie nagradzamy książkami pierwszych 10 uczestników, którzy prześlą poprawną odpowiedź. Natomiast główną nagrodą będzie gra komputerowa, którą otrzyma 10 uczestników wszystkich trzech etapów.
Przedstawiamy zwycięzców I etapu, którzy otrzymają od nas publikacje książkowe:

- Piotr Kulik
- Andrzej Lipski
- Wiesław Mączkowski
- Arkadiusz Kamiński
- Tomasz Sieledcow
- Mariusz Dybek
- Roman Żuk
- Mieczysław Oskiera
- Leszek Hoppe
- Andrzej Komandos

Podajemy prawidłowe odpowiedzi na pytania:
1C; 2A; 3C; 4C; 5A

Wszystkim uczestnikom serdecznie dziękujemy za udział w konkursie. Zapraszamy do następnych. Każdorazowo do wygrania jest wiele cennych i atrakcyjnych nagród. Serdecznie zachęcamy Was do aktywnego udziału w każdej edycji konkursu. Pamiętajcie, nie wygrywa tylko ten, który nie gra!

Zwycięzcom serdecznie gratulujemy!

Najnowsza wystawa czasowa w Muzeum Wojska Polskiego

W boju i koszarach –

TEKST: DAWID DZIAMA, RZECZNIK PRASOWY MWP

Wśród tegorocznych projektów realizowanych przez Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, na szczególną uwagę zasługuje szwedzka wystawa „Bits and Pieces between Life and Death", firmowana przez sztokholmskie Muzeum Armii, która święciła już sukcesy w wielu krajach europejskich. Prezentuje ona imponujący zbiór przedmiotów związanych z wyposażeniem wojskowym, należący do prywatnego kolekcjonera Torbjörna Lenskoga, pochodzący z różnych stron świata i epok. Eksponaty takie rzadko bywają przedmiotem monograficznych prezentacji, zazwyczaj znikają w sąsiedztwie elementów uzbrojenia i umundurowania. Tymczasem były i są absolutnie niezbędnymi częściami żołnierskiego wyposażenia, pozwalającymi egzystować w koszarach i na polu walki, przetrwać czas służby w dobrej kondycji fizycznej, jak i psychicznej.

Wystawę, którą honorowym patronatem objął Minister Obrony Narodowej Tomasz Siemoniak, 8 maja 2013 r. w siedzibie Muzeum WP przy al. Jerozolimskich 3 uroczyście otworzył Dyrektor Muzeum Wojska Polskiego prof. dr hab. Zbigniew Wawer. Gościem honorowym byli Ambasador Szwecji – Staffan Herrström oraz przedstawiciele Muzeum Armii ze Sztokholmu.

Bliżej o wystawie, Michał Mackiewicz – kurator wystawy.

Wojna kojarzy się, co oczywiste, z walką, a więc rozmaitymi narzędziami służącymi do wyeliminowania przeciwnika. Niezakłócony, sprawnie zorganizowany transport amunicji i paliwa jest jednym z kluczowych czynników decydujących o zwycięstwie. Nie mniej istotnym – zaopatrzenie w żywność i medykamenty. Bez nich nie można w ogóle myśleć o walce, więcej nawet, armia pozbawiona jedzenia i lekarstw gwałtownie traci jakąkolwiek wartość. Nie może więc dziwić, iż spośród 1200 obiektów zgromadzonych na wystawie, znaczną część stanowią naczynia (imponuje kolekcja manierek) oraz chlebaki i tornistry, w których żołnierze przenosili racje żywnościowe oraz pakiety pierwszej pomocy. Poza znanymi doskonale w Polsce wzorami niemieckimi czy angielskimi, pochodzącymi z obu wojen światowych, uwagę przykuwają rzadko u nas spotykane egzemplarze z Dalekiego Wschodu – przede wszystkim japońskie, zawsze wyjątkowe ze względu na oryginalną estetykę. Nie mogło zabraknąć także sztućców, szczególnie cenne są te zawierające własnoręcznie naniesione nazwiska właścicieli. Wśród rozmaitych leków i opatrunków przenoszo-

Uroczystego otwarcia wystawy dokonał dyr. MWP – prof. Zbigniew Wawer (po prawej). Gościem honorowym był Ambasador Szwecji – Staffan Herrström (po lewej).

żołnierski niezbędnik

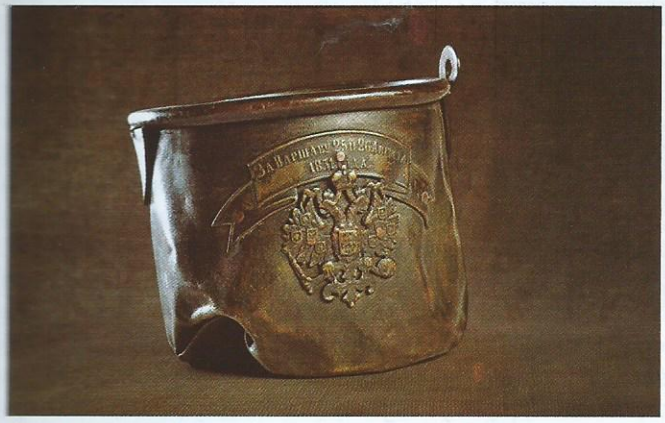

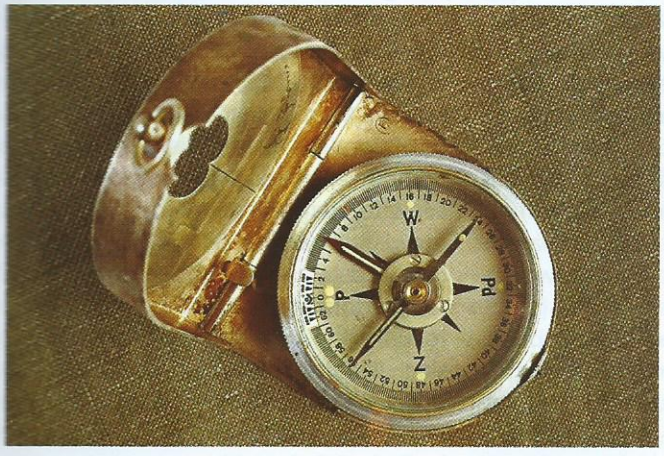

nych indywidualnie przez żołnierzy, niewątpliwą ciekawostkę stanowią zestawy zawierające antidotum przeciwko ukąszeniom węży stosowane w klimacie tropikalnym.

Koszmar wojny chemicznej przypominają rozmaite maski przeciwgazowe; niesamowicie i groteskowo zarazem wygląda brytyjski model dla małego dziecka z lat 40. XX wieku. „Śmieszna", jaskrawokolorowa maska pegaz miała ułatwiać oswojenie się malucha z niezrozumiałą i okrutną rzeczywistością wojny.

Żołnierz powinien być nie tylko nakarmiony i zdrowy, ma także schludnie wyglądać. Mundur, zwłaszcza podczas służby garnizonowej, winien lśnić guzikami! Do czyszczenia stosowano specjalne listewki z otworami, umożliwiające ich polerowanie przy zapiętej kurtce mundurowej. Na wystawie pokazano kilka, oczywiście z różnych stron świata. Ciekawą i liczną kategorię eksponatów tworzą zestawy toaletowe, żołnierskie i oficerskie – mydła wraz pojemnikami, wreszcie perfumy. Wojskowa służba jest ciężka i często trąci rutyną. Podtrzymaniu morale służyły... papierosy. Choć dzisiaj zaciekle zwalczane, na frontach I i II wojny stanowiły artykuł pierwszej potrzeby! Uwagę zwracają m.in. słynne francuskie Gauloises (z nieśmiertelnym symbolem hełmu Adrian na etykiecie) i nie mniej znane papierosy amerykańskich G.I. – Camele. W trakcie krótkich przerw pomiędzy żołnierskimi obowiązkami na froncie bądź w koszarach umilano sobie czas, grając w kości, karty, wreszcie śpiewając. Zwłaszcza przy akompaniamencie akordeonu (także prezentowanego na wystawie).

Ilość zgromadzonych eksponatów mogłaby przytłaczać, gdyby nie to, że pokazano je w estetycznych i przejrzystych gablotach na kubikach, rezygnując przy tym z dodatkowej zewnętrznej aranżacji. „Okruchy" wojskowego życia w czystej postaci!

Ekspozycja dostępna jest dla zwiedzających od 8 maja br. do końca marca 2014 roku.

Zapraszamy na wystawę.

REKLAMA

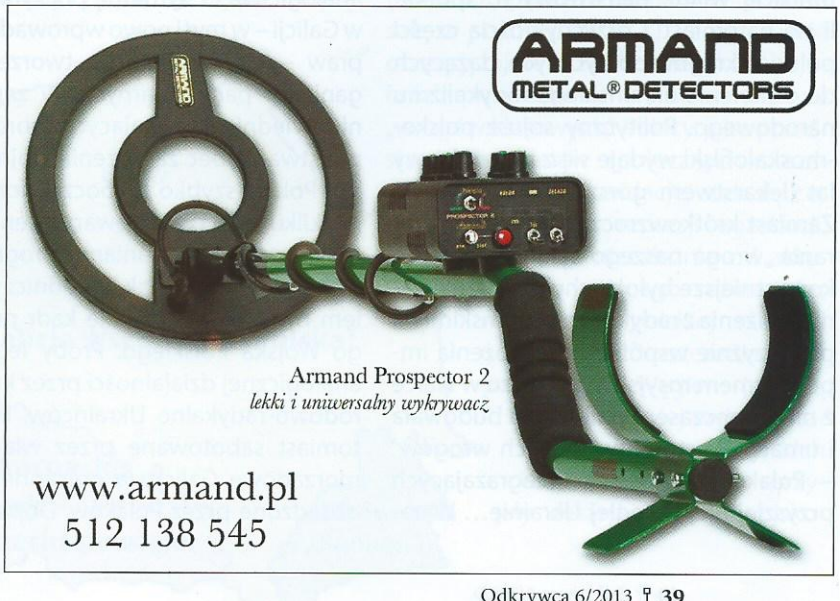

Wybaczyć – nie znaczy zapomnieć

Polska i Ukraina: śmiertelny klincz (cz. 2)

TEKST: PIOTR GALIK

W pierwszych latach XX wieku historia Europy wyraźnie przyśpieszyła. Przeczucia zbliżającego się wielkiego przełomu politycznego nie ominęły austro-węgierskiej Galicji i Lodomerii, czyli ziem przedrozbiorowej Małopolski Wschodniej. Zarówno polscy, jak i ukraińscy działacze niepodległościowi upatrywali szans w realizacji programu budowy (czy odbudowy) suwerenności w wyniku klęski Rosji, sukcesywnie wchłaniającej od połowy XVII do końca XVIII wieku dawne Kresy Rzeczypospolitej, w tym tzw. ziemie ukrainne. Rosja nie ustająca niezależnie od ustroju czy stulecia w imperialnym „zbieraniu ziem ruskich", łakomie spoglądała na austro-węgierską Galicję i Bukowinę. Wspierała także galicyjski nurt moskalofilski (tzw. starorusinów), usiłując zarówno umacniać swoje wpływy polityczne, jak i osłabić postrzegany jako zagrożenie ruch ukraiński. Już od 1866 roku rosyjskie dotacje wspomagały czasopisma krzewiące teorie o jedności słowiańskiej, jednym i niepodzielnym, rosyjskojęzycznym ludzie ruskim (russkij narod – lud rosyjski) i duchowej przewadze zależnego od Patriarchatu Moskiewskiego Prawosławia nad Unitami, których hierarchia sprzyjała ideom ukrainizmu. Władze habsburskie słusznie dostrzegały w tym wsparciu znamiona dywersji ideologicznej, a nawet agenturalności. Moskalofile, znienawidzeni i zwalczani przez nacjonalistów ukraińskich oraz otoczeni nieufnością władz państwowych, spotkali się natomiast z przychylnością części polskich kręgów politycznych, dążących do osłabienia ukraińskiego radykalizmu narodowego. Polityczny sojusz polsko-moskalofilski wydaje się z perspektywy lat „lekarstwem gorszym od choroby". Zamiast krótkowzrocznej taktyki wspierania „wroga naszego wroga", znacznie korzystniejsze byłoby chyba poszukiwanie zbliżenia z radykałami ukraińskimi na płaszczyźnie wspólnego zagrożenia imperializmem rosyjskim i sojuszu w walce z nim. Tymczasem polityka ta budowała i umacniała stereotyp „dwóch wrogów" – Polaków i Moskali – zagrażających przyszłej niepodległej Ukrainie… Wyrazem jawnie antypolskiego nastawienia ukraińskich nacjonalistów epoki schyłku Austro-Węgier, było przemówienie posła wiedeńskiego parlamentu, Jewhena Petruszewycza, który w 1910 zażądał: *„Przywróćcie nam nasze prawa.* ***Usuńcie się stąd, to nasz kraj*** (pogrubienie – P.G.). *Przeciwstawimy się wam tu w sejmie i w całym kraju taką burzą, że drżeć będziecie nawet zasłonięci całą armią!".* Prawdziwy problem polegał jednak na tym, że Galicja Wschodnia – wbrew buńczucznym słowom przyszłego prezydenta Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej – nie była krajem **wyłącznie** (pogrubienie – P.G.) ukraińskim. A skoro fakty przeczą teorii – biada faktom… Konsekwencją tej optyki była późniejsza polityka zmiany niewygodnych faktów przez fizyczną eksterminację narodów uznanych za zbędne, czy szkodliwe dla Ukrainy…

Wielka Wojna – klęska zaborców

Bliższe zbadanie dziejów polskiego i ukraińskiego ruchu niepodległościowego tamtej epoki wykazuje wiele analogii, wręcz symetrię poczynań. Gdy w Galicji – w myśl nowo wprowadzonych praw – legalne stało się tworzenie organizacji paramilitarnych, w zamierzeniu Wiednia sprzyjających obronności państwa wobec zagrożenia wojną z Rosją, Polacy szybko rozpoczęli formowanie kilku tego typu stowarzyszeń. Różniły się one zapatrywaniami i programami politycznymi, jednak zasadniczym celem było przygotowanie kadr przyszłego Wojska Polskiego. Próby legalizacji analogicznej działalności przez kręgi narodowo-radykalne Ukraińców, były natomiast sabotowane przez władze samorządowe Galicji, w ogromnej części obsadzone przez Polaków. Dopiero wybieg jakim było dosłowne skopiowanie statutu polskiej organizacji strzeleckiej, umożliwił rejestrację Towarzystwa Ukraińskich Strzelców Siczowych. Podobnie, jak w przypadku polskich stowarzyszeń tego typu, Strzelcy Siczowi stali się zalążkiem ochotniczej formacji wojskowej powołanej do walki z Rosją. Burzliwe i obfitujące w bohaterskie epizody dzieje Legionu Ukraińskiego (USS) nie ustępują dramatyzmem historii Legionów Polskich. Waleczni ochotnicy spod znaku niebiesko-żółtej flagi czynili wiele, by budzić i krzepić wśród galicyjskich Rusinów poczucie ukraińskiej świadomości narodowej. Paradoksalnie jednak więcej w tej materii osiągnęli ci Strzelcy Siczowi, którzy trafili do rosyjskiej niewoli i mogli dzięki temu dotrzeć do rodaków „za kordonem". Tymczasem już od 1914 roku trudno było łudzić się co do rosyjskich zapatrywań na losy Galicji. Bardzo znaczącym faktem stała się wówczas deklaracja wygłoszona we Lwowie przez hrabiego Bobrińskiego, wpływowego polityka i generał – gubernatora nowo zajętego terytorium: *„Przede wszystkim Galicja Wschodnia i Łemkowszczyzna jest odwieczną częścią jednej Wielkiej Rusi. Na ziemiach tych ludność rdzenna była zawsze* ***rosyjska*** (pogrubienie – P.G.), *administracja więc tych ziem powinna być na zasadach rosyjskich. Będę tu wprowadzał rosyjski język, rosyjskie prawo i ustrój będą wprowadzane, naturalnie, w życie z pewną stopniowością. Uważam za niezbędne w interesie całej ludności nie zakłócić normalnego biegu życia kraju. Wobec tego ograniczę się na razie do mianowania rosyjskich gubernatorów, naczelników powiatów i rosyjskiej policji".* Takie słowa, a co gorsza idące za nimi decyzje i czyny, przeraziły zarówno Polaków, jak i Ukraińców. Trzeba także pamiętać, że wojenne niepowodzenia sprawiły, iż tak do niedawna liberalne władze austriackie rozpoczęły masowe prześladowania osób oskarżonych o szpiegostwo na rzecz Rosji. Ofiarą tej histerii padło wiele tysięcy galicyjskich Rusinów – zwykle nikt nie sprawdzał ich orien-

Cóżeś uczynił? Krew brata twego głośno woła ku mnie z ziemi! (Rdz 4,10)

tacji politycznej, do skazania na śmierć lub deportację do obozu w Talerhof pod Grazem wystarczyły nieraz jedynie podejrzenia o „sprzyjanie Rosjanom". Austro-Węgrom udało się wyparcie Moskali z większości terenów Galicji latem 1915 roku, jednak za cenę wielkich strat i postępującej marginalizacji Wiednia na rzecz Berlina. Śmierć Franciszka Józefa I zamroziła polityczne rozwiązanie galicyjskiego „węzła gordyjskiego" aż do schyłkowej fazy Wielkiej Wojny.

Takie fakty skutecznie odbierały wiarę w dobre intencje któregokolwiek z zaborców. Zresztą wbrew planom ukraińskich narodowców, to nie austro-węgierska Galicja stała się zalążkiem ukraińskiej suwerennej państwowości, lecz Rosja. Istniejące już wczasach przedwojennych stronnictwa ukraińskie, jak: Ukraińska Partia Rewolucyjna, Ukraińska Partia Demokratyczno-Radykalna czy Towarzystwo Ukraińskich Postępowców, musiały zmagać się zarówno z represjami władz, jak i obojętnością większości społeczeństwa „guberni małorosyjskich". Jednak imperium carów wyczerpane przegrywaną wojną i rozdzierane wewnętrznymi konfliktami, zaczęło po abdykacji Mikołaja II „rozchodzić się w szwach". Jednym z przejawów jego rozpadu stało się powołanie do życia Ukraińskiej Centralnej Rady. Ten pierwszy rząd ukraiński powstał w Kijowie w marcu 1917 roku, a na jego czele stanął Mychajło Hruszewskij, ojciec ukraińskiego nacjonalizmu. W czerwcu 1917 r. proklamowano I Uniwersał UCR, zapowiadający autonomię Ukrainy w granicach Rosji. W listopadzie III Uniwersał postulował już odrębność państwa ukraińskiego, choć pozostającego w federacji z Rosją. Proklamowana wówczas Ukraińska Republika Ludowa miała zapewnić swobody także mniejszościom narodowym, do których zaliczono Rosjan, Żydów i Polaków. Nie sposób pominąć faktu, że na wschód od granicy Galicji pozostawały wówczas tysiące Polaków. Nie była to przy tym ludność napływowa (jak Rosjanie), lecz osiadła od wieków. Niestety, wbrew deklaracjom władz w Kijowie Polacy stali się ofiarami prześladowań i zbrodni, które popełniała zarówno zdemoralizowana okresem wojny i anarchii ludność wiejska, jak i bolszewicy, dążący do opanowania Ukrainy i „zlikwidowania wroga klasowego". Polacy jako właściciele ziemscy, przemysłowcy i przedstawiciele wolnych zawodów stali się oczywistym celem „inżynierii społecznej", zmierzającej do budowy społeczeństwa bezklasowego. Grozę tych czasów oddaje szereg opublikowanych wspomnień ocalonych z pożogi, która ogarnęła wówczas Kresy. Wśród tych relacji do najbardziej przejmujących należą zapiski Marii Dunin-Kozickiej, wydane pod tytułem „Burza od Wschodu" już w roku 1919 w niepodległej Polsce. Oto jedne z wielu przerażających opisów tamtych wydarzeń: *„Chłopstwo waliło w gruzy budowle, młóciło cepami saską porcelanę, wykłuwało oczy portretom dziedziców, tarzało się w cukrze wysypywanym z worów na podwórza fabryczne, topiło fortepiany i meble w stawach, szalało z uciechy – mordowało z żalu, że tamci tyle lat panowali bezkarnie! »Smert panam! Rizaty Lachiw!« Podpalaj! Bij! Morduj!"*. Wszystko zgodnie z niechlubną tradycją koliszczyzny i rzezi Humania…

Nie może też zaskakiwać, że z wielką radością rodacy witali na ziemiach kresowych polskie formacje wojskowe (II i III Korpus), powstające na ziemiach ukraińskich. Polscy żołnierze wielokrotnie uczestniczyli w utarczkach ze zbrojnymi grupami grabieżców, przeprowadzali także akcje odwetowe wobec mieszkańców wsi, gdzie doszło do aktów przemocy wobec posiadaczy ziemskich. Trudno oprzeć się wrażeniu, że opisywane wydarzenia były przestrogą, jak mogą ułożyć się w przyszłości polsko-ukraińskie relacje na terenach etnicznie mieszanych.

Tymczasem w Galicji doszło w lutym 1918 roku do wydarzeń, które zapoczątkowały zimną (jeszcze!) wojnę polsko-ukraińską. Podczas rokowań pokojowych z delegatami ukraińskimi dyplomaci cesarscy zaproponowali wydzielenie Galicji Wschodniej z Lwowem i Przemyślem jako „ukraińskiego kraju koronnego" oraz oddanie Ukraińskiej Republice Ludowej ziemi chełmskiej, wydzielonej z obszaru Królestwa Polskiego. Postulaty te, ujawnione w prasie, wywołały burzliwe protesty środowisk polskich prowadzące do odrzucenia traktatu przez parlament austro-węgierski. Najbardziej drastyczną formą protestu było zbrojne przebicie się części Polskiego Korpusu Posiłkowego (formacji post-legionowej) do polskiego II Korpusu na Ukrainie. Niefortunna próba rozwiązania kwestii galicyjskiej przez Wiedeń była dla Polaków oznaką, że wszelkie marzenia o tzw. rozwiązaniu austro-polskim są bezpodstawną mrzonką. Dla Ukraińców galicyjskich była natomiast prawdziwym „pocałunkiem śmierci". Skazani – z braku alternatywy – na wierność cesarzowi stanęli po stronie przegrywającej wojnę, w czasie gdy Polacy opowiedzieli się za mocarstwami zachodnimi, do których należeć miał triumf. Te decyzje znacząco zaważyły na dalszych losach Polski i Ukrainy.

1918 – nowe rozdanie, stary konflikt

Ostatnie miesiące Wielkiej Wojny przyniosły ponowne pogorszenie się sytuacji mniejszości polskiej na Ukrainie. Rozbrojenie polskich oddziałów przez okupacyjne wojska austro-niemieckie ośmieliło zrewoltowaną ludność do nasilenia napadów na dwory, którym nie mogła i nie chciała przeciwstawić się rodząca się w bólach, zagrożona agresją bolszewicką niepodległa państwowość ukraińska (proklamowana w IV Uniwersale w styczniu 1918 r.). Jednocześnie obszary zajęte przez bolszewików objęła fala prześladowań wymierzonych we „wrogów klasowych". Polacy, jako przedstawiciele warstw społecznych skazanych na likwidację, stali się celem szykan, represji i egzekucji. Tak więc niezależnie od aktualnie panującego reżimu, los mniejszości polskiej nie był godny pozazdroszczenia. Rozpad Austro-Węgier jesienią 1918 roku lepiej wykorzystany został przez galicyjskich Ukraińców, którym sprzyjały cesarskie kręgi wojsko-

we. Przy bierności Polaków oczekujących na rozwiązania polityczne, pokojowe, nocą z 31 października na 1 listopada 1918 roku żołnierze ukraińscy z armii austro-węgierskiej opanowali Lwów i większość pozostałych miast pomiędzy Sanem a Zbruczem, proklamując powstanie Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej. Z wybuchem polskiego powstania antyukraińskiego we Lwowie rozpoczęła się wojna, która dla obu narodów miała charakter „mitu założycielskiego". Do panteonu polskich bohaterów weszły wówczas legendarne Orlęta Lwowskie, wsparte wkrótce ochotnikami z ziem wszystkich zaborów. Dla Ukraińców „Łystopadowy Dni" („Dni Listopadowe", ukraiński odpowiednik polskiego określenia „Obrona Lwowa") i dalsze walki aż do gorzkiego końca latem 1919 roku stały się bolesnym memento. Przelana wówczas krew i poczucie krzywdy nie zostały zrównoważone strategicznym sojuszem polsko-ukraińskim wymierzonym we wspólnego wroga na Wschodzie. Ani wyzwolenie Kijowa przez polskich sojuszników, ani bohaterski udział ukraińskich wojsk Szymona Petlury w wojnie 1920 roku nie rozwiały antypolskich resentymentów po stronie ukraińskiej. Ciosem decydującym dla realizowanej przez Józefa Piłsudskiego „idei jagiellońskiej", czyli sojuszu Polski z krajami leżącymi pomiędzy nią a Rosją, stał się traktat pokojowy, kończący wojnę z bolszewikami w roku 1921. Wschodni sojusznicy Polski, w tym Ukraińcy, zostali pozostawieni własnemu losowi, gdyż Warszawa uznała legalność Białoruskiej i Ukraińskiej SRS. Mocą porozumienia wyznaczona została granica, która pozostawiała ponad 4 miliony Ukraińców w granicach II RP, a jednocześnie kilkaset tysięcy Polaków pod władzą bolszewickiej Ukraińskiej Republiki Sowieckiej. Tak oto Ukraińcy stali się najliczniejszą mniejszością narodową w Polsce (ponad 13%).

Kosztowne błędy

Państwo polskie, które dla wielu Ukraińców było po prostu kolejnym zaborcą, prowadziło – co piszę z poczuciem głębokiego zażenowania – nieroztropną politykę względem swoich ukraińskich obywateli. Wypada ubolewać, że wzorem innych państw, skonfliktowanych w sposób niemożliwy do rozwiązania innymi środkami, jak Grecja i Turcja, nie doszło do wymiany ludności pomiędzy II RP a ZSRS. W ten sposób znikłoby zarzewie sporu i drugowojennej rzezi na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, a miliony Polaków na „nieludzkiej ziemi" uniknęłyby eksterminacji i represji. Skoro jednak ten wariant trwałego rozdzielenia zwaśnionych narodów nie został zrealizowany, konieczna była rozważna i skuteczna polityka mniejszościowa Warszawy. Tu jednak władze państwowe zawiodły na całej linii. W obliczu antypolskiej konspiracji ukraińskiej, wspieranej przez czynniki zewnętrze (emigracja ukraińska w Czechosłowacji i Niemczech, nie bez życzliwości tamtejszych rządów, wywiad sowiecki zmierzający do destabilizacji Polski) podejmowano stosunkowo mało skuteczne represje, dotkliwe przede wszystkim dla zwykłych obywateli, często wcale nie popierających ekstremistów. Fatalnym doradcą był zapewne polski triumfalizm, wypływający z poczucia pokonania w walce zbrojnej zwolenników niepodległej Ukrainy i chęci ukarania, upokorzenia pokonanych. A przecież historia przedrozbiorowej Rzeczypospolitej jasno wskazywała, że polonizacja różnych grup etnicznych najszybciej przebiegała tam, gdzie odbywała się dobrowolnie i wiązała się z nabywaniem korzyści i przywilejów. Skandalicznym błędem było likwidowanie szkół z ukraińskim językiem nauczania (ważniejsze jest jakie treści propaguje szkoła, a nie w jakim języku to czyni!). Z blisko 3 tysięcy szkół przejętych po czasach Austro-Węgier pozostało zaledwie kilkaset, co pogłębiało poczucie dyskryminacji, zamiast umożliwiać swobodny dostęp młodzieży ukraińskiej do kultury polskiej i europejskiej. Jeszcze gorsze efekty przynosiły działania władz, nazwane „polityką wzmacniania polszczyzny". Zmuszanie wyznawców prawosławia do konwersji na katolicyzm, zniszczenie ponad 130 cerkwi, to jedna z najbardziej wstydliwych kart dziejów II RP. Zgubne wręcz rezultaty przyniosła także przeprowadzona w roku 1930 masowa akcja policji i wojska, określana jako pacyfikacja Małopolski Wschodniej. W trzech województwach (lwowskie, stanisławowskie, tarnopolskie) przeprowadzono w odpowiedzi na nasilenie się działalności terrorystycznej OUN przeszukania i zatrzymania podejrzanych w 450 wsiach. Aresztowano ponad 1700 osób, z których około 600 ukarano niewielkimi wyrokami za nielegalne posiadanie broni i materiałów wybuchowych. W wyniku rewizji i aresztowań osłabiono wprawdzie lokalne ogniwa siatki spiskowców, jednak towarzyszące akcji pobicia, rekwizycje i celowe dewastacje skutecznie zantagonizowały wobec państwa polskiego tysiące jego obywateli narodowości ukraińskiej. Zasada zbiorowej odpowiedzialności z reguły przynosi skutki odwrotne, niż zamierzone. Natomiast ukraińscy terroryści związani z najbardziej skrajnym, faszyzującym nurtem radykalizmu narodowego, traktowani byli – dla odmiany – z zadziwiającym umiarkowaniem. W wyniku zabójstwa ministra Bronisława Pierackiego przez terrorystę z OUN (Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów) powstało „Miejsce Odosobnienia w Berezie Kartuskiej", jak eufemistycznie określano obóz karny dla więźniów politycznych (głównie polskich narodowych radykałów, komunistów i ukraińskich terrorystów). Czasowe osadzenie w Berezie (nie był wymagany

Sowiecka Ukraina – propaganda i prawda (okres Wielkiego Głodu).

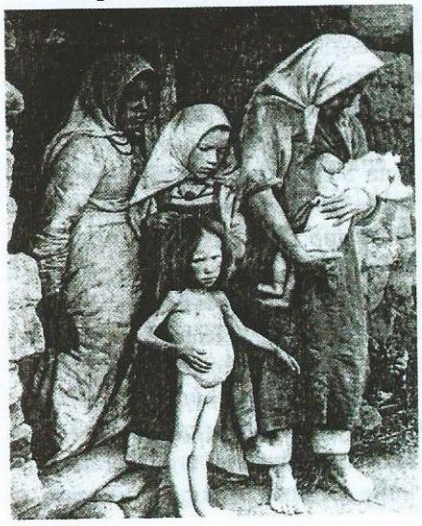

prawomocny wyrok, kara mogła być nakładana w drodze administracyjnej) było karą bardzo dolegliwą, gdyż warunki sanitarne i sposób traktowania osadzonych urągały elementarnym zasadom przyzwoitości. Jednak młodzi, sprawni fizycznie ludzie, a to oni głównie angażowali się w działalność w OUN, mogli bez większego uszczerbku dla zdrowia przetrwać trzymiesięczny „karny turnus". W efekcie spiskowcy raczej umacniali się w swoich przekonaniach, a nawet radykalizowali je, niż byli skłonni zaniechać zabronionej prawem działalności. Wobec szefa ruchu, Stepana Bandery, skazanego w roku 1936 na karę śmierci za organizację zamachu na Pierackiego, zastosowano prawo łaski. Zamiast ponieść zasłużoną karę, przywódca ekstremistów ukraińskich doczekał klęski II RP i został zwolniony przez straż więzienną we wrześniu 1939 roku, gdyż pozostając w celi mógł ponieść śmierć podczas bombardowań... A przecież nie trzeba geniuszu, by zrozumieć, że skuteczna walka z terroryzmem wymaga z jednej strony bezwzględnego eliminowania najbardziej radykalnych i zdeterminowanych jednostek, z drugiej – pozyskiwania przychylności tych grup społecznych, które dla terrorystów stanową „środowisko naturalne" i nagradzania za lojalność oraz poszanowanie prawa.

Przeciw swoim

Cechą szczególną ideologii OUN wypracowaną pod wpływem Stepana Bandery, było przekonanie, że porażka w wojnie z Polską w latach 1918-1919 wynikała ze zbytniej łagodności środków i sposobów walki. Jednym z filarów teorii i praktyki ukraińskiego terroryzmu w II RP, oprócz przekonania o konieczności fizycznego usunięcia Lachów ze spornych terytoriów, było mordowanie tych rodaków, którzy pragnęli pokojowej koegzystencji i współpracy z Polakami. Tym samym dążono do zastraszenia „elementów chwiejnych", czyli milionów zwyczajnych ludzi, chcących żyć w spokoju i z dala od polityki. O stopniu szowinistycznego szaleństwa OUN świadczą fakty: w 63 akcjach terrorystycznych zamordowanych zostało m.in. 36 Ukraińców, 25 Polaków i 1 Rosjanin. Wśród Ukraińców, którzy ponieśli śmierć z rąk rodaków w imię Samostijnej Ukrainy byli m.in. poeta Sydir Twerdochlib oraz nauczyciel, dyrektor gimnazjum ukraińskiego we Lwowie, Iwan Babij.

A działo się to w czasach, gdy ogromna większość narodu ukraińskiego pozostawała pod okrutnymi rządami Sowietów, a sam tylko Wełykyj Hołodomor (Wielki Głód, klęska spowodowana rozmyślną polityką gospodarczą komunistów w latach 1932-33) przyniósł około 6 milionów ofiar śmiertelnych! W obliczu inwigilacji społeczeństwa przez tajne służby sowieckie konspiracja ukraińska, taka jak w II RP, nie miała szans. Na zewnątrz jednak ZSRS propagował zupełnie inny obraz Sowieckiej Ukrainy, republiki zapewniającej – w przeciwieństwie do „pańskiej Polski" – wszelkie swobody językowe i kulturalne, prowadzącej nowoczesną gospodarkę rolną i zapewniającą mieszkańcom awans społeczny oraz cywilizacyjny...

Rok 1939 przyniósł kres II RP. Klęskę znienawidzonej Polski ukraińscy nacjonaliści wykorzystali w maksymalnym stopniu, w praktyce realizując swoje postulaty. Najczarniejszej epoce w stosunkach polsko-ukraińskich i jej przerażającym echom w czasach współczesnych poświęcona będzie następna, ostatnia część opracowania.

Literatura, wykorzystane cytaty:
1. Wł. A. Serczyk, „Historia Ukrainy", Wrocław-Warszawa 1979
2. M. Dunin-Kozicka, „Burza od Wschodu", Warszawa 1919
3. M. Kozłowski, „Między Sanem a Zbruczem", Kraków 1990
4. R. Potocki, „Polityka państwa polskiego wobec zagadnienia ukraińskiego w latach 1930-1939", Lublin 2003

Piotr Galik
Historyk, pisarz, erudyta. Wieloletni współpracownik i przyjaciel „Odkrywcy". Konsultant z dziedziny wojskowości. Kolekcjoner-falerysta.

REKLAMA

Oddziały Włoskiej Republiki Socjalnej w walce na froncie wschodnim (1943-45)

Włoska Misja Wojskowa w Berlinie

TEKST: LESZEK MOLENDOWSKI
ZDJĘCIA: ZB. AUTORA, KOLEKCJA OSKARA MYSZORA, BUNDESARCHIV FREIBURG

Podpisanie 3 września 1943 r. aktu kapitulacji Włoch, który wszedł w życie 5 dni później zastało setki tysięcy włoskich żołnierzy poza granicami ich ojczyzny. Najwięcej oddziałów włoskich stacjonowało na Bałkanach, w Grecji, na Krecie, na wyspach Morza Egejskiego, we Francji, Rumunii, w Rzeszy, w Związku Radzieckim oraz na Dalekim Wschodzie – w Japonii i Indochinach, gdzie włoskie okręty podwodne działały wraz z niemieckimi U-Bootami. Większość z tych oddziałów została internowana przez Niemców i umieszczona w obozach. Część żołnierzy, w obliczu nowej sytuacji, nie godząc się z brutalnym traktowaniem ich przez sojusznika, uciekała przed internowaniem do partyzantów. We Włoszech niektóre formacje po prostu rozwiązały się, a jej żołnierze ruszyli pieszo do domów. Bywało też tak, że całe jednostki zgłaszały swą chęć do podjęcia dalszej walki u boku Wehrmachtu. Godne uwagi jest to, że w niemieckim przemyśle zbrojeniowym oraz w rolnictwie pracowało ok. 170 tys. włoskich robotników. Całe kompanie, bataliony pod włoskim dowództwem i niemal w niezmienionym stanie osobowym podjęły dalszą walkę. Wytworzyła się dość specyficzna i dziwna sytuacja, kiedy to włoscy żołnierze, we włoskich mundurach i pod włoskim dowództwem, walczyli dalej po stronie, jakby nie było, dawnego sojusznika nie mając władzy zwierzchniej. Dodatkowo składali przysięgę na wierność Adolfowi Hitlerowi. Trwało to do momentu utworzenia Włoskiej Republiki Socjalnej 18 IX 1943 roku.

Na całym froncie wschodnim

Ministerstwo Sił Zbrojnych RSI, na którego czele stał marszałek Rodolfo Graziani szybko zdało sobie sprawę, że ogromna liczba żołnierzy włoskich, którzy mogliby zostać wykorzystani w kraju, walczą poza jego granicami. Podjęto więc działania, które miały zmienić ten stan rzeczy. W Berlinie została utworzona Włoska Misja Wojskowa z sześcioma oddziałami ds. współpracy. Dowódcą i szefem misji był gen. Emilio Canevari, a po nim płk. (w czasie urzędowania promowany na generała) Umberto Morera. Podjęto ścisłą współpracę z niemieckim Naczelnym Dowództwem Wehrmachtu, Luftwaffe i Kriegsmarine. OKW przysłało nawet listę jednostek, w których służyli włoscy ochotnicy. Zawierała ona wykaz 101 jednostek tyłowych i frontowych. W prace włoskiej misji zaangażował się 1. Ausländer Amt do spraw włoskich, który koordynował prace od strony niemieckiej. Podjęto rozmowy na temat jurysdykcji nad oddziałami włoskimi wchodzącymi w skład Wehrmachtu oraz nad internowanymi żołnierzami, w celu przeprowadzenia wśród nich akcji werbunkowej. Pojawiły się jednak zgrzyty. O ile Niemcy nie mieli nic przeciwko, aby Włosi w szeregach ich oddziałów nosili nowe umundurowanie, mieli nową flagę, czy nowych oficerów, to nie chcieli się pozbywać ani jednego oddziału włoskiego ze swych szeregów i wysyłać ich do Włoch. Na froncie wschodnim potrzebowano każdego żołnierza. W końcu osiągnięto porozumienie. Pojedyncze grupki żołnierzy z danych oddziałów, lub pojedynczy żołnierze, wrócą do ojczyzny, natomiast większe oddziały miały zostać w miejscu stacjonowania. Oficjalnie każdy z oddziałów podlegał dowództwu wojskowemu RSI, w praktyce jednak zależały od dowództwa niemieckiego – od jednostki, z którą współpracowali po dowództwo dywizji, korpusu itp. Poza tymi ustaleniami Włoska Misja Wojskowa w Berlinie objęła swą jurysdykcją również opiekę nad włoskimi żołnierzami z czterech szkolonych w Rzeszy dywizji nowej armii RSI – ENR (Esercito Nazionale Repubblicana). Do zadań misji należało reprezentowanie również obywateli Włoskiej Republiki Socjalnej mieszkających i pracujących poza granicami Włoch. Sama misja miała bardzo trudne zadanie. Chodziło nie tylko o przezwyciężenie nieufności, a nawet wrogości Niemców wobec nowego, starego sojusznika, który jakby nie było już „zdradził wspólną sprawę", ale również skoordynowanie swych działań na ogromnych połaciach Europy, nadal zajmowanych i okupowanych przez armię oraz administrację niemiecką. Pomimo ogromnych trudności trzeba przyznać, że pracownikom misji udało się stworzyć sprawny, scentralizowany system kontroli i nadzoru nad włoskimi pracownikami, żołnierzami i cywilami poza Republiką Socjalną. Misja działała nieprzerwanie do 10 IV 1945 r., kiedy to członkowie misji ruszyli w drogę powrotną do domu.

W Rzeszy, szczególnie na terenach przy wielkich portach i bazach Kriegsmarine, Niemcom najbardziej zależało na utrzymaniu po swojej stronie włoskich specjalistów od stawiania zasłony dymnej i ochrony przed alianckimi nalotami, tzw. zadymiarzy. W porcie w Wilhelmshaven powstało dowództwo włoskich jednostek tego typu (Comando Truppe Nebbiogene), które składało się z 5 oficerów, podoficerów i 9 żołnierzy. W porcie powstało również Centrum Szkolenia (Centro Addestramento Comando Truppe Nebbiogene) oraz 51. kompania (48 oficerów, 38 podoficerów oraz 171 żołnierzy), jak również III. Batalion (pluton dowodzenia, 38. i 39. kompania) – 12 oficerów, 39 podoficerów i 477 żołnierzy. W bazie morskiej i porcie w Świnoujściu (Swinemünde) stacjonował I. Batalion w składzie plutonu dowodzenia oraz 34. i 35. kompanii: łącznie 19 oficerów, 29 podoficerów i 418 żołnierzy. Dodatkowo stacjonowała tam 40. kompania złożona z 5 oficerów, 23 podoficerów i 204 żołnierzy. W bazie i ośrodku szkoleniowym w Gdyni (Gotenhafen) stacjonował II. Batalion (pluton dowodzenia 29., 32., 33. i 41. kompania) – 30 oficerów, 67 podoficerów i 629 żołnierzy. Otrzymał on niemiecką nazwę 2. Italienische Nebel-Batalion. Był zakwaterowany w barakach przy Schleswiger Weg na Grabówku (obecnie ul. Grabowo). Każda kompania składała się z 5 plutonów i 21 drużyn, z czego każda drużyna obsadzała pojedyncze stanowisko. Dowódcą był mjr. Giuseppe Calafiori. Jednostka zajmowała się tzw. sztucznym zadymianiem portu i miasta w czasie alianckich nalotów. Podobnie zresztą jak inne bataliony rozmieszczone w portach nad Bałtykiem. Zadymianie przeprowadzano przy użyciu specjalnych agregatów dymotwórczych, ustawionych w wybranych punktach portu – na nabrzeżach i ostrogach. Poza tym pomocniczo agregaty umieszczano na kursujących po porcie małych kutrach lub holownikach[1]. Kolejny, IV. Batalion stacjonował w bazie Fedderwardergroden (pluton dowo-

Uroczysty przemarsz jednostki MNR.

dzenia i 28. kompania), który składał się z 10 oficerów, 26 podoficerów oraz 225 żołnierzy. W tej samej bazie stacjonowała 52. kompania autonomiczna w sile: 5 oficerów, 20 podoficerów oraz 177 żołnierzy. V. Batalion stacjonował w Zeit, a 37. kompania autonomiczna stacjonowała w bazie Emden – 8 oficerów, 16 podoficerów i 217 żołnierzy. Oprócz oddziałów stawiaczy zasłony dymnej, włoscy żołnierze nadal obsadzali kilka pułków artylerii nadbrzeżnej w strefie nadbałtyckiej. Były one numerowane od 1-14 i opisywane są jako Rgt. Art. Costiera. Były to baterie nadbrzeżne o numeracji 215-217 i 218-225 wchodzące w skład 9. Pułku Artylerii Nadbrzeżnej, który odpowiadał za obronę portów Gotenhafen (Gdynia), Pillau (Bałtyjsk) i Memel (Kłajpeda). W strefie nadbałtyckiej stacjonowały również 4 bataliony forteczne, batalion piechoty morskiej oraz sformowany z członków „Czarnych Koszul" – 141. Batalion „M" (litera „M" oznaczała elitarne bataliony wierne Mussoliniemu). W Rzeszy, z przeznaczeniem do bycia jednostką kadrową dla jednostek włoskich na froncie wschodnim, sformowano Brygadę Uzupełnień w sile: 77 oficerów, 223 podoficerów i 1270 żołnierzy. Składała się z kompanii dowodzenia, 4. kompanii piechoty, kompanii łączności, sekcji zdrowia oraz kompanii ciężkiej broni.

Na Węgrzech, z internowanych we wrześniu 1943 r. przez oddziały węgierskie włoskich jeńców, Niemcy sformowali kilka grup artylerii, a kilkuset żołnierzy znalazło się w kilkunastu samodzielnych kompaniach jednostek RSI, służących w jednostkach Wehrmachtu. Ich formowaniem i rekrutacją, z ramienia rządu Republiki Socjalnej, kierował attaché wojskowy w Budapeszcie płk pil. Umberto Nannini, któremu szybko udało się odbudować pozycje Włoch – Włoskiej Republiki Socjalnej – na Węgrzech. Postarał się, przy wsparciu Niemców, o sfinalizowanie umowy zawartej jeszcze przed kapitulacją Włoch Badoglio na 23 nowoczesne zestawy aparatów Gamma-Juhasz (autorstwa węgierskiego konstruktora istvána Juhásza) służące do naprowadzania dział artylerii przeciwlotniczej na cel w powietrzu. Poprzednio rząd Badoglio sabotował zapłatę za ten projekt i w ogóle jego pozyskanie. Teraz ten system stał się bardzo potrzebny dla obrony przeciwlotniczej, ważnej zarówno dla Włochów, jak i Niemców. Płk Nannini żywo interesował się losem żołnierzy włoskich, którzy pozostali na Węgrzech. Wielokrotnie prowadził inspekcje jednostek RSI na podległym sobie terenie oraz jednostek Wehrmachtu i Luftwaffe, w których służyli Włosi. Do takich jednostek należała 573. Dywizjon Flak mjr. Hallenmatta. Włosi stanowili pełną obsadę 810. Sekcji Flak, która bazowała na okrętach rzecznych na Dunaju. Formacja ta, wraz z innymi oddziałami obrony przeciwlotniczej, brała czynny udział w obronie Budapesztu w 1944 i 1945 roku. Jednostki piechoty i różnego rodzaju oddziały RSI niezwiązane z obroną przeciwlotniczą, czy służbą specjalistyczną (kompanie saperów, inżynieryjne), były systematycznie wycofywane do Włoch. Co ciekawe, jeden oddział włoskiej piechoty – 63. kompania garnizonowa – stacjonował w centralnej Polsce, na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Prawdopodobnie do lipca 1943 roku w Warszawie.

W listopadzie 1943 r. do 31. Pułku Pancernego (31. Panzer-Regiment) pod dow. płk. Paula Hermanna Wernera, będącego częścią 5. DPanc (5. Panzerdivision) gen. Karla Deckera, dołączył pełny batalion złożony z włoskich ochotników, który stworzył III. Batalion 31. ppanc. Batalion walczył w składzie pułku, a tym samym i dywizji, do września 1944 r., kiedy to żołnierze włoscy wrócili do kraju[2]. W Wiedniu stacjonował 42. Batalion autonomiczny, który powstał ze stacjonującego przed kapitulacją Włoch, nieopodal lotniska w Wiedniu, 41. Batalionu „M". Na front wschodni, w ramach wsparcia sojusznika w dalszej walce z Armią Czerwoną, Włosi wysłali 834. Szpital Polowy. Oddziałem Włochów dowodził por. Alessandro Guameri. Pod koniec 1944 r. ci żołnierze, którzy przeżyli, uzupełnili Dywizję RSI „Littorio" walczącą we Włoszech. Kiedy w październiku 1944 r. Armia Czerwona wkroczyła na terytorium Prus Wschodnich, w składzie 3. Pułku Dywizji „Brandenburg" walczył włoski batalion „IX settembre" („9 września"). Jednostka ta w styczniu 1945 r. walczyła z Armią Czerwoną m.in. w rejonie Mazur.

Najwięcej żołnierzy włoskich było wykorzystywanych jednak nie w jednostkach frontowych, a w ogromnym systemie obrony przeciwlotniczej w III Rzeszy (w tym i terenów anektowanych w 1939 r. – Pomorza i Wielkopolski) oraz na terytoriach podbitych i okupowanych. Ograniczymy opis tych jednostek do wschodniego teatru działań wojennych. Według najdokładniejszych szacunków niemieckich i włoskich historyków, 120 tys. Włochów służyło w jednostkach obrony przeciwlotniczej, obsłudze naziemnej lotnisk, w batalionach budowlanych oraz wielu innych jednostkach tyłowych. Kiedy front zbliżał się do granic III Rzeszy, wielu z nich trafiło do tworzonych naprędce jednostek bojowych włączanych do niemieckich dywizji frontowych. Brali udział w walkach na całym odcinku frontu wschodniego. Część włoskich ochotników z Wehrmachtu i żołnierzy RSI z likwidowanych lotnisk, baterii przeciwlotniczych oraz jednostek tyłowych, trafiała na poligon w Grafenwhör, do ośrodka szkoleniowego, gdzie stacjonowało dowództwo Brygady Zapasowej wojsk RSI (ENR). Tam oddziały przechodziły szybkie przeszkolenie bojowe. Część obsługi baterii obrony przeciwlotniczych była wysyłana do centrów szkoleniowych w Rerik, Ustce (Stolpmünde) i Elblągu, innych kierowano do takich ośrodków szkoleniowych jak: centrum szkoleniowe pilotów myśliwskich w Holzkirchen i szkoła wojsk pancernych w Bergen w okupowanej Norwegii.

W Szczecinie zostało stworzone, pod dow. mjr. Calafiore (do niedawna dowódcy batalionu w Gdyni) szkoła i centrum przeszkolenia praktycznego dla włoskich ochotników. Szkoła wraz z II. Batalionem podlegała bezpośred-

Włosi w mundurach niemieckich (w tym wypadku Luftwaffe) składają przysięgę na wierność Adolfowi Hitlerowi.

nio gen. Fedi. Na początku 1945 r., kiedy ruszyła ofensywa Armii Czerwonej przez tereny Polski, i ofensywa aliantów na Zachodzie, włoskie bataliony musiały opuścić porty w Memel (Kłajpeda) i Pilau (Bałtijsk) – bezpośrednio zagrożone przez Armię Czerwoną idącą na Królewiec – i kierować się do Gdyni (Gotenhafen). 3. Batalion (kpt. Barattini) w tym czasie opuścił Wilhelmshaven i skapitulował w rejonie Bremy przed wojskami brytyjskimi marsz. Montgomery'ego. Dramatyczny los spotkał 2. Batalion, który został odcięty w Gdyni i walczył jako piechota w obronie miasta. Niektórym żołnierzom udało się dostać na statki ewakuujące cywili – uciekinierów z Prus Wschodnich i Pomorza – z portu. Podobny los spotkał oddziały RSI, które walczyły w obronie Świnoujścia (Swinemünde). I. Batalion stacjonował na wyspie Uznam i obsadzał tamtejsze fortyfikacje w czasie walk, które trwały przez cały kwiecień 1945 roku. Walczyli w obronie wyspy wraz z niemieckimi jednostkami admirała Brinkmanna. Do walczących docierały jednostki włoskie – np. kompanie piechoty morskiej Kriegsmarine – które przedzierały się na zachód z Pomorza Zachodniego. Włosi wraz z resztkami niemieckiego garnizonu wycofali się 3 V 1945 r. z wyspy Uznam niszcząc ceremonialnie przed całym – a raczej resztkami batalionu – flagę RSI.

Na początku 1945 r. włoska ambasada w Berlinie z ambasadorem Anfuso i Włoska Misja Wojskowa gen. Morera przekształciła się w centrum organizacji i kierowania działaniami oddziałów RSI w Rzeszy – również na froncie wschodnim. Starano się także objąć opieką mieszkających, a teraz będących w takiej samej sytuacji jak Niemcy Włochów. Jeszcze 9 lutego z Berlina wyjechały dwa pociągi z Włochami, pracownikami administracji RSI oraz cywilami – kobietami, dziećmi i starszymi osobami. Udały się na południe Niemiec. 10 kwietnia opuściła miasto Włoska Misja Wojskowa oraz ambasador Włoch. Podróż przebiegała trasą: Berlin-Norymberga-Monaco-Zossen-Saint Gilgen-Innsbruck. Nie było możliwe dotarcie bezpośrednio do Włoch, ponieważ żołnierze francuscy zatrzymali pociągi w Saint Anton. Wszystkich z transportu zawieziono do obozu Kirchberg-Bregenz 7 V 1945 r. nad Jeziorem Bodeńskim. W oblężonej stolicy upadającej III Rzeszy nadal znajdowały się i pracowały włoskie bataliony budowlane, które przygotowywały miasto do obrony przed Armią Czerwoną. Ci, którzy nie zdążyli opuścić miasta, wzięli udział w beznadziejnej obronie. Niestety, udokumentowano niewiele przykładów zorganizowanych walk żołnierzy włoskich.

Włoscy marynarze w Rumunii

Od 20 V 1943 r. zarówno resztki włoskiej 8. Armii, jak i 101. Flotylli MAS, która od dwóch lat służyła na Morzu Czarnym, były metodycznie wycofywane do ojczyzny. Niektóre jednostki łodzi MAS pozostawały nadal w akcji. Po kapitulacji Włoch 8 IX 1943 r. załogi i personel opowiedział się za dalszą walką po stronie Niemiec. Jednak w czasie ogłoszenia kapitulacji ich kraju cały sprzęt został zajęty przez wojska rumuńskie i oddany dopiero po kilku tygodniach. Wkrótce dołączyli do sił Marynarki Wojennej (Marina Nazionale Repubblicana) powstałego pod „patronatem" III Rzeszy państwa włoskiego – Włoskiej Republiki Socjalnej. MNR podlegały również wydzielone formacje na dalszych akwenach, „odziedziczone" po Regia Marina. Po rozwiązaniu „Betasom" (formacji włoskich okrętów podwodnych na Atlantyku) z pozostałych załóg (okręty zostały przejęte przez Niemców) sformowano dwa bataliony fizylierów morskich (fucilieri di marina). Pierwszym był „batalion atlantycki" (Divisione atlantica) w Bordeaux (dotychczas głównej bazie „Betasom"), składający się z 3 kompanii piechoty i 1. baterii artylerii przeciwlotniczej. Druga jednostka (o sile niepełnego batalionu) stacjonowała w... Gdańsku (2 kompanie piechoty). Została sformowana z marynarzy i oficerów marynarki, którzy przebywali wówczas w Gdyni (w okresie II wojny światowej była jednym z głównych ośrodków szkoleniowych Kriegsmarine) lub oczekiwali w Gdańsku na przejęcie nowobudowanych dla Regia Marina U-Bootów typu VII. Duce wysłał do marszałka Iona Antonescu dr. Trandafilo z misją przekazania pozdrowień i podpisania umowy o sojuszu, współpracy między dwoma krajami, wciąż sojusznikami, oraz zwrotu zajętego uzbrojenia oddziałom włoskim, które nadal zamierzały walczyć przeciwko flocie czarnomorskiej. Wszystkie życzenia i prośby nowego rządu włoskiego zostały spełnione przez stronę rumuńską do 30 I 1944 roku. Ustanowiono również przedstawicielstwo dyplomatyczne rządu RSI w Rumunii, a jej ambasadorem w Bukareszcie został dr Armando Odenigo. Wkrótce do stacjonującej nadal sojuszniczej jednostki MAS-ów dołączyli nowi ochotnicy, spośród poprzednio internowanych żołnierzy włoskich. Głównymi ośrodkami szkolenia i formowania jednostek Marynarki Republikańskiej do walki na froncie wschodnim były koszary „Bragadin" w porcie Konstanca. Pod koniec 1943 r. jednostka okrętów CB została przekształcona w Eskadrę Okrętów Podwodnych „Longobardo", pod dow. kpt. mar. Mauro Zingarelliego. Niewielkie oddziały MNR były również rozmieszczone w Grecji (Dodekanez[3] i Kreta) i Albanii. Ochotnicy zgłaszali się głównie z obozów dla internowanych włoskich żołnierzy w Oesti i Curtea de Arges. Co ciekawe, rząd RSI zgodził się płacić nie tylko za utrzymywanie swych żołnierzy na terenie Rumunii, ale nawet internowanych Włochów, którzy opowiadali

Na pokładzie okrętu.

się po stronie rządu marszałka Badoglio i króla, walczących po stronie aliantów. Na początku lutego 1944 r. oficjalnie powstał dywizjon miniaturowych okrętów podwodnych CB pod dow. M.O. Pomarty, a od kwietnia dowództwo przejął ppłk Mauro Zingarelli (został zabity przez partyzantów pod koniec wojny w 1945 r. niedaleko Brescii w miejscowości Santa Eufemia), który pod swoją komendą miał 5 okrętów podwodnych CB, łodzie torpedowe MAS wraz z oddziałami służb i wsparcia. Natychmiast rozpoczęły się działania wspólnie z jednostkami rumuńskiej marynarki wojennej i Kriegsmarine. Jak wynika z oficjalnych dokumentów marynarze, oficerowie z eskadry „Pomarta" zabrali się z entuzjazmem i zapałem do działań. Trudności nadal sprawiały sprawy finansowe. Otóż rząd rumuński do momentu zapłacenia przez rząd RSI zaległych opłat za utrzymanie włoskich żołnierzy zarekwirował wszystkie okręty. Włosi nadal pływali i prowadzili działania bojowe, jednak oficjalnie na wypożyczonym uzbrojeniu – od Rumunów. Operowali z bazy w rumuńskim porcie w Konstancy. Do zadań eskadry należało patrolowanie okolic Sewastopola, szkolenie rumuńskich marynarzy oraz osłanianie ewakuacji wojsk niemieckich i rumuńskich z Sewastopola. 24 VIII 1944 r. Rumunia zmieniła sojusze i przeszła na stronę Związku Radzieckiego. Tego samego dnia niemieckie bombowce zbombardowały Bukareszt. Z portu w Konstancy w porę wyruszył konwój, w skład którego wchodziło kilkanaście okrętów niemieckich, w tym trzy U-Booty oraz 5 włoskich okrętów podwodnych CB. Konwój został przepuszczony przez stronę turecką przez cieśninę Bosfor, ku wściekłości aliantów, i przedostał się na Morze Egejskie. W czasie odwrotu nie udało się zabrać ze sobą łodzi torpedowych, które wpadły w ręce wroga.

W dużo gorszej sytuacji znajdowali się Włosi i Niemcy, którzy nie zdążyli lub nie byli w stanie dotrzeć do miejsca zbiórki konwoju. Podjęte próby holowania okrętów podwodnych przez Dunaj zakończyły się fiaskiem. 25 VIII 1944 r. Włochom udało się ewakuować z portu w Konstancy. Do Eforii wyjechało na 8 ciężarówkach łącznie 72 marynarzy, 9 pracowników cywilnych i 4 kobiety. W pobliżu niemieckiej baterii „Tirpitz" czekało kolejnych 24 ludzi. Konwój zmierzał w stronę granicy bułgarskiej, która nadal była sojusznikiem. Stamtąd przetransportowano Włochów do ojczyzny. Mniej szczęścia miał personel dyplomatyczny i wojskowy, który został internowany w Oesti. Obóz został przejęty przez Rosjan. Nie pomogły oficjalne protesty rządu sojuszniczych Włoch i króla Wiktora Emanuela III. Na przełomie września i października Włochów wywieziono w głąb Rosji. Konsul RSI Armando Odenigo oraz radca Franco Trandafilo zostali przewiezieni do więzienia na Łubiankę do Moskwy. Spędzili tam sześć i pół roku.

Przypisy:

[1] Od 6 IV 1941 r. w Gdyni przy zorganizowanym w X 1940 roku 2. Szkolnym Dywizjonie Broni Podwodnej (2. Unterseeboot-Lehrdivision) powstała sekcja sojuszniczej Marynarki Wojennej Włoch (Regia Marina) tzw. Marigammason. Zadaniem tej sekcji było szkolenie oficerów okrętów podwodnych, działających wspólnie z niemieckimi U-Bootami na Atlantyku. W V 1942 r. rozwiązano ją z powodu zmniejszenia zaangażowania Regia Marina w działania na Atlantyku i przeniesienie przez nią głównego ciężaru walk na Morze Śródziemne. O. Myszor, „Gdyński port w okresie okupacji niemieckiej (wrzesień 1939–marzec 1945), [w:] „Z dziejów kultury Pomorza XVIII-XX wieku", pod red. J. Borzyszkowskiego i L. Molendowskiego, Gdańsk 2010, s. 247- 248

[2] http://www.lexikon-der-wehrmacht.de/Gliederungen/Panzerregimenter/PR31-R.htm (dostęp z dnia 6.02.2013

[3] W Rodos sformowano dwie kompanie piechoty morskiej RSI.

Literatura:

1. N. Arena, „R.S.I. Forze Armata della Repubblica Sociale. La guerra in Italia 1944", Parma 2000
2. P. P. Battistelli, A. Molinari, „Le forze armate della RSI. uomini e imprese dell'ultimo Esercito di Mussolini", bmw 2007
3. P.R. di Colloredo, „Croce di Ghiaccio. C.S.I.R. ed ARM.I.R. in Russia 1941-1943", Genova 2010
4. C. Cucut, „Le forze armate della RSI 1943-1945. Forze di terra", Trento 2005
5. G. Giannoccolo, „I militari italiani nelle formazioni germaniche 1943-1945", UNI-GRAF Edizioni
6. K. Małkowski, „Żołnierze włoscy w Gdyni podczas II wojny światowej", [w:] „Rocznik Gdyński", t.21, 2009
7. L. Molendowski, O. Myszor, „Marynarka wojenna Włoskiej Republiki Socjalnej (1943-1945)", [w:] „Okręty" nr 2 (2) 2011
8. O. Myszor, „Gdyński port w okresie okupacji niemieckiej (wrzesień 1939-marzec 1945)", [w:] „Z dziejów kultury Pomorza XVIII-XX wieku", pod red. J. Borzyszkowskiego i L. Molendowskiego, Gdańsk 2010
9. A. Petacco, „L'Armata scomparsa. L'Avantura degli italiani in Russia", Milano 2010
10. A. Ropelewski, „Z ziemi włoskiej..." [w:] „Dziennik Bałtycki" 19 X 1990, nr 224

Leszek Molendowski

Historyk, zajmuje się dziejami Pomorza Nadwiślańskiego w XIX i XX w. oraz historią wojskowości szczególnie armii włoskiej oraz innych armii państw Osi. Opublikował dwie książki (z historii Pomorza). Obecnie pracuje nad monografią pod roboczym tytułem „Włosi na froncie wschodnim 1941-1945".

REKLAMA

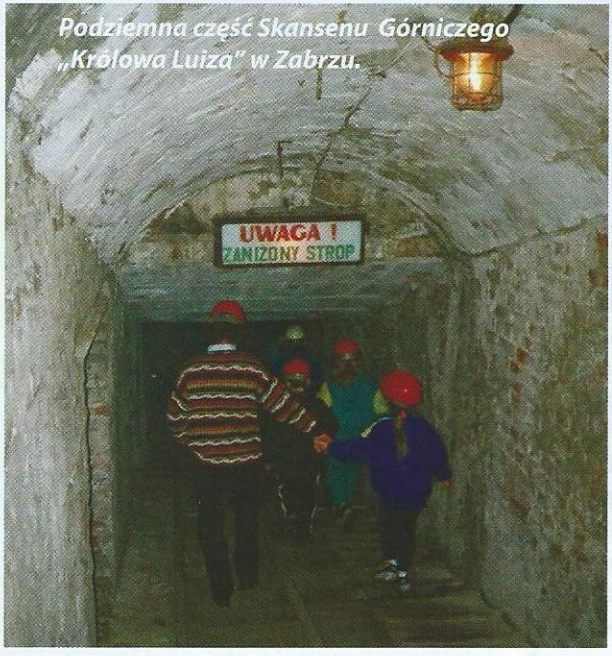

Podziemna część Skansenu Górniczego „Królowa Luiza" w Zabrzu.

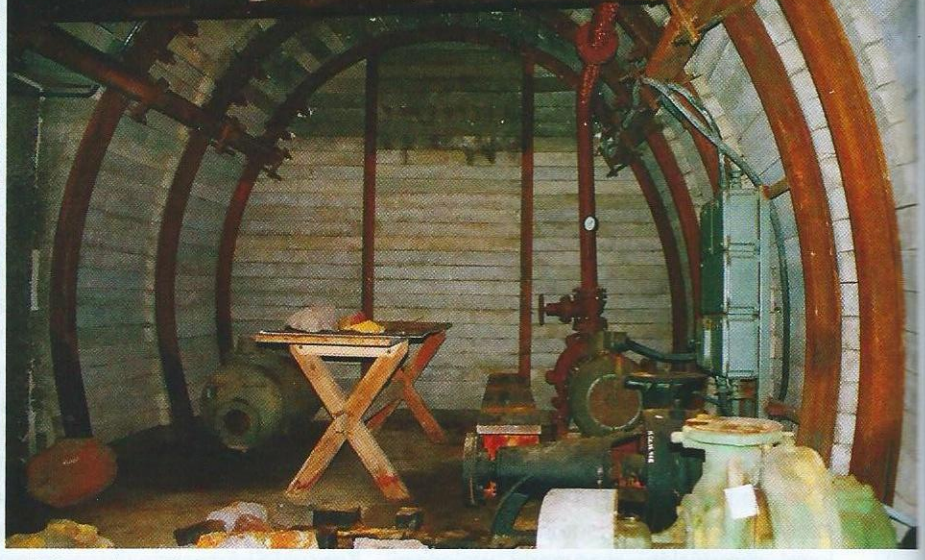

Udające kopalnię sztuczne, muzealne podziemia w zboczach częstochowskiej Jasnej Góry. Fotografia z czasów, gdy podziemia z powodu zapleśnienia i zawilgocenia były wyłączone ze zwiedzania.

Miraże podziemnego muzeum

TEKST I ZDJĘCIA: TOMASZ RZECZYCKI

W licznych przypadkach udostępniania rozmaitych podziemi dla zwiedzających, zadziwiająco często definiowano podziemne trasy jako „muzeum". To nie do końca precyzyjne określenie, a oczywiste pomylenie pojęć generuje rozmaite skutki – czasem nawet zabawne. Czym innym jest muzeum, a czym innym podziemna trasa turystyczna. Owszem, pojęcie „podziemne muzeum" nie jest wyrażeniem wewnętrznie sprzecznym. Ale w niejednym przypadku używanie tego terminu było i jest nieuzasadnione.

Zasadnicza różnica między muzeum a trasą podziemną wynika z istoty obydwu. Muzeum, zgodnie ze słownikową definicją, to instytucja gromadząca zbiory z danej dziedziny kultury, sztuki, nauki, techniki czy historii. Celem istnienia muzeum jest gromadzenie, a następnie udostępnianie kolekcji eksponatów, powiązanych ze sobą tematycznie. Nie ma większego znaczenia merytorycznego, w jakim miejscu ekspozycja będzie prezentowana. Niebagatelne znaczenie mają za to warunki przechowywania, jak np. stała temperatura, określona wilgotność powietrza, które wpływają na kondycję zbiorów. Siedzibę muzeum można przenieść ze starego gmachu do nowego. Co innego trasa podziemna. Jej istotą jest tylko i wyłącznie to, że prowadzi ona podziemiami. Mniejsze znaczenie ma obecność eksponatów na trasie lub brak takowych. Mogą być nawet same gołe ściany, a trasa i tak może zachować swój urok i być atrakcyjną dla zwiedzających. Najlepszym tego przykładem są podziemia Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego, czy też sztolnie walimskie. Ogołocone niemal ze wszystkich instalacji, urządzeń lub wyposażenia są atrakcją samą w sobie. Nie ma konieczności zawieszania map i reprodukcji fotografii, ich brak nie spowoduje, że trasa podziemna utraci swoją wartość historyczną. Naturalnie wszelkie elementy scenograficzne, jak manekiny więźniów odzianych w pasiaki, żołnierzy w mundurach różnych formacji, zardzewiałe karabiny, halabardy, czy tabliczki informacyjne umieszczane w podziemnych trasach turystycznych, pobudzają wyobraźnię zwiedzających i zwiększają atrakcyjność trasy, jednak bez nich podziemia i tak przyciągają rzesze ciekawskich. W odróżnieniu od muzeum trasy podziemnej nie da się spakować, wywieźć i przenieść w inne miejsce – choć mniej więcej tego rodzaju próbę podjęto w przeszłości w Częstochowie.

Improwizacja w nazwie

Druga sprawa. Muzeum można zwiedzać raczej w dowolnym kierunku, samemu lub pod opieką przewodnika. W muzeum można przebywać nawet pół dnia podziwiając jeden, szczególnie nas interesujący eksponat. Można wreszcie odwiedzić tylko jeden dział muzealny, a inne pominąć. Wybór należy do nas. Nie zawsze też opowieść przewodnika oprowadzającego po muzeum jest nam niezbędna. Można samemu odczytywać plansze czy podpisy przy eksponatach. W przypadku podziemnych tras turystycznych założenia są zgoła inne. Tam, najczęściej, grupa turystów przechodzi trasę zwiedzania pod okiem opiekuna, w wyznaczonym kierunku i w określonym czasie, a opowieść przewodnika jest kluczowa, wręcz fundamentalna, buduje ona bowiem napięcie i stymuluje emocje grupy. Owszem, niektóre trasy podziemne można zwiedzać samodzielnie, jak choćby Jaskinię Mroźną w Kościelisku, czy trasę tysiąclecia w Kłodzku – tam jednak zastosowano takie rozwiązanie korzystając z tego, że są to trasy proste, prawie bez bocznych odnóg, w których trudno się zgubić czy wejść w niebezpieczne miejsce. Jest jeszcze jedno ważkie kryterium – kryterium prawdy historycznej. Muzeum ma za zadanie ukazywać wycinek wiedzy na dany temat, jak najbardziej sprawdzony i przebadany. Trudno sobie np. wyobrazić Muzeum Polskich Wypraw Księżycowych albo Muzeum Metra Wrocławskiego, gdyż ani Polacy nie byli na Księżycu,

ani pod Wrocławiem nie kursowała nigdy pasażerska kolej podziemna. Zdarza się, że w niektórych podziemnych trasach turystycznych przewodnicy oprowadzający turystów serwują im legendy, czasami wręcz bajki dla dorosłych. Robią to, aby uatrakcyjnić zwiedzanie, stworzyć swoisty klimat, sprawić miłe wrażenie, jednym słowem spowodować, by turyści zapamiętali trasę jako miejsce, w którym dobrze się bawili i mile spędzili czas. Niekiedy wynika to z prozy życia. Utrzymanie i zagospodarowanie tras turystycznych, to dla ich gospodarzy niemały wysiłek finansowy. Chcąc podołać tym wyzwaniom, trzeba wpływać na frekwencję. Jedną z metod jest budowanie specyficznej atmosfery miejsca, m.in. poprzez legendy, mity, chyba bardziej trafiające do zwiedzających niż prawdziwe historie danego obiektu podziemnego, które przeczytać można w przewodnikach. Czy tak powinno być, w kontekście choćby prawdy historycznej, to temat na odrębną dyskusję... Jest jak jest. Dlatego na przykład turyści odwiedzający leżącą koło wsi Czajowice Jaskinię Łokietka usłyszą opowieść o fikcyjnym pobycie króla w tej jaskini, dowiedzą się w którym miejscu król miał sypialnię, a gdzie rzekomo gotował sobie posiłki. Inny przykład – podziemia Góry Parkowej w Kamiennej Górze na Dolnym Śląsku. Wedle dotychczasowych ustaleń ostrożnie mogę stwierdzić, że był to nieukończony schron lotniczy, a nie żadna podziemna fabryka. Natomiast gospodarze trasy podziemnej lansują ją jako Projekt Arado, z podtytułem: zaginione laboratorium Hitlera. To naturalnie legenda wymyślona na potrzeby turystów, którzy szukają głównie rozrywki. W podziemnych trasach turystycznych rozrywka dosyć często stawiana jest na pierwszym miejscu. Eksponaty, w wielu przypadkach, dobierane są dowolnie. Gdy w kwietniu 2000 r. w Kowarach udostępniano zwiedzającym zespół wyrobisk sztolni poszukiwawczej nr 9 i 9a, do wystroju użyto m.in. wagoników, narzędzi i obudowy metalowej typu Walenty przywiezione z kopalni węgla kamiennego w Nowej Rudzie, urządzenia górnicze dostarczono z kopalni anhydrytu w Iwinach, inne z kopalni antracytu w Wałbrzychu. Wśród prezentowanych eksponatów znalazł się nawet wycięty fragment szaty naciekowej Jaskini na Połomie w Górach Kaczawskich. Turystom opowiadano, że zwiedzają dawną kopalnię uranu i przypuszczalnie wielu z nich wychodziło z przekonaniem, że na własne oczy zobaczyli wyrobiska, w których pozyskiwano promieniotwórczą rudę. A przecież w zespole sztolni 9 i 9a nigdy nie prowadzono wydobycia, a wyrobiska te wykorzystywano jako skład materiałów wybuchowych. Tego rodzaju sposób postępowania w przypadku placówek muzealnych byłby niedopuszczalny. Tutaj – w podziemnych trasach turystycznych – jest stosowany bez skrępowania. Cel uświęca środki.

Skąd wzięło się niepisane przekonanie, że udostępniany do zwiedzania obiekt podziemny powinien nosić dumną nazwę „muzeum"? Czy dlatego, że tak nazwana placówka staje się bardziej wiarygodna? Przypuszczam, że w niektórych przypadkach mogło tak być. Jest jeszcze inne wyjaśnienie. Punktem odniesienia dla twórców tras podziemnych mogła być kopalnia soli kamiennej w Wieliczce. W jakiś czas po I wojnie światowej urządzono tam, w komorze „Drozdowice", ekspozycję paramuzealną zawierającą maszyny, urządzenia górnicze, a także bryły solne. Ekspozycja istniała do połowy XX wieku, kiedy to za sprawą Franciszka Krzeczowskiego i Alfonsa Długosza zgromadzono różne archaiczne maszyny i sprzęty wydobyte z zapomnianych zakamarków kopalni, z myślą o urządzeniu podziemnego muzeum. Pomysł został ogłoszony podczas akademii barbórkowej w grudniu 1949 r., a 29 III 1950 r. zawiązano Komitet Budowy Muzeum. Na ten cel wyznaczono leżącą na głębokości 122 m komorę „Sienkiewicz", zwaną później komorą „Warszawa". Komora ta znajduje się pod sam koniec podziemnej trasy turystycznej. Zgromadzono tutaj nie tylko eksponaty z Wieliczki, lecz także z kopalni soli w Bochni i ze Związkowego Muzeum Górniczego w Sosnowcu. Podziemne muzeum otwarto 2 XII 1951 r., a jego żywot w tym miejscu był krótki. Już w 1952 r. dyrekcja wielickiej kopalni zamknęła ekspozycję i postanowiła przenieść ją na inny poziom. Na pomieszczenia wystawowe przeznaczono zespół komór: „Russeger", „Maria-Teresa", „Kraj", „Saurau" i „Modena", znajdujący się na trzecim poziomie kopalni, na głębokości 135 m. Wstępne prace adaptacyjne odbyły się tam w latach 1952-1953. W muzeum stworzono trzy główne działy tematyczne, które przedstawiały historię kopalni, dawną technikę górniczą i rozwój transportu kopalnianego, a także geologię złóż soli kamiennej.

Skansen pod gołym stropem

W latach 1958-1966 ekspozycję muzealną rozbudowano, przeznaczając na ten cel łącznie 14 komór poeksploatacyjnych na trzecim poziomie kopalni. W trakcie trwania prac decyzją Ministra Kultury i Sztuki podjętą 23 III 1961 r. utworzone zostało Muzeum Żup Krakowskich w Wieliczce, podległe Zarządowi Muzeów i Ochrony Zabytków. Było to formalnie pierwsze w Polsce pod-

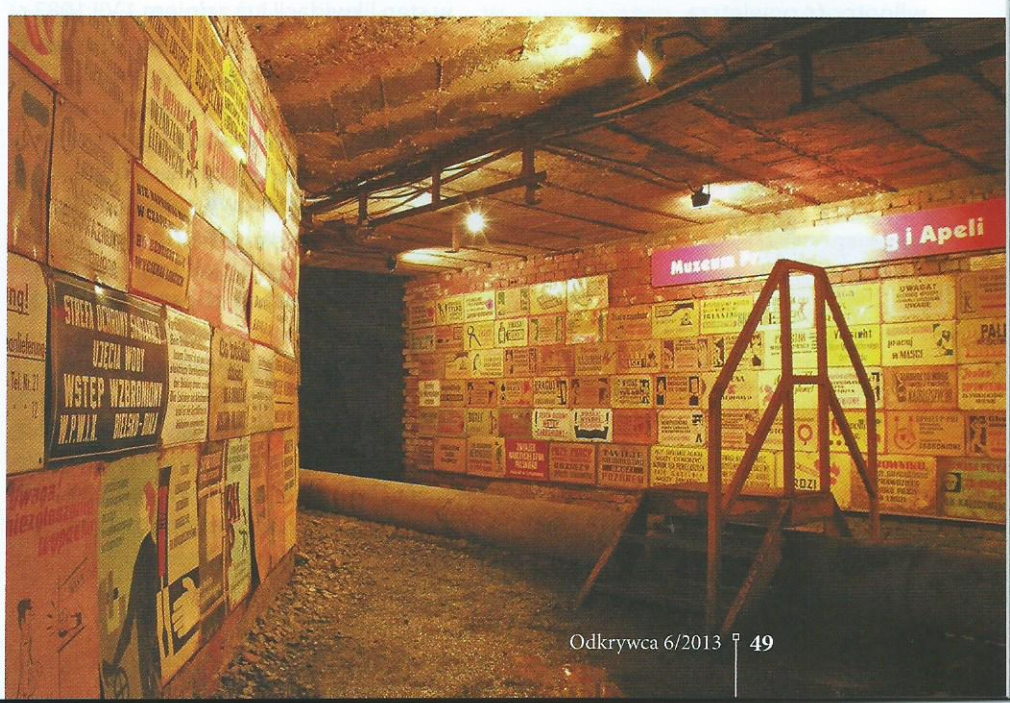

Wystawa tabliczek w złotostockiej kopalni nazwana dowcipnie: Muzeum Przestróg, Uwag i Apeli.

ziemne muzeum, powstałe z przekształcenia dotychczasowego Oddziału Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu w Wieliczce. Muzeum obejmowało wydzieloną część komór na trzecim poziomie kopalni. Uroczystość otwarcia ekspozycji dla zwiedzających odbyła się 30 IX 1966 roku. W następnych latach rozmaicie układały się stosunki podziemnego Muzeum z dyrekcją kopalni, co wiązało się niekiedy z uciążliwościami dla zwiedzających. Przez wiele lat obowiązywały osobne bilety wstępu na trasę podziemną i do Muzeum, różne godziny otwarcia, a nawet odrębne zasady przyznawania biletów ulgowych. Przykładowo, w 1972 r. podziemne Muzeum w Wieliczce sprzedawało żołnierzom szeregowym bilety w wysokości 1/3 ceny biletu normalnego, podczas gdy na trasie turystycznej nie było zniżek dla żołnierzy. W środy było dostępne za darmo, a trasa była płatna codziennie. Wielicka kopalnia cieszyła się przez dziesięciolecia gigantyczną popularnością, która była zasługą darmowej reklamy i propagandy w prasie, radiu i podręcznikach szkolnych. W ten sposób fakt istnienia w kopalni podziemnego Muzeum został rozpropagowany i utrwalił się w świadomości społecznej. Gdy więc w jakiejś miejscowości realizowano pomysł udostępnienia podziemi – w naturalny sposób nasuwała się myśl, aby wykorzystać nazwę „podziemne muzeum". Zapomniano przy tym, że o ile kopalnie soli ze swej istoty posiadają suche wyrobiska, nadające się do celów wystawienniczych, to praktycznie we wszystkich innych podziemiach wrogiem numer jeden jest wszechobecna woda i ogromna wilgotność powietrza.

Inny ciekawy przykład. W Krzemionkach koło Ostrowca Świętokrzyskiego, gdzie istniały wyrobiska po neolitycznej kopalni krzemienia, nie próbowano na siłę tworzyć podziemnego muzeum. W latach 1929-1939, 1945-1952 i 1958-1978 gospodarzem tego miejsca było warszawskie Państwowe Muzeum Archeologiczne. Następnie w 1979 r. opiekę nad krzemionkowską kopalnią przejęło Muzeum Regionalne w Ostrowcu Świętokrzyskim, przemianowane później na Muzeum Historyczno-Archeologiczne. Tutaj skromną ekspozycję prezentowano w różnych barakach i budynkach na powierzchni, natomiast zroby górnicze traktowano jako wyrobiska. Mało tego, w latach 1983-1985 oraz 1989-1990 wydrążono zupełnie współczesnymi metodami wygodne odcinki trasy podziemnej, dając możliwość wglądu w ciasne, niskie oryginalne wyrobiska. Jak widać, w Krzemionkach uniknięto lokowania wystaw muzealnych pod ziemią. Niezbyt szczęśliwe rozwiązanie przyjęto w Częstochowie. W grudniu 1977 r. na akademii barbórkowej ogłoszony został pomysł umieszczenia Muzeum Górnictwa i Hutnictwa w podziemiach jednej z okolicznych kopalń. Najpierw chciano urządzić je w Kopalni Rud Żelaza „Dębowiec", później zdecydowano się na kopalnię „Szczekaczka" w Brzezinach koło Częstochowy. Było to chybione przedsięwzięcie ze względu na zbyt duże opłaty ponoszone z tytułu wypompowywania zasolonych wód. Dlatego też Kopalnia Zabytkowa Rud Żelaza im. Stanisława Staszica „Szczekaczka", którą udostępniono turystom 3 XII 1980 r., została postawiona w stan likwidacji już z dniem 1 VII 1983 r., a ostatnia grupa turystów zwiedziła ją w grudniu 1983 roku. Przed zalaniem kopalni eksponaty zdemontowano i wywieziono do Częstochowy, gdzie ustawiono je w sztucznych, płytkich „wyrobiskach" wykopanych w zboczu Jasnej Góry

Historyczne już zdjęcie z czasów, gdy podziemna trasa turystyczna w Kopalni Doświadczalnej Węgla Kamiennego „M-300" w Zabrzu traktowana była jako skansen.

i przykrytych płytą żelbetową. Część pomieszczeń miała imitować wyrobiska kopalniane, za sprawą metalowej obudowy, wózków górniczych czy torowisk. Częstochowska niby-kopalnia została podporządkowana Muzeum Częstochowskiemu, a pierwsi turyści mogli ją obejrzeć 3 XII 1989 roku. Niestety, znowu była to nietrafiona inwestycja. Ze względu na złą izolację wyrobiska zaczęły wilgotnieć i pleśnieć, więc zamknięto je w roku 1995. Po remoncie udostępniono je ponownie 15 V 2008 roku. Dziś można tylko westchnąć – szkoda, że zabrakło sprawnego zarządcy kopalni „Szczekaczka". Bo zamiast autentycznych podziemi, obecnie mamy w Częstochowie ich namiastkę w postaci wykonanego metodą odkrywkową podziemnego muzeum, którego wyposażenie, moim zdaniem, równie dobrze i mniejszym kosztem można by pokazywać na powierzchni, w zwykłych salach wystawowych.

Zupełnie nieadekwatną do rzeczywistości nazwę nadano dwu obiektom podziemnym w Zabrzu. Istniejące od 1981 r. zabrzańskie Muzeum Górnictwa Węglowego stało się wkrótce po powołaniu gospodarzem części wyrobisk Kopalni Doświadczalnej Węgla Kamiennego „M-300", której właścicielem był wtedy Centralny Ośrodek Projektowo-Konstrukcyjny Maszyn Górniczych „KOMAG" w Gliwicach. Już 2 XII 1982 r. udostępniono do zwiedzania pierwszą część wyrobisk na poziomie 320, pod nazwą Skansen Górniczy „Guido". Tymczasem słowo „skansen" oznacza ekspozycję etnograficzną na powierzchni ziemi, na wolnym powietrzu, a nie pod ziemią. Skansen Górniczy „Guido" dostępny był dla turystów pod taką właśnie nazwą do listopada 1999 roku. Potem, po wielu perypetiach i zmaganiach o uratowanie zagrożonej likwidacją kopalni, wyrobiska ponownie udostępniono turystom 16 VI 2007 r., ale już pod niebudzącą kontrowersji nazwą Zabytkowa Kopalnia Węgla Kamiennego „Guido". W 1993 r. utworzony został w Zabrzu Skansen Górniczy „Królowa Luiza", jako oddział terenowy Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu. Podobnie jak w przypadku „Guido", także i tutaj nazwa była nie całkiem właściwa, bo główną atrakcją skansenu był od 1994 r. zespół płytkich wyrobisk podziemnych, wykorzystywanych wcześniej do celów szkoleniowych w rejo-

nie zasypanego szybu „Wilhelmina" przy ul. Sienkiewicza. Natomiast typowo naziemną, a więc prawdziwie skansenowską część Skansenu Górniczego „Królowa Luiza" stanowiły zabudowania przy ul. Wolności. Od września 2010 r. podziemia skansenu są niedostępne. Obecnie realizowane jest wielkie przedsięwzięcie mające na celu połączyć je z Główną Kluczową Sztolnią Dziedziczną.

MRU. To nie jest wejście na wystawę stałą Muzeum Fortyfikacji i Nietoperzy w Pniewie.

Jedyni stali mieszkańcy międzyrzeckich podziemi.

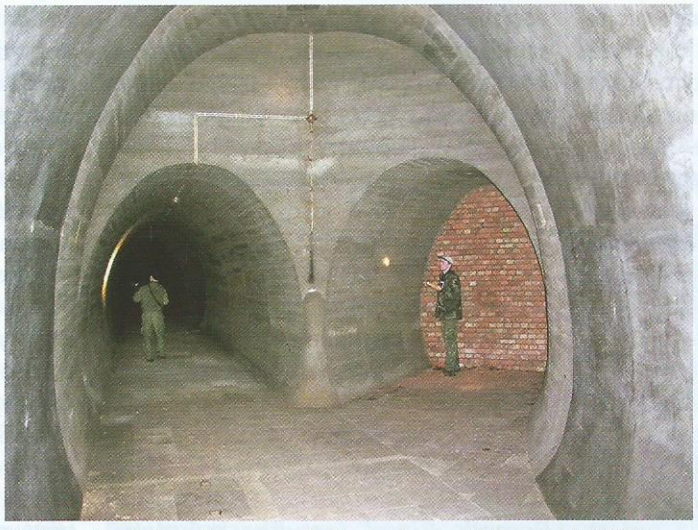

Jeden z lepiej zachowanych dworców podziemnych MRU.

Zwiedzanie gratis?

Trochę zamieszania związanego z posługiwaniem się szyldem „muzeum" doświadczyła w przeszłości Kopalnia Zabytkowa Rud Srebronośnych w Tarnowskich Górach, od kilku lat funkcjonująca pod nazwą Zabytkowej Kopalni Srebra. Gdy 31 I 1954 r. odbyło się posiedzenie założycielskie Stowarzyszenia Miłośników Historii i Zabytków Ziemi Tarnogórskiej, uczestnicy spotkania podjęli uchwałę o jak najrychlejszym zaadaptowaniu kopalni na muzeum. Nikt wtedy nie przypuszczał, że potrwa to ponad 20 lat. Inicjatywę poparły władze ówczesnego woj. stalinogrodzkiego. Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Stalinogrodzie podjęło 8 II 1955 r. uchwałę, w sprawie utworzenia Kopalni Zabytkowo-Pokazowej i Muzeum Górniczo-Geologicznego w Tarnowskich Górach. Roboty przy udostępnieniu podziemi rozpoczęto w maju 1959 r. W tym czasie wierzono w możliwość stworzenia pod ziemią ekspozycji muzealnej, o czym świadczy szereg opisów zamieszczanych w latach 1959-1960 w różnych czasopismach. W tarnogórskiej kopalni miało więc powstać podziemne muzeum, prezentujące narzędzia i sprzęt górniczy od czasów najdawniejszych, aż po PRL. Jedną z komór miała zdobić podświetlana, obrotowa platforma z wielką bryłą kruszcu, inną pomnik zaginionych gwarków. W nadszybiu projektowano umieszczenie pracowni konserwacji drewna, zapewne wydobywanego podczas penetracji kolejnych zakamarków podziemi tarnogórskich. Żadna z tych zapowiedzi nie została spełniona. Tarnogórską kopalnię udostępniono zwiedzającym w 1976 r., początkowo pod nazwą Miejski Ośrodek Kultury – Kopalnia Zabytkowa. Ale rozporządzeniem Rady Ministrów z 16 VIII 1994 r., zaliczającym obiekt w poczet zakładów górniczych, nadano jej nazwę Kopalnia Zabytkowa-Muzeum. Zapisy rozporządzenia nadawały nieco inny status tym kopalniom, których głównym celem nie było prowadzenie wydobycia, lecz np. obsługa ruchu turystycznego. W ten sposób, z formalnego punktu widzenia, kopalnia zabytkowa w Tarnowskich Górach stała się obiektem muzealnym. Skorzystała na tym już w 1996 r., uzyskując wyróżnienie w konkursie na najważniejsze wydarzenie muzealne roku. Wkrótce jednak pojawiły się problemy. Kierownictwo kopalni nie przewidziało, że posługiwanie się nazwą „muzeum", owszem daje pewne profity, ale też nakłada ustawowe obowiązki. Obowiązująca od 4 II 1997 r. ustawa o muzeach z 21 XI 1996 r. stanowiła w art. 10 ust.2, że każde muzeum w Polsce musi przez jeden dzień w tygodniu być dostępne do bezpłatnego zwiedzania. W tarnogórskiej kopalni zabytkowej niczego takiego nie wprowadzono, ze względów ekonomicznych. Na ten fakt zwróciła uwagę dziennikarka miejscowego tygodnika „Gwarek". Efekt był taki, że w końcu z nazwy kopalni usunięto niezbyt szczęśliwe słowo „muzeum".

Muzealny epizod w odniesieniu do górniczych wyrobisk ma za sobą Kopalnia Węgla Kamiennego „Nowa Ruda". W styczniu 1992 r. podjęta została decyzja o postawieniu jej w stan likwidacji. Jednym z punktów ujętych w programie restrukturyzacji i likwidacji kopalni, było utworzenie muzeum górnictwa. Prace w tym kierunku ruszyły głównie za sprawą inż. Czesława Lisa, który forsował pomysł urządzenia muzeum na terenie likwidowanego pola „Piast" noworudzkiej kopalni. Grupa inicjatywna spotkała się w tej sprawie 23 X 1993 r., formułując zaczątki koncepcji muzeum górniczego. Sprawę poparła Rada Miejska, a w 1995 r. powołany został Społeczny Komitet Tworzenia Muzeum Górnictwa przy Fundacji Odnowy Ziemi Noworudzkiej. Wykonano roboty naprawcze i konserwacyjne w zespole wy-

robisk sztolni „Lech" na polu „Piast". Pozostałe wyrobiska pola „Piast" zostały do końca 1995 r. zlikwidowane. Przez następne kilka lat pokazywano turystom ocalały fragment kopalnianych wyrobisk, opowiadając o ciężkiej pracy górników, a kopalnia była filią... Miejskiego Ośrodka Kultury. Mało atrakcyjny, dość siermiężny sposób prezentacji wyrobisk spowodował niewielkie zainteresowanie. Muzealna kopalnia nie przynosiła więc zysków. Zmiany przyniósł dopiero 2002 r., gdy noworudzka trasa podziemna trafiła w prywatne ręce i zupełnie zmieniono koncepcję jej funkcjonowania.

Muzealny schemat myślenia przyświecał też twórcom uruchomionej w 1996 r. podziemnej trasy turystycznej w kopalni arsenu w Złotym Stoku. Na początku stosowano górnolotnie brzmiącą nazwę Podziemne Muzeum Górnictwa i Hutnictwa. Rzeczywiście, w tzw. labiryncie wyrobisk dawnego składu materiałów wybuchowych przy sztolni „Gertruda" ustawiono szklane gablotki z eksponatami i wywieszono zalaminowane reprodukcje starych map górniczych. Bardzo szybko jednak gospodarze kopalni doszli do wniosku, że nie tędy droga. Aby zarobić na utrzymanie kopalni, postanowili uczynić z niej miejsce rozrywki, a nie drętwych prelekcji o historii wydobycia rud arsenu i złota. Sięgnięto więc po sprawdzone metody. Turyści odwiedzający złotostocką kopalnię słyszą zatem legendę o tym, jak to Krzysztof Kolumb sfinansował swą transoceaniczną wyprawą złotem pochodzącym... ze Złotego Stoku, a Napoleon Bonaparte został otruty złotostockim arszenikiem. To są oczywiście legendy, które stosowane wespół z innymi środkami uatrakcyjniającymi trasę podziemną, przyniosły efekt w postaci znacznego wzrostu liczby zwiedzających na przestrzeni minionych kilkunastu lat. Warto odnotować, że w tak rozrywkowym podejściu do trasy podziemnej znaleziono miejsce na ekspozycję paramuzealną, oczywiście z przymrużeniem oka. W sztolni „Gertruda" otwarta została 25 VIII 2000 r. ekspozycja różnego typu tabliczek informacyjnych, głównie z czasów PRL, zatytułowana *Muzeum Przestróg, Uwag i Apeli*. Najpierw tabliczki ułożone zostały w byłej komorze materiałów wybuchowych, później przeniesiono je do

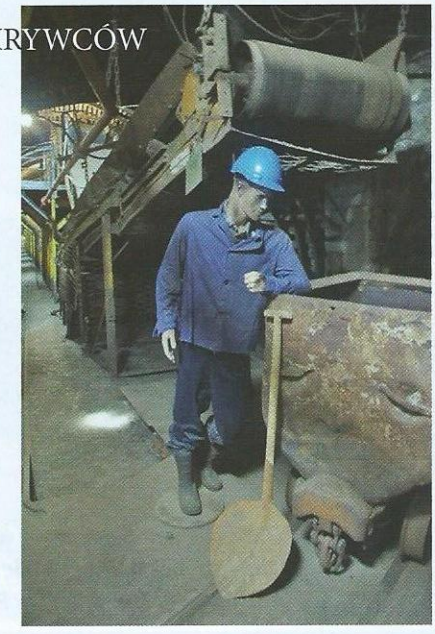

Elementy scenograficzne uatrakcyjniające zwiedzanie Kopalni „Guido".

samej sztolni „Gertruda". W zbiorze znalazły się zarówno wywieszki o banalnej treści, np. „Uwaga schyl głowę", czy „Uwaga! Wykopy, przejście wzbronione", jak i śmieszne, zabawne, czy nostalgiczne typu: „Co zrobiłeś dzisiaj dla obniżki kosztów własnych?". Taki zbiór tabliczek, z których zdecydowana większość nie ma nic wspólnego z górnictwem rud arsenowych, doskonale pasuje do konwencji podziemnej trasy turystycznej, gdzie głównym celem jest rozbawić i zadowolić turystów tak bardzo, by zechcieli wrócić tu kolejny raz.

Pomnik „Riese", fortyfikacje i nietoperze

Myśl o utworzeniu podziemnego muzeum nieobca była autorom różnych koncepcji udostępnienia podziemi Osówki w Górach Sowich. W lipcu 1976 r. sporządzono projekt wstępny Muzeum Martyrologii w Osówce. Nie został on jednak zrealizowany. Trzy i pół roku później, w grudniu 1979 r. powstało opracowanie autorstwa Władysława Magiery pod nazwą „Ośrodek Rekreacyjny i Muzeum Martyrologii. Lochy walimskie – kompleks Osówka. Studium zagospodarowania". Na jednej z sesji Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Wałbrzychu, z 6 VIII 1967 r., o podziemiach walimskich mówiono jako o... pomniku (!), a konkretnie wyliczono je w gronie czterech istniejących na terenie powiatu pomników walki i męczeństwa. O ile w Osówce o pomyśle z muzeum zapomniano, otwierając sztolnie dla zwiedzających, to w Walimiu podziemna trasa turystyczna w latach 2001-2004 funkcjonowała pod nazwą Samorządowa Instytucja Kultury „Muzeum Sztolni Walimskich". Nie trzeba dodawać, że ani w Osówce, ani w Walimiu podziemia nie nadawały się do przerobienia ich na ekspozycje muzealne.

Coś w rodzaju podziemnego muzeum stworzono, od podstaw, pod Rynkiem Głównym w Krakowie. Pod płytą Rynku gotowych do adaptacji piwnicznych podziemi nie było – wykopano je metodą odkrywkową w 2005 r. w ramach prac archeologicznych, a wiosną 2006 r. przykryto żelbetową płytą. Później w podziemiach tych zainscenizowano futurystyczną ekspozycję, pod względem formy nasuwającą skojarzenie np. z wielkimi centrami handlowymi, w której zastosowano rozmaite wynalazki techniki. Właściwie niemal od samego początku podziemia te miały problem z zawilgoceniem, w 2006 r. wstrzymano w nich przejściowo prace adaptacyjne z powodu rozwoju pleśni i grzybów. Podziemia stały się oddziałem Muzeum Historycznego Miasta Krakowa, dostępnym dla zwiedzających od 24 IX 2010 r. Przyjęto tu muzealny sposób udostępniania, tzn. każdy chętny może sobie wędrować, jak chce, nie ma oprowadzania turystów indywidualnych przez przewodników. Ba, nawet raz w tygodniu – we wtorki – wstęp jest bezpłatny, z tym że jak każdego dnia obowiązuje rezerwacja na konkretną godzinę. Obawiam się jednak, że znaczna część turystów zwiedzających krakowskie podziemia wychodzi z nich oszołomiona multimedialną technologią zastosowaną na trasie, a tylko w niewielkim stopniu zapamiętuje jakiekolwiek informacje o przeszłości Krakowa.

Na deser przeznaczam Międzyrzecki Rejon Umocniony. Z muzealnictwem miał on tylko tyle wspólnego, że od IX 1942 r. do X 1944 r. część pomieszczeń w Pętli Boryszyńskiej służyła jako składnica cennych zbiorów muzealnych wywiezionych z Poznania. Poza tym w 1945 r. w trzech zamaskowanych komorach, w innej części MRU, Rosjanie znaleźli część ukrytych przez Niemców eksponatów muzealnych, przeniesionych z Pętli Boryszyńskiej. 40 lat później, u schyłku PRL, gdy istniała realna groźba usytuowania w podziemiach MRU składowiska niskoaktywnych od-

padów nuklearnych z polskich elektrowni jądrowych, próbowano znaleźć różne inne, alternatywne kierunki zagospodarowania podmiędzyrzeckich „bunkrów". Gorzowski dziennikarz Jerzy Zysnarski w 1988 r. rzucił pomysł utworzenia w nich muzeum. I po latach tak się stało. Rada Miejska w Międzyrzeczu uchwałą z 5 XI 2010 r. powołała do życia instytucję kultury pod nazwą Międzyrzecki Rejon Umocniony – Muzeum Fortyfikacji i Nietoperzy w Pniewie. Z punktu widzenia turysty pniewska placówka muzealna sprawuje opiekę nad barakiem po byłym PGR, w którym urządzono skromną wystawę na temat MRU i nietoperzy, a także nad pancerwerkami byłej Grupy Warownej Scharnhorst nr 716, 716a i 717 wraz z fragmentem Głównej Drogi Ruchu oraz odcinkiem podziemnych pomieszczeń i korytarzy. Jednak ten, kto mając w pamięci casus Kopalni Zabytkowej – Muzeum w Tarnowskich Górach miałby nadzieję *na bezpłatne obejrzenie podziemi MRU, srodze się rozczaruje. Ustawa z 29* VI 2007 r. o zmianie ustawy o muzeach, zmieniła treść art. 10 ust. 2 na następujący: *„W jednym dniu tygodnia wstęp na wystawy stałe muzeów jest nieodpłatny"*. Gospodarze pniewskiej części MRU zinterpretowali ten przepis naturalnie na swoją korzyść uznając – zgodnie ze stanem faktycznym – że podziemia MRU nie stanowią wystawy stałej. Można by zadać pytanie, po co w takim razie radni międzyrzeccy uznali MRU za muzeum, skoro najistotniejsza i najatrakcyjniejsza część podziemna nie jest możliwa do zwiedzania za darmo raz w tygodniu? Da się to wytłumaczyć np. w ten sposób, że ekspozycja muzealna będzie tworzona na powierzchni, a podziemna trasa turystyczna jest osobnym bytem podlegającym w sposób formalny pod muzeum. Myślę jednak, że istotniejszą sprawą będzie zwrócenie uwagi na inny paradoks. Otóż Muzeum Fortyfikacji i Nietoperzy próbuje pogodzić przysłowiową wodę z ogniem, czyli realizować, równocześnie, ochronę fortyfikacji MRU i liczne stanowiska nietoperzy gnieżdżących się w podziemiach. Badacze i miłośnicy fortyfikacji MRU niejednokrotnie zwracali uwagę, że sposób i praktyka ochrony rezerwatu nietoperzy prowadzi do degradacji i zniszczenia podziemnych fortyfikacji. Od dawna ten problem poruszany jest na wielu tematycznych sympozjach czy konferencjach. Może już czas, aby postawić sprawę po męsku i jasno powiedzieć, że podziemia MRU są jedynym tego typu obiektem fortyfikacyjnym na świecie, i chcąc go zachować, należy niezwłocznie przeprowadzić prace konserwacyjne, nawet jeżeli, przy okazji, zakłócony zostanie spokój nietoperzy.

Nie będzie jednej konkluzji dotyczącej wszystkich omawianych tu obiektów podziemnych. Uważam, że ze względu na wszechobecną w podziemiach wilgoć, może poza kopalniami soli kamiennej, nienajlepszym pomysłem jest tworzenie podziemnych muzeów z kolekcjami eksponatów w miejscach nienadających się do tego. Zgodnie jednak ze starożytną łacińską maksymą *Volenti non fit iniuria* (chcącemu nie dzieje się krzywda), jeżeli ktoś chce takie muzeum utworzyć – ma do tego pełne prawo. Zwracam jedynie uwagę na kwestię nazewnictwa, nad którą, moim zadaniem, warto się zastanowić. Nie nadawajmy mylących nazw podziemnym trasom turystycznym. Owszem, muzeum może być właścicielem trasy podziemnej, tak jak to ma miejsce np. w Tomaszowie Mazowieckim, Krzemionkach czy Pniewie, ale niech trasa taka będzie nazywana trasą podziemną, a nie czymś innym, czym nie jest.

Tomasz Rzeczycki

Niegdyś poeta i satyryk. Obecnie publicysta i pisarz. Wnikliwy badacz dziejów zagospodarowania polskich Sudetów oraz historii podziemnych tras turystycznych istniejących na terenie naszego kraju. Autor książki „Góry Polskie" (2004) oraz „Podziemne trasy turystyczne Polski" cz. I i II. (2012). Współpracownik „Odkrywcy" od 2008 roku.

REKLAMA

Punkt oporu w Krzyżowej, 1939

TEKST, ZDJĘCIA, INFOGRAFIKA: PIOTR LEONOWICZ

Zasób zachowanych na terenie naszego kraju historycznych fortyfikacji systemu rozproszonego, obejmuje, obok ukończonych, także pokaźną grupę obiektów niekompletnych. Potencjał tych ostatnich, jako źródeł wiedzy, nie został jak dotąd w pełni wykorzystany. Przeciwnie – niejednokrotnie uważane były za niepełnowartościowe: w badaniach pomijane, zaś w procesie rewaloryzacji „poprawiane", czyli uzupełniane o elementy jakich historycznie nie zdążono w nich wykonać.

Badania fortyfikacji stałych w Krzyżowej na Żywiecczyźnie, prowadzone przez kolejnych autorów (Miniewicz, Holewiński, Brzoskwinia, Suchanek) od 1975 r., ukierunkowane były dotychczas na odtworzenie historii oraz planowanych parametrów taktycznych i technicznych budowanego punktu oporu. Informacje o jego stanie w 1939 r. pojawiały się niejako na marginesie rozważań, zawierając wiadomości ogólnikowe, nie podsumowane wnioskami. Sytuacja ta skłoniła do podjęcia badań, mających na celu uzyskanie odpowiedzi na dwa zasadnicze pytania: na jakim etapie znajdowały się w dniu wybuchu wojny prace przy wznoszeniu poszczególnych schronów? oraz, jak przekładało się to na możliwość ich wykorzystania bojowego? Oprócz celu stricte naukowego, ustalenia te miały także wymiar praktyczny. W 2011 r. rozpoczęto, firmowane przez władze gminy Jeleśnia, porządkowanie schronów, planując stworzenie w oparciu o nie atrakcji turystycznej. Nie sposób tego jednak dokonać bez wyprzedzającego określenia historycznego wyglądu fortyfikacji i oceny ich wartości zabytkowej. Tylko na tej podstawie można bowiem sformułować program ewentualnych prac rewaloryzacyjnych.

Punkt oporu, dla lokalizacji którego wybrano miejsce w dolinie górskiej w południowej części wsi Krzyżowa, tworzyć miały cztery żelbetowe schrony bojowe, zapory przeciwpancerne i przeciwpiechotne oraz umocnienia polowe. Wraz z sąsiednimi zespołami fortyfikacyjnymi w rejonie Przyborowa formować miał rozproszony ośrodek oporu. Proces jego kształtowania podzielić można na pięć etapów:

Etap I – prace planistyczno-projektowe, w trakcie których decydowano o lokalizacji i parametrach taktyczno-technicznych poszczególnych obiektów oraz opracowywano projekty wykonawcze.

Etap II – przygotowanie logistyczne: organizacja placów budowy, transportu i składowania materiałów, zgromadzenie i zorganizowanie ekip wykonawczych.

Etap III – zasadnicze prace budowlane zakończone uformowaniem żelbetowo-pancernych skorup obiektów, wraz z odpowiednio ukształtowanymi elementami ziemnymi.

Etap IV – prace wykończeniowo-wyposażeniowe, związane z wprowadzeniem instalacji i urządzeń wewnętrznych oraz umeblowania.

Etap V – przygotowanie do walki, na które składało się maskowanie, zaopatrzenie w zapasy, obsadzenie wyszkoloną załogą oraz zainstalowanie uzbrojenia. Niezależnie od budowy schronów postępowały: realizacja przeszkód, sieci łączności telefonicznej, oczyszczanie przedpola, przygotowanie niszczeń oraz budowa fortyfikacji polowych.

Początek prac planistycznych na froncie beskidzkim miał miejsce w końcu marca 1939 r., kiedy to zespół kierowany przez płk. Tadeusza Zieleniewskiego rozpoczął studia terenowe. Ich wynikiem była, przedstawiona w kwietniu, koncepcja rozmieszczenia zespołów fortyfikacji stałych. Przygotowaniem szczegółowych projektów zajęło się, za-

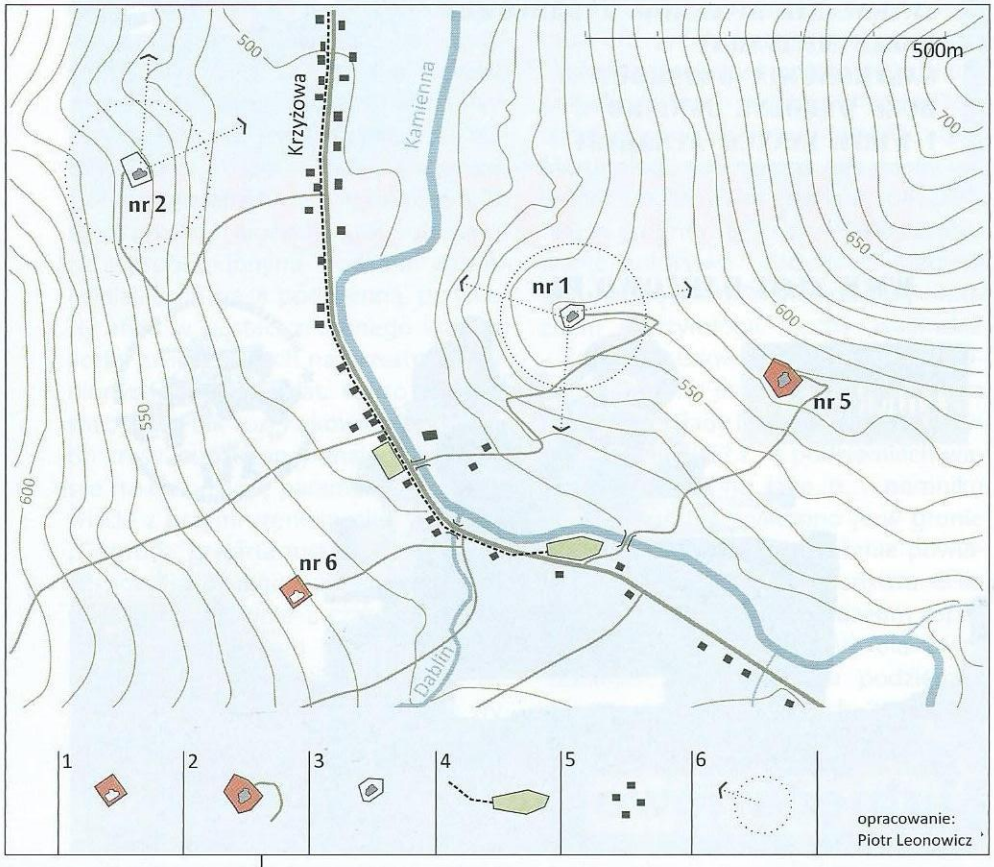

Budowa fortyfikacji stałych w Krzyżowej w 1939 roku: 1 – schron w początkowej fazie budowy; 2 – schron w stanie surowym, niekompletnym, nierozszalowany; 3 – schron w stanie surowym, niekompletnym; 4 – linia kolejki wąskotorowej oraz plac przeładunkowy; 5 – zabudowa wsi Krzyżowa; 6 – osie strzelnic ściennych ckm i sektor ostrzału ckm w szybie pod kopułę, w obiektach przekazanych wojsku.

Miejsce budowy schronu nr 6 – widok od północnego zachodu. Linią przerywaną zaznaczono orientacyjną wielkość rzutu obiektu.

łożone w Żywcu, Kierownictwo Robót nr 10, kierowane przez mjr. Stanisława Śliwińskiego, mające następnie nadzorować i koordynować prace prowadzone na odcinku od Węgierskiej Górki po Rabę Niżną. Niemal równolegle z pracami projektowymi trwało logistyczne przygotowanie przedsięwzięcia. Pierwszym jego etapem było zorganizowanie sił ludzkich. Dla realizacji ośrodka oporu w rejonie Krzyżowej i Przyborowa sformowano ekipy budowlane złożone ze specjalistów wojskowych i cywilnych oraz młodzieży skupionej w 64. kompanii, 10. baonu Junackich Hufców Pracy. W zakresie przygotowania przeszkód i umocnień polowych, lekkiego transportu oraz prac pomocniczych, korzystano z udziału miejscowej ludności i żołnierzy batalionu KOP „Wilejka". Dla sprawnego przewozu materiałów, narzędzi i urządzeń, dostarczanych koleją do stacji w Jeleśni, wykonano, pomiędzy nią a Krzyżową, linię kolejki wąskotorowej (odrębna nitka wiodła do Przyborowa i Moczarek), ułożoną na skraju istniejącej drogi. Według relacji Stanisława Duraja z Krzyżowej, przy trasie założono dwa „dworce" przeładunkowe, zlokalizowane w południowej części wsi, na wysokości tartaku Leblowicza (obecnie mieści się w tym miejscu remiza OSP), oraz na południe od niego, w rejonie nieistniejącego dziś jazu piętrzącego nad potokiem Kamienna. Na „dworcach" przeładowywano dostarczany materiał na furmanki konne, które poruszając się istniejącymi drogami polnymi, dostarczały go na place budowy (do schronu nr 5 docierały pokonując potok po koronie jazu). Przygotowanie tych ostatnich także wymagało szeregu prac, w ramach których wykonywano kilkumetrowej wysokości szczelny parkan z desek, a także szopy i wiaty drewniane służące za skład materiałów, narzędzi i maszyn oraz miejsce pracy kierownika budowy.

Do wznoszenia fortyfikacji stałych przystąpiono w początku lipca. Wg mjr. Śliwińskiego planowano ukończenie (bez instalacji) obiektów nr 1 i nr 2 do 15 X 1939 r. (miały zapewnić pozycji minimum zdolności obronnej), a obiektów nr 5 i nr 6[1] do 18 X 1939 r. (pozwalały na uformowanie punktu oporu o obronie okrężnej). Wskazuje to, że proces budowy obiektów pierwszej i drugiej kolejności miał zachodzić na siebie. Faktycznie prace realizowano, jak się zdaje, kolejno po sobie (nr 1, nr 2, nr 5, nr 6), wykorzystując przerwę technologiczną jaka musiała nastąpić po zabetonowaniu ścian i stropów obiektu wznoszonego wcześniej. Po wytyczeniu schronu realizacja zamknąć się miała w czterech fazach: faza I – przygotowawcza – obejmowała wykonanie, w przygotowanym wcześniej wykopie, wylewki poziomującej (z przepuszczonymi przez nią stalowymi rurami osłonowymi przyłącza telefonicznego oraz przewodem kanalizacyjnym) pozwalającej na ułożenie bitumicznej izolacji dennej. Faza II to betonowanie płyty fundamentowej. Faza III stanowiła jedno z najtrudniejszych wyzwań dla ekipy budowlanej, ze względu na konieczność zabetonowania w jednym cyklu ścian i stropu, po wcześniejszym osadzeniu, futryn drzwi i wyłazu awaryjnego, płyt pancernych strzelnic gazoszczelnych, futryn, wraz z zamknięciami strzelnic niegazoszczelnych, zrzutni granatów i wyrzutni ładunków oświetlających, stanowisk łączności optycznej, kanałów czerpni i wyrzutni powietrza, przepustów instalacji wewnętrznych oraz pierścienia poziomującego pod kopułę pancerną. Stan surowy uzyskiwał obiekt w fazie IV, kiedy to po stężeniu zasadniczej konstrukcji, wykonywano uzupełniające prace betoniarskie we wnętrzu, wylewano na dnie rowów diamentowych płyty detonacyjne z osadzonymi prętami zasiekowymi oraz osadzano kopułę pancerną, wypełniając jej szyb montażowy betonem. W rezultacie uzyskiwano główną, żelbetowo-pancerną część obiektu obronnego, dającą zabezpieczenie stanowisk ogniowych i izb zaplecza przed działaniem środków bojowych nieprzyjaciela. Analizując wygląd schronów można stwierdzić, iż żadnego z nich nie doprowadzono do stanu surowego, kompletnego (faza IV). Realizację schronu nr 6 zaledwie rozpoczęto. Wg relacji Stanisława Duraja, którego ojciec brał udział w dowożeniu materiałów na pla-

Schron nr 5. Wewnętrzna śluza przeciwgazowa z niezabetonowanymi progami.

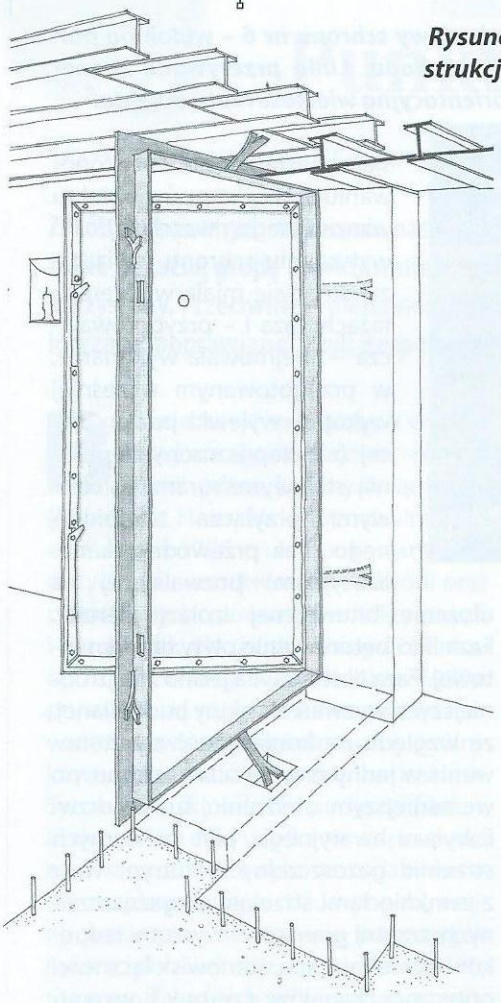

Rysunek poglądowy sposobu osadzania w konstrukcji schronu stalowej futryny wewnętrznych drzwi gazoszczelnych.

ce budowy wykonana została wylewka poziomująca i być może także płyta fundamentowa (faza II). Obecnie wykop pozostaje zasypany, nie pozwalając na weryfikację informacji. W trzech pozostałych zakończono fazę III (nr 5 – pozostawał nierozszalowany, z niezabetonowanymi progami we wnętrzu) lub rozpoczęto fazę IV (nr 1, nr 2), przy czym płyt detonacyjnych, jak się zdaje, nie wykonano w żadnym. Prace przy montażu elementów pancernych zostały zasadniczo ukończone (drzwi pancerne oraz zamknięcia strzelnic zostały przynajmniej częściowo zainstalowane – relacja Stanisława i Elżbiety Duraj z Krzyżowej) z wyjątkiem instalacji kopuł[2] i prawdopodobnie wkładki płyty pancernej ckm w obiekcie nr 1. Tym samym żaden z wykonanych schronów nie zapewniał jeszcze załodze zaplanowanego poziomu ochrony przed ostrzałem.

Po zakończeniu pielęgnacji betonu wykonać miano izolację zabezpieczającą wnętrze schronu przed zawilgacaniem. Lepikiem smołowym pokrywano strop oraz partie ścian mające być ukryte pod nasypami ziemnymi. Prace w tym zakresie przeprowadzono tylko w dwóch obiektach (nr 1 i nr 2). Brak przy tym śladów materiału bitumicznego na stropodachach. Wykonanie izolacji pozwalało na rozpoczęcie kształtowania form ziemnych. Prace obejmowały: uformowanie nasypu czołowego, wykształcenie rowów diamentowych przed strzelnicami, zagłębień w miejscach występowania nisko umieszczonych czerpni powietrza (do piecyka), zrzutni łusek ładunków oświetlających i zlewni wody z chłodnicy ckm na stanowisku niegazoszczelnym oraz wyplantowanie równi ogniowych. Powyższe zabiegi miały na celu osłonięcie najbardziej narażonych ścian schronu, wtopienie jego bryły w otaczający krajobraz, zabezpieczenie głównych strzelnic przed zasypywaniem, jak również likwidację terenowych przesłon i pól martwych ostrzału w sąsiedztwie obiektów.

W odniesieniu do obiektów w Krzyżowej można stwierdzić rozpoczęcie prac ziemnych w obiekcie nr 1 (posiada częściowo wykonany nasyp czołowy z detonacyjno-drenującym zasypem kamiennym oraz równię ogniową prawoskrzydłowej strzelnicy ckm). W pozostałych dwóch, prac tego rodzaju nie prowadzono. Skutkiem tego, ściany czołowe obiektów nr 2 i nr 5 były wystawione na bezpośredni ostrzał, strzelnica schronu nr 5 skierowana w stronę obiektu nr 1 miała pole ostrzału przesłonięte miedzą, a zbyt słabe przekrycie gruntem styku terenu ze ścianami, stwarzało korzystne warunki dla wnikania pocisków artyleryjskich pod płytę fundamentową.

Po rozszalowaniu wnętrza, przystąpić miano do montowania wyposażenia umożliwiającego załodze przebywanie w obiekcie w warunkach bojowych, efektywne wykorzystanie posiadanych środków walki, i współdziałanie z pozostałymi schronami oraz wojskami polowymi. Składać się na nie miały:

» system instalacji wentylacyjnej, mechanicznej, o napędzie ręcznym, składający się z dwu układów: filtracyjno-nawiewnego oraz wywiewnego gazów prochowych. Pierwszy przewidziano do wymiany powietrza w strefie gazoszczelnego zaplecza socjalno-wypoczynkowego schronu, na stanowisku i w podszybiu pod kopułą pancerną oraz w izbie bojowej armaty przeciwpancernej. Układ drugi, przewietrzać miał izby bojowe broni głównych posiadające strzelnice z niehermetycznymi zamknięciami.

» instalacja łączności zewnętrznej (kablowej), doprowadzona przewodem ułożonym pod ziemią, przepuszczonym pod fundamentem w stalowej rurze osłonowej, do pomieszczenia przewidzianego na stanowisko dowodzenia. Uzupełniająca instalacja łączności optycznej wykorzystywać miała specjalnej konstrukcji stanowiska ścienne oraz prawdopodobnie wizjery kopuły ckm. Łączność wewnętrzną zapewnić miały rury głosowe.

» wyposażenie sanitarne, ograniczone do pisuaru, z odpływem wyprowadzonym pod fundamentem rurą stalową, i hermetycznego kubła (sucha toaleta).

» instalacja chłodzenia broni o zamkniętym obiegu, obejmująca system przewodów rozprowadzających z ręczną pompką, łączący chłodnicę ckm ze zbiornikiem wody.

» umeblowanie złożone ze sprzętów zwykłych oraz składanych, mocowanych na stałe do ścian (stołów, pryczy, siedzisk i taboretów, półek, wieszaków i stojaków). W żadnym ze schronów nie są widoczne ślady świadczące o rozpoczęciu montowania któregokolwiek z wymienionych wyżej elementów wyposażenia. W procesie betonowania osadzono w ścianach tylko część kotew służących mocowaniu mebli stałych. Pozostałe zamierzano zapewne osadzać w otworach wierconych. Jako datę planowanego ukończenia instalacji wentylacyjnych mjr. Śliwiński podaje 1 IV 1940 roku. Dla jej wprowadzenia wykonane zostały wprawdzie wszelkie niezbędne kanały nawiewne i wywiewne oraz przepusty w ścianach wewnętrznych, brakowało jednak zarówno przewodów rozprowadzających, jak i urządzeń: filtrów pyłowych, filtropochłaniaczy oraz wentylatorów. W razie podjęcia walki musiałoby to wywołać problemy z wietrzeniem pomieszczeń. Szczególne zagrożenie wystąpiłoby w izbach bojowych (ze względu na wydzielające się podczas strzelania gazy prochowe) aczkolwiek użycie niegazoszczelnych strzelnic ckm o stosunkowo dużym świetle otworu, wespół z kanałem nawiewnym o dużej średnicy, stwarzało korzystniej-

sze warunki naturalnego obiegu powietrza, niż w obiektach z sąsiedniej Węgierskiej Górki, gdzie dominowały strzelnice gazoszczelne. Brak sieci łączności zewnętrznej oraz niekompletny system powiązań optycznych (możliwe było jego improwizowane użycie jedynie pomiędzy schronami nr 1 i nr 2), uniemożliwiały pełne współdziałanie schronów w walce. Dla instalacji łączności wewnętrznej, wykonano we wszystkich zabetonowanych schronach jedynie przepusty w ścianach oraz listwy do mocowania rur głosowych. Nie istniały więc warunki do centralnego kierowania walką. Wprawdzie każdy schron posiadał wydzielone pomieszczenie sanitarne, nie zainstalowano pisuarów (brak osadzonych kotew) i hermetycznych kubłów sanitarnych, co skazywało załogę na improwizację w zakresie załatwiania potrzeb fizjologicznych w obrębie schronu. W połączeniu z niedziałającą wentylacją mechaniczną, nie stwarzało to korzystnych warunków wypoczynku w przerwach w walce. Brak instalacji wymuszonego chłodzenia ckm ograniczał możliwość uzyskania wysokiej intensywności prowadzonego ognia i zmuszał do korzystania z rozwiązań stosowanych na stanowiskach polowych. Najtrudniejsze pozostaje stwierdzenie, czy zdołano wprowadzić umeblowanie. Biorąc jednak pod uwagę niekompletność pozostałego wyposażenia, należy przyjąć, że tak się nie stało, a miejsca do siedzenia i snu improwizowano. Nie sprzyjało to komfortowi pracy dowódcy, wypoczynkowi załogi, ani utrzymaniu porządku w ciasnych i niedoświetlonych wnętrzach.

Bezpośrednio po ukończeniu prac ziemnych, a równolegle z instalowaniem wyposażenia, odbywać się mogło maskowanie obiektu. Jego maksymalny zakres obejmował obłożenie nasypu czołowego i stropodachu darnią, uformowanie sztucznych stoków z siatek maskujących rozpiętych na cięgnach stalowych, zakrywających nieobsypane ściany, pokrycie elementów stalowych i ścian malowaniem barwnym (te pierwsze montowano z podkładem antykorozyjnym – minią w kolorze intensywnie pomarańczowym). Stosowano także obsadzanie otoczenia schronów roślinnością. Większości prac maskujących nie wykonano. Za wyjątkiem obiektu nr 1 ściany czołowe pozostawały zupełnie odkryte. Na stropach nie ułożono warstwy darni. Elementy stalowe nie były pomalowane (jedynie płyta pancerna strzelnicy armaty przeciwpancernej posiada czytelne ślady farby w kolorze ochronnym, ciemno-oliwkowo-zielonym, położonej na podkładzie z minii). Nie zostały pomalowane także ściany (pasy brązowawej farby widoczne w uskokach ochronnych schronu nr 1 należy łączyć najprawdopodobniej z okresem powojennym). Sytuacja ta skazywała załogi na konieczność zamaskowania obiektów metodami polowymi (głównie poprzez okładanie ciętą zielenią) o ograniczonej skuteczności.

Ostatnim etapem przygotowywania schronów do walki, było ich uzbrojenie, obsadzenie załogą oraz zgromadzenie zapasów. Uzbrajanie obejmowało, poza samym wprowadzeniem broni, osadzenie stacjonarnych lawet na przygotowanych wcześniej stanowiskach, podpięcie broni głównych do instalacji wentylacyjnej i chłodzenia, przygotowanie danych do strzelania ogni, wg opracowanego wcześniej planu i wstrzelanie broni. Zgromadzenie odpowiedniej ilości zaopatrzenia decydowało o zdolności do długotrwałej walki w izolacji. Ta zaś miała dla zespołu w Krzyżowej szczególne znaczenie wobec słabego zabezpieczenia skrzydeł punktu oporu i zdominowania go przez przyległe grzbiety górskie. Należało się zatem liczyć z utrudnieniami w jego zaopatrywaniu, a nawet czasowym odcięciem od zaplecza. Na zapasy składać się miały: amunicja, woda, żywność, opał, środki opatrunkowe i oświetleniowe. Dochodził do tego sprzęt do prac saperskich oraz obsługi i naprawy urządzeń schronu. Załogę obiektów żelbetowych stanowić powinni żołnierze przygotowani psychicznie do służby w zakrytym obiekcie obronnym, przeszkoleni w zakresie prowadzenia walki fortecznej i obsługi urządzeń schronu. Grupowano ich w formacjach wojsk fortecznych, o organizacji dostosowanej do specyfiki danego zespołu umocnień.

Konieczność gwałtownego przygotowania nieukończonych obiektów do walki spowodowała, iż ich uzbrajanie wyprzedziło niektóre prace etapu stanu surowego. W 1939 r. odbyło się ono, w sposób improwizowany, w jednym (wg relacji świadków) lub dwóch obiektach (wg mjr. Śliwińskiego: 6 ckm w schronach nr 2 i nr 1) i ograniczyło do osadzenia ckm w strzelnicach ściennych. Ckm przewidziany dla kopuły ustawiano w sposób prowizoryczny na siatce zbrojenia szybu montażowego, za osłoną z worków z piaskiem (analogicznie jak w Węgierskiej Górce). Wobec nierozszalowania schronu nr 5 należy wykluczyć możliwość pojawienia się w nim jedynej stricte fortecznej broni na pozycji – 37 mm armaty fortowej wz. 38. W trakcie obsadzania schrony zaopatrzono zapewne w stopniu zbliżonym do tego, jaki znamy z relacji dotyczących Węgierskiej Górki: w amunicję, niewielki zapas żywności i wody oraz minimum środków oświetleniowych. Umożliwiało to prowadzenie walki w izolacji przez około 1-2 dni. Załogę dla fortyfikacji ośrodka oporu Krzyżowa-Przyborów (152. kompania forteczna „Jeleśnia") zaczęto formować dopiero 28 VIII 1939 r. z żołnierzy wybranych z czterech batalionów piechoty 2. brygady górskiej. Już dwa dni później przerzucono ją na pozycję, obsadzając, jak się zdaje, wyłącznie punkt oporu Krzyżowa (plutonem fortecznym „Krzyżowa"). Wybuch wojny uniemożli-

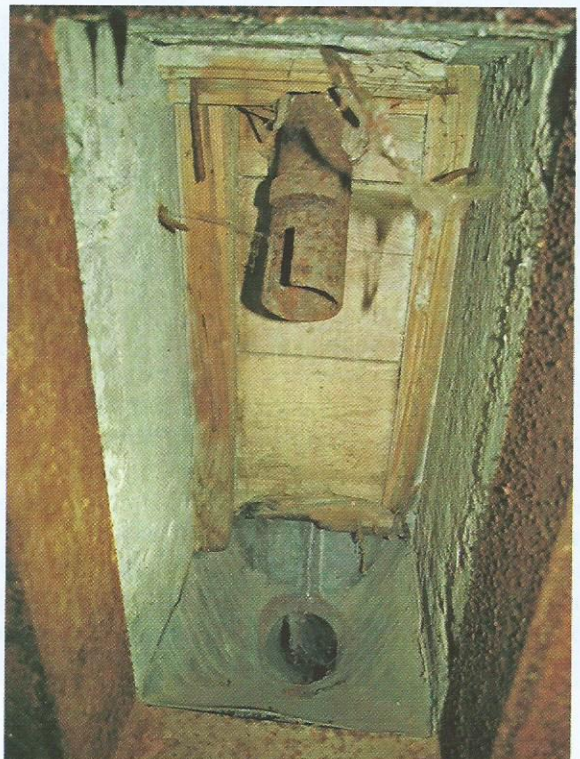

Schron nr 1. Nisza wyrzutni ładunków oświetlających z zachowanym fragmentem skrzyni szalunkowej.

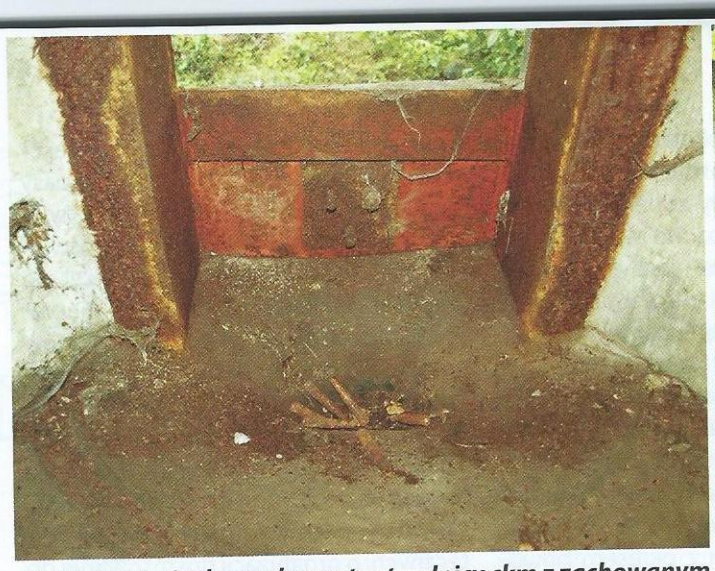

Schron nr 1. Stalowe elementy strzelnicy ckm z zachowanym malowaniem antykorozyjnym (minia) lecz bez powłoki wykończeniowej.

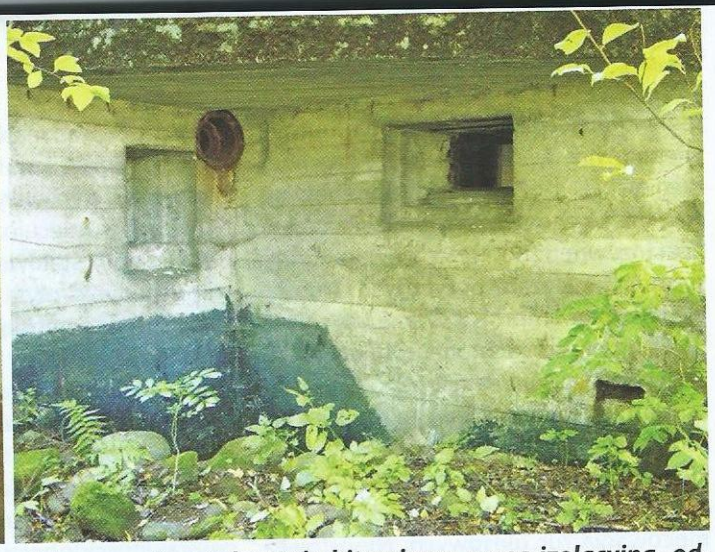

Schron nr 2 – malowanie bitumiczną masą izolacyjną, odwzorowujące planowane ukształtowanie terenu na styku ze ścianą uskoku ochronnego strzelnicy ckm.

wił nie tylko odpowiednie przeszkolenie nie w pełni skompletowanego oddziału, ale nawet elementarne zgranie ludzi pochodzących z różnych oddziałów.

Przeszkody były, obok systemu powiązań ogniowych i sieci łączności, trzecim elementem scalającym poszczególne obiekty fortyfikacyjne w jeden zespół obronny (punkt oporu). Wstrzymywać miały pod ogniem obrońcy nieprzyjaciela nacierającego w międzypolach, jednocześnie nie dopuszczając go w pobliże schronów. Przeszkodą przeciwpiechotną miała być zapora drutowa. Stosowano ją w postaci ciągłego pasa, wysuniętego na bliskie przedpole fortyfikacji (w przypadku zespołu przystosowanego do obrony okrężnej, zapora ta miałaby formę pierścieniową), otaczano poszczególne schrony oraz wypełniano ich zagłębienia (rowy diamentowe) przed strzelnicami broni głównych (armaty, ckm). W charakterze zapór przeciwpancernych starano się przede wszystkim wykorzystywać naturalne cechy terenu, uzupełniając je, gdzie było to konieczne, zaporami inżynieryjnymi. Według relacji zapory drutowe zainstalowano pomiędzy schronami nr 5, nr 1, nr 2. Prawdopodobnie był to jednorzędowy płot kolczasty o minimalnej wartości przeszkodowej, ewentualnie zwielokrotniony wokół obiektów przekazanych wojsku. W roli zapory przeciwpancernej wykorzystano jary potoków Kamienna i Dablin, sytuując schrony poza nimi. Można przypuszczać, że most na tym ostatnim, przez który wiodła główna droga w dolinie, przygotowano do wysadzenia. Oczyszczanie przedpola służyć miało pozbawieniu przeciwnika możliwości krytego poruszania się pod ogniem obrońcy. Niestety, brak danych na temat planowanego zakresu wykonania tych prac na omawianym terenie. Przede wszystkim nie wiadomo czy, i ewentualnie w jakim zakresie, zamierzano zlikwidować zabudowę wzdłuż drogi na południe od ujścia potoku Dablin. W 1939 r. żadnych zniszczeń najprawdopodobniej nie wykonano wobec faktu, iż jedyna potyczka w tym rejonie odbyła się na pozycji wysuniętej nad granicą, a brak silniejszego nacisku nieprzyjaciela nie zmuszał do podjęcia walk na pozycji głównej. W ramach ukończonej pozycji umocnienia polowe stanowić miały oparcie dla wojsk przeznaczonych do obsady pozycji wysuniętych oraz zapewne także skrzydłowych. Wobec nie ukończenia prac przy obiektach stałych musiały jednak przejąć także ich zadania. Na pozycji nadgranicznej, położonej około 1,5 km od przełęczy Glinne, wykonano rowy strzeleckie, przynajmniej dwa schrony-stanowiska ckm (ponad drogą i pod szczytem Pilska), założono pole minowe i drewnianą zaporę (znaną z archiwalnych fotografii) na drodze. Umocnienia wykonano też na wysokości budowanego punktu oporu w Krzyżowej. Badania terenowe autora ujawniły ponadto istnienie śladów (rów strzelecki) pozycji pośredniej na południowo-zachodnim stoku Styrku.

Doprecyzowanie dotychczasowych ustaleń odnośnie stanu fortyfikacji w rejonie Krzyżowej 1 IX 1939 r. pozwala stwierdzić, że były one znacznie bardziej niekompletne, niż to sygnalizowano w dotychczasowej literaturze. Żaden z zaprojektowanych schronów bojowych nie został ukończony, zaś jedynie dwa nadawały się do zaimprowizowania obrony. Nie mogły one jednak zapewnić załodze pełnego zabezpieczenia przed ostrzałem, odpowiednich warunków do wypoczynku, jak również właściwego fortyfikacji stałej wysokiego poziomu efektywności użycia broni. Ich zdolność do walki w izolacji należy określić jako bardzo ograniczoną. Na papierze pozostał starannie zaplanowany system powiązań ogniowych, łączności i przeszkód, co powodowało, że punkt oporu fortyfikacji stałych, rozumiany jako zdolny do samodzielnej obrony zespół współpracujących ogniowo schronów – nie istniał, i nie mógł wypełnić zadań dla jakich go projektowano. W ówczesnym stanie pozycja miała zatem charakter stricte polowy. Konsekwencją tego stanu była wymuszona zmiana koncepcji użycia sił w obronie. Początkowo zakładano bowiem, że zasadniczy jej ciężar weźmie na siebie kompania forteczna osadzona w fortyfikacjach stałych, zaś będący w dyspozycji pojedynczy batalion KOP-u, wsparty strażą graniczną i symboliczną artylerią, posłuży jedynie dla jej wsparcia i osłony skrzydeł w terenie górskim. W realiach końca sierpnia 1939 r., wojska polowe musiały przygotować się do przejęcia głównych zadań w obronie ok. 6-kilometrowych pozycji, mając jako wsparcie jedynie załogę pojedynczego schronu.

Punkt oporu w Krzyżowej, wespół z wspierającymi go grupami bojowymi w rejonie Przyborowa, tworzy dziś jeden z najcenniejszych w naszym kraju zespołów fortyfikacji II RP. Pośród różnorodnych cech, które decydują o jego wyjątkowej wartości, jedną z najistotniejszych jest niekompletność. Stanowi ona materialny ślad dramatycznego wy-

ścigu z czasem, jakim była próba zabezpieczenia południowej granicy Polski po rozbiciu przez Niemcy Czechosłowacji. Wiąże zatem historię przedmiotowych fortyfikacji z jednym z kluczowych wydarzeń końca okresu międzywojennego w Europie oraz wybuchem II wojny światowej, który stanowił bezpośrednią przyczynę przerwania budowy. Różny stopień zaawansowania prac przy poszczególnych schronach stanowi natomiast o wysokich walorach poznawczych całego zespołu, dając możliwość zaobserwowania, niemal tuż obok siebie, kolejnych etapów powstawania żelbetowego obiektu obronnego. Fortyfikacje w rejonie Krzyżowej i Przyborowa (włącznie ze śladami rozpoczętych prac: fundamentami i wykopami) kwalifikują się w tej sytuacji do objęcia ochroną i konserwacją oraz dydaktycznego wyeksponowania. Ich nietypowy charakter stawia przy tym wysokie wymagania zarówno projektowi prac, jak i wykonawstwu. Zauważenia, odpowiedniej interpretacji, utrwalenia i zaprezentowania wymagają bowiem, niejednokrotnie nieoczywiste i nietrwałe ślady przerwanej budowy. Nieodwracalne straty jakie mogą przynieść w tych warunkach niefachowo przeprowadzone prace, powinny zatem skłaniać do nadzwyczajnej ostrożności w działaniu. Ceną złej decyzji jest bowiem utrata przez historyczne fortyfikacje wartości unikatu i pozbawienie naszego kraju cennego elementu dziedzictwa kulturowego.

Przypisy:

[1] W dotychczasowej literaturze oznaczane odpowiednio: „Kustroń", „Boruta", „Szylling" (M. Holewiński) lub K-2, K-3, K-1, K-4 (P. Suchanek). Numerację użytą w niniejszym artykule przyjęto za opracowaniem mjr. Śliwińskiego. Nie wiadomo przy tym, czy jest to numeracja porządkowa autora czy także numeracja budowlana. Z pewnością nie jest numeracją taktyczną. Ukończone obiekty, podobnie jak pod Węgierską Górką, otrzymać miały kryptonimy bojowe. W relacjach ludności miejscowej pojawia się nazwa „Kordian", którą można prawdopodobnie utożsamiać z jednym z dwu najbardziej zaawansowanych obiektów: nr 1 lub nr 2.

[2] W tym kontekście jako sensacyjną należy uznać informację, jakoby zdążono osadzić (bez zabetonowania) kopułę w schronie nr 2 (relacja St. i E. Duraj z Krzyżowej), która po wojnie miała być zdemontowana i złomowana. Wiadomość ta, jak dotąd jedyna tego rodzaju, wymaga jednak dalszego sprawdzenia, wobec faktu, że w bardziej zaawansowanych (i łatwiej dostępnych) obiektach w Węgierskiej Górce nie doszło do instalacji pancerzy tego typu.

Literatura i źródła:

1. W. Brzoskwinia, „Pozycja ufortyfikowana z 1939 r. w Krzyżowej", [w:] „Watra" 10, 2000
2. M. Holewiński, „Rygle obronne w Krzyżowej i Przyborowie jako przykład stałej fortyfikacji polskiej szkoły fortyfikacyjnej w przededniu wybuchu II wojny światowej", Teka Komisji Urbanistyki i Architektury PAN, tom XXII (1988) i XXIII (1989-90)
3. P. Leonowicz, „Fundament z Przyborowa", [w:] „Odkrywca" nr 6/2010
4. J. Miniewicz, „Polnische Bergbefestigungen, 1939. Die Wiederstandsgruppe Krzyżowa, Schriftenreihe Festungforschung 5, 1986
5. P. Suchanek, „Fortyfikacje Jeleśni. Przyborów-Krzyżowa", Żywiec, 2004
6. St. Śliwiński, „Sprawozdanie z wykonywanych fortyfikacji stałych na odcinku Żywiec-Chabówka", (mpis), Londyn, 1942
7. St. Śliwiński „Wykaz obiektów w rejonie Krzyżowej i Przyborowa", (mpis), Londyn, 1943
8. M. Zarwański, S. Suchanek, P. Suchanek, „Obrońcy Węgierskiej Górki", Węgierska Górka, 2004
9. T. Zieleniewski, „Fortyfikacja w Beskidzie Zachodnim", (mpis) Londyn, 1946

Piotr Leonowicz
Architekt, członek Nieformalnej Grupy „Cztery Historie".

REKLAMA

Kanały forteczne MRU pomiędzy Bledzewem i Starym Dworkiem

TEKST: PETR SUCHÁNEK, LIBOR MARTINŮ
ZDJĘCIA: PETR SUCHÁNEK, JERZY SADOWSKI, MAPA I PRZEKŁAD: JERZY SADOWSKI

Przeszkody wodne odgrywały ważną rolę w fortyfikacjach już od niepamiętnych czasów, gdyż cieki wodne oraz mokre fosy zawsze utrudniały atakującym dostęp do pozycji obrońców. Co więcej, w porównaniu do innych przeszkód mają ogromną zaletę – są trudne do pokonania i nie da się ich usunąć. Aby je przekroczyć trzeba ową wodę przebrodzić, przepłynąć, zbudować most, albo wykorzystać łodzie, tratwy, itp. Desant lotniczy dołączył do tych środków dopiero w ostatnich dziesięcioleciach. Każdy z tych sposobów stawia wysokie wymagania fizycznej i technicznej zdolności atakującego, który wówczas jest wystawiony na skutki działania broni obrońców – zwłaszcza w przypadku, gdy obrona jest dobrze przygotowana. Natomiast nie broniona przeszkoda wodna nie zatrzyma ataku, a najwyżej spowolni postępy nacierających wojsk, co również miewa znaczenie. Dlatego nazwy cieków wodnych „przeciekły" więc i do nazw linii obronnych. Wspomnieć można Linię Renu, linię rzeki Mass, czy fortyfikacje na Vltavskiej Linii w dawnej Czechosłowacji. Wschodnią granicę Niemiec umocniono także przy pomocy potężnego Frontu Ufortyfikowanego, w którego nazwie figurują dwie wielkie rzeki: Odra i Warta. Niestety, obecna i posowiecka nazwa Międzyrzecki Rejon Umocniony nikogo już nie informuje o znaczeniu H_2O dla budowy i funkcjonowania fortyfikacji.

Pomińmy jednak jazy forteczne oraz przesuwne i obrotowe mosty zwodzone. Tym razem chcielibyśmy przybliżyć dzieła mniej imponujące, często trudno dostępne i silniej podlegające wpływowi przyrody niż człowieka – forteczne kanały wodne. Te dzieła hydroinżynieryjne są pominiętą, wręcz całkowicie zapomnianą częścią MRU, chociaż podczas budowy Linii Niesłysz-Obra tworzyły jej dominującą cześć. Projektowanie rozpoczęto prawdopodobnie już w roku 1928, lecz gigantyczne prace ziemne ruszyły dopiero w roku 1932, pod pozorem prac melioracyjnych, a ukończono je prawdopodobnie na przełomie lat 1935-36. Kanały forteczne zaczynają się już na południowym odcinku MRU, na brzegu Odry, ale dzięki imponującej ilości, największe ich „stężenie" jest na odcinku północnym, w dolinie rzeki Obra. Ten artykuł stawia sobie za cel przybliżyć czytelnikom „Odkrywcy" około 4 km odcinek rzeki Obra, pomiędzy Bledzewem i Starym Dworkiem.

Miłośnicy fortyfikacji, którzy chcą poznać dzieła hydrotechniczne tego odcinka MRU, muszą przesiąść się do kajaka już na blindudze w Bledzewie. Oczywiście funkcjonuje wiele wypożyczalni łodzi i kajaków, np. w rejonie zabytkowej elektrowni wodnej w Bledzewie, które chętnie służą pomocą. Myśmy skorzystali z usług wypożyczalni z Gorzowa Wielkopolskiego. Ponieważ Obra płynie tutaj bardzo spokojnie, to nawet dla zupełnych amatorów w zakresie wiosłowania przepłynięcie tego odcinka nie będzie stanowiło problemu. Lecz zatwardziali miłośnicy „betonu", będą na tej ufortyfikowanej drodze wodnej nieco rozczarowani. Jedynym betonem jaki spotkają, będzie wylot kanału ze stawów rybnych znajdujący się na lewym brzegu kanału fortecznego, w miejscu zwanym Tymski Młyn, a jedynym nie wysadzonym obiektem bojowym jest Ringstand nad kanałem 803, lecz aby go zobaczyć, trzeba wylądować na brzegu i powędrować nieco w bok.

Na jednym z odcinków Obra wybrała nową drogę i obecnie turyści wodni, nawet o tym nie wiedząc, płyną faktycznie odcinkiem kanału fortecznego 803, który zaczyna się w Bledzewie, przy moście przesuwnym K 804.

Cały spływ Obrą na odcinku pomiędzy Bledzewem a Starym Dworkiem trwa około 2 godzin, jeśli jednak chce się odwiedzić wszystkie kanały, to potrzeba około 6 godzin. Na trasie spływu napotyka się kilkakrotnie efekty pracy bobrów i nie pozostaje nic innego, jak przenoszenie kajaków brzegiem. Dlatego już na początku trzeba przećwiczyć współdziałanie z „załogantem", aby nie tylko dobrze wiosłował, sterował, przenosił, a także, w potrzebie, służył jako „kotwica". A to dlatego, że zwiedzając fortyfikacje potrzebne są wolne ręce i czas, aby fotografować, studiować mapę oraz podziwiać piękne okoliczności przyrody… A meandry rze-

ki Obra, łącznie z kanałami fortecznymi, są dosłownie rajem dla wielu gatunków ryb i ptaków. Najłatwiej spotkać łabędzie i żurawie – z tych większych, oraz kaczki – z tych mniejszych. Jeśli ma się szczęście, jak my, można nawet spotkać orła – symbol państwa polskiego. Na mieliznach igra narybek, a pod i nad lustrem wody przemieszczają się dziesiątki różnych owadów. Na szczęście w okresie naszego spływu komary miały „wolne".

Nasza żegluga rozpoczęła się w sąsiedztwie mostu zwodzonego K 804 oraz kanału fortecznego 803 położonego na wschodnim skraju Bledzewa (kanał 802 łączy jeziora Długie i Chycińskie, a kanał 801 jeziora Kursko i Długie). Około 500 m od mostu na drodze Bledzew-Zemsko spotkała nas pierwsza niespodzianka nawigacyjna, czyli rozbieżność pomiędzy mapą fortyfikacji a stanem w naturze. Okazało się, że w rejonie jedynego znajdującego się w pobliżu Ringstanda, rzeka rozmyła dawne brzegi i opuszcza naturalne koryto, aby wpłynąć do kanału fortecznego nr 803. Poddajemy się więc nurtowi rzeki, który statecznie niesie nas wzdłuż starannie profilowanych brzegów kanału.

Kanały forteczne budowane na Linii Niesłysz-Obra miały 20 m szerokości i 4 m głębokości. Spływ rzeką Obra tym bagiennym, krętym odcinkiem szybko spowoduje, że w głowie pojawia się pytanie: dlaczego tak wiele wysiłku poświęcono na kopanie kanałów w krainie, która sama w sobie jest jedną wielką przeszkodą? Co więcej, o samej budowie niewiele wiadomo. Jest prawdopodobne, że wydobyty grunt był wywożony na brzeg za pomocą pochyłych wyciągów osadzonych na szynach kolejki wąskotorowej i ekspediowany na nieznane nam składowisko. Zasilanie niezbędne dla silników elektrycznych wyciągów prawdopodobnie zapewnić miały wysokoprężne agregaty prądotwórcze, a podstawa jednego z takich urządzeń jest nadal zachowana na północ od pancerwerka 850. Drugą możliwością jest użycie ciężkich maszyn budowlanych – koparek i kolei wąskotorowej. Według książki *„Vor 50 jahre als Flucht und Veritriebung in kreus Zulichau-Schwiebus bogannen"* wydanej w roku 1995 wykonanie melioracji powierzono firmie Polansky und Zolner z Drezdenka. W archiwum we Freiburgu znajdują się setki fotografii z tego okresu budowy fortyfikacji, w tym pokazujące potężne koparki pracujące pod Ołobokiem, pociągi wąskotorowe odwożące urobek, a nawet koparkę zapadłą w torfowisko. Można więc przypuszczać, że analogicznie wykonywano przynajmniej część kanałów nad Obrą. Kanały forteczne Linii Niesłysz-Obra, podobnie jak zbudowane wówczas schrony bojowe, zostały w 1936 r. wchłonięte przez nowo budowane umocnienia o nazwie Festungfront Oder-Warthe-Bogen (FFOWB) i nigdy nie zostały ukończone, ponieważ pierwszeństwo w realizacji otrzymał plan płk. Foerstera zmierzający do silnego ufortyfikowania odcinka centralnego oraz wykonania imponującego podziemnego labiryntu (całość prac gwałtownie przerwano w roku 1938). Za Tymskim Młynem nurt Obry opuszcza kanał forteczny 803 i wraca do swego naturalnego koryta. Na następnym odcinku możemy poznać najpowszechniejszy chyba hydrotechniczny element konstrukcyjny, szeroko stosowany w niemieckiej inżynierii wodnej, oznaczony przez nas na mapie jako Larsen nr 1. Projektanci mieli ewidentnie obawy, by rzeka nie wpływała do sztucznego koryta kanału, dlatego w miejscu możliwego rozmywania brzegu wbili ściankę szczelną ze stalowych grodzic (brusów), i w taki sposób częściowo uregulowali nurt. Lecz w tym przypadku jakaś destrukcyjna siła (natura?) była silniejsza od stali, i ścianka szczelna została na 1/3 długości powalona na dno rzeki, w kierunku nurtu. Takie grodzie stalowe są standardowym elementem budowlanym i zestawia się z nich ścianki szczelne, nazywane potocznie „larsen". Tego typu konstrukcja miała wiele zastosowań, tutaj miała zapobiec erozji brzegu w kanale fortecznym 803 oraz jego zamuleniu przez nurt rzeki.

Ścianki szczelne w drewnianej formie stosowano już w XIX wieku. Ale dopiero z 1917 r. pochodzi ich stalowy wariant, oczywiście użyty na frontach I wojny światowej, gdzie były wykorzystywane w budowie podziemnych schronów. Stalowe profile są wykonane z blachy o grubości około 10 mm i wbijane na głębokość do 20 m. Krawędzie boczne takich „pali stalowych" (czyli brusów lub grodzic) są wyposażone w gięte lub walcowane profile nazywane „zamkiem", które służą do mechanicznego łączenia dwóch sąsiednich brusów (stosowano także łączenie osobną listwą-zamkiem). To mechaniczne połączenie zwiększa wytrzymałość

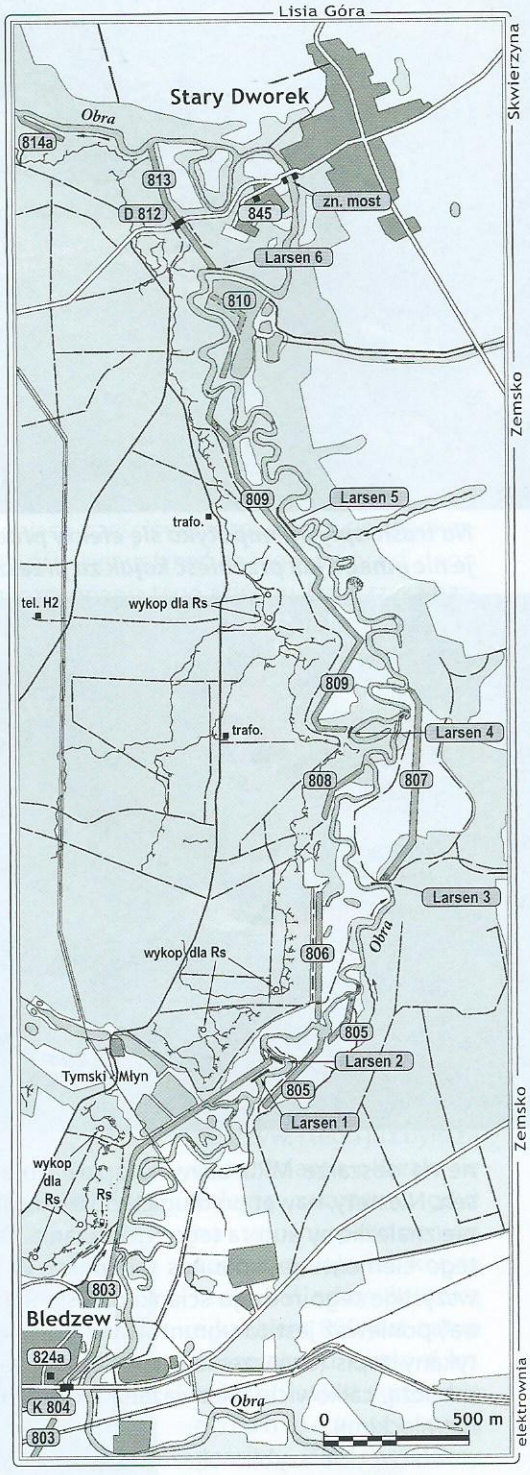

Mapa doliny Obry pomiędzy Bledzewem i Starym Dworkiem. Opracowanie merytoryczne Autorów, kreślił J. Sadowski.

ściany szczelnej na nacisk wody lub gleby i poprawia szczelność ściany. Niemieccy saperzy forteczni wykorzystywali dwa rodzaje takich grodzic: typ Hoesch, gdzie brusy o profilu zbliżonym do litery „S" ustawiane były naprzemiennie oraz typ Larssen, gdzie brusy o narysie płaskiej litery „U" wbijane są przeciwstawnie (stosuje się także profile Hoesch z zamkiem typu Larsen). Forteczne budowle hydrotechnicz-

Na trasie spływu napotyka się efekty pracy bobrów i nie pozostaje nic innego jak przenieść kajak za przeszkodę...

ne na obszarze MRU używały przeważnie grodzic typu Larsen. Niestety, nawet po długich poszukiwaniach w internecie nie znaleźliśmy autora tego rozwiązania. Dlatego oznaczenie tego elementu jest dla nas tajemnicą. W tekście będą więc wszystkie tego rodzaju ścianki określane jako „ścianki Larsena", ponieważ jest to ugruntowane pojęcie i najczęściej spotykany zapis (oznaczenia ścian Larsena są naszą numeracją roboczą, całkowicie niezwiązaną z oficjalnymi oznaczeniami niemieckimi).

Na wodzie szybko okazuje się, że ta informacja o ściankach szczelnych na pewno będzie przydatna, ponieważ tuż za zakolem rzeki, na końcu kanału 803, trafiamy na Larsen nr 2, aczkolwiek wykonany z profili typu Hoesch. Tę ściankę wbito w taki sposób, aby chroniła brzeg rzeki tuż przed pierwotnym ujściem kanału 803. Dlaczego tak? Tego nie wiemy. Dalej rzeka płynie naturalnym korytem do miejsca połączenia dwóch ślepych kanałów. Pierwszy, nr 806, kieruje się na północ. Drugi, nr 805, prowadzi na południowy-zachód. Ślepe kanały nie oznaczają kanałów nieukończonych. Jedynie woda w nich nie płynie, więc nie może zmienić koryta lub nanieść mułów, a tworzą skuteczną przeszkodę.

Zanim zbadamy kolejne kanały forteczne warto na chwilę opuścić kajak i popatrzeć na wysoki lewy brzeg. Z przewyższeniem kilkudziesięciu metrów wychodzą nad rzekę kilometry okopów, stanowisk strzeleckich dla ckm, ziemnych działobitni dla armat ppanc. oraz punktów ogniowych dla moździerzy. To w drugiej połowie 1944 r., w ramach budowy OKH-Stellung, przygotowano rozległe fortyfikacje polowe, a nad Obrą biegła przedostatnia przed Berlinem linia obrony – „d 2". Za nią była już tylko pozycja „e", poprowadzona wzdłuż Odry i Nysy Łużyckiej. Dziesiątki tysięcy miejscowych obywateli, uchodźców ze wschodu, robotników przymusowych i jeńców, dzieci od 9 lat aż po 90-letnich starców, kopało „ostatni wał" przeciw zbliżającej się Armii Czerwonej. Wiadomo, że na odcinku Bledzew-Stary Dworek powstała wtedy tylko jedna żelbetowa budowla – Ringstand nad kanałem 803 – lecz my myślimy, że znamy przybliżone położenie innych planowanych tu obiektów. Do fortyfikacji polowych należą m.in. wielkie wykopy z charakterystycznym prostokątnym narysem, o których sądzimy, że są to wykopy dla małych betonowych stanowisk bojowych do ognia okrężnego, typu Ringstand 58c (potocznie nazywanych „tobruki"). Wykopy z uwagi na kształt są bardzo charakterystyczne, a na południowy-wschód od Skwierzyny, na dnie takiego wykopu, znaleźliśmy betonową płytę ze słupkami dystansowymi pod szalunek Ringstanda. Dlatego można odrzucić opinie, że są to planowane ziemianki. W wielu przypadkach na MRU budowano Ringstandy w miejscu wcześniej planowanych Werków, a na tym 4 km odcinku nie zdążono zbudować ani jednego pancerwerka! Dlatego przypuszczamy, że spośród 12-15 planowanych tu A-, T- i B-Werków, na odcinku Bledzew-Tymski Młyn można wskazać miejsce planowanej budowy trzech ciężkich obiektów, a dwa lub trzy kolejne takie miejsca na odcinku Tymski Młyn-Stary Dworek. Dla tych ostatnich dzieł wykonano magistralę kablową H tajnej fortecznej sieci telefonicznej z przełącznicami H1 i H2. Jednocześnie na odcinku Tymski Młyn-Stary Dworek zbudowano dwie forteczne stacje transformatorowe, o których będzie jeszcze mowa.

Wracamy na rzekę. Przed sobą mamy już wspomniane kanały nr 806 i 805. Numery tych kanałów fortecznych pochodzą z mapy organizacji obrony OKH-Stellung d-2 na odcinku FF OWB, wykonanej w 1944 r. na mapie inwentaryzacyjnej fortyfikacji – jednego z najważniejszych dokumentów archiwalnych dotyczących tych umocnień. I chociaż mapa zawiera szereg nieścisłości i błędów, obecnie jest to jedyny dokument z numeracją obiektów MRU. Ujście kanału nr 806 jest częściowo zarośnięte i wygląda jak ślepa odnoga. Turysta pragnący obejrzeć te kanały forteczne musi mieć szczegółową mapę rzeki, inaczej szybko się zagubi we wszystkich tych zakolach i ślepych odnogach. Ponieważ już staliśmy się doświadczonymi wioślarzami, spływ krętym korytem Obry nie stanowił problemu. Pokonaliśmy wiele tych meandrów, kolejny raz przenieśliśmy kajak, i przed nami pojawiła się kolejna ścianka Larsena, za którą znajduje się koniec kanału 807. Jest to typowy przykład wspomnianego już oddzielenia kanału od rzeki, dla likwidacji przepływu przez jego koryto. Na mapie ta ściana oznaczona jest jako Larsen nr 3. Na brzegu, pomiędzy ścianką Larsena a końcem kanału 807 przebiega droga, która umożliwia gospodarcze wykorzystanie półwyspu zawartego między rzeką i kanałem fortecznym. Ponieważ jest to miejsce łatwo dostępne, np. z wioski Zemsko, na brzegu znajdujemy ślady improwizowanego biwaku i ogniska. Jeśli nie chcemy przeno-

sić kajaka na wody kanału, należy płynąć dalej z nurtem Obry. Podczas poszukiwania kolejnego kanału fortecznego o nr 808, musimy uważać, ponieważ jego ujście jest zarośnięte trzciną, a przy odrobinie szczęścia możemy podziwiać kwitnące tu lilie wodne. Kanał nie jest zbyt długi, ale jego końcówka zbliża się bardzo do rzeki, w którym to miejscu, co dziwne, brak ścianki wodoszczelnej. Ale jak mówi stare przysłowie: wyjątek potwierdza regułę. Musimy jednak kontynuować spływ po rzece, gdyż spodziewamy się dalszych odkryć.

Kierując się mapą, skręcamy, aby rozpoznać ślepe ramię prowadzące w lewo. W tym momencie załogi przepływających obok kajaków informują nas, że płyniemy źle – ale nielogiczność jest tylko pozorna. To ramię przed swym końcem skręca następnie o 180°, a na początku tego łuku znajduje się ścianka Larsena oznaczona na mapie nr 4. Owa ślepa odnoga była kiedyś głównym korytem, ale już przed dziesiątkami lat rzeka skróciła swój bieg. Rozległe namulisko oddziela starorzecze od obecnego koryta i jest mocno zarośnięte drzewami. Wpływamy więc na spokojne wody starorzecza, a idyllyczność tego miejsca podkreśla łabędzia rodzinka prowadząca swoje młode. Jest też forteczna ciekawostka, dla której tu przypłynęliśmy – ścianka Larsena nr 4, która miała uniemożliwić rzece zmianę koryta i przerwanie nurtu do kanału fortecznego nr 809. Ścianka ta należy do najkrótszych na tym odcinku rzeki, a ponadto jest nietypowo zagięta. Między ścianką a końcem kanału 809 jest droga prowadząca na rozległy półwysep, który nie jest już używany gospodarczo, i pozostaje we władaniu przyrody. Niestety, przy tym mapowaniu rzeki oraz lokalizowaniu ścianek Larsena nie mierzyliśmy ich długości, dlatego że nie mieliśmy na to czasu, a na końcu spływu nie mielibyśmy już na to siły…

W tym miejscu warto rozważyć zejście na brzeg, gdyż w pobliżu jest jeden z obiektów zaplecza fortyfikacji. Około 500 m na zachód znajduje się jedna z dwóch fortecznych stacji transformatorowych zbudowanych na odcinku Bledzew-Stary Dworek, dla przyszłych dzieł bojowych. Wiemy, że nie jest zbyt znana. Wiemy także, że nie istnieją dobre mapy tego odcinka fortyfikacji, tak więc w szukaniu tegoż obiektu może pomóc nasz artykuł. Podziemna komora transformatora znajduje się co prawda przy łatwym do odszukania skrzyżowaniu leśnych dróg, lecz na terenie uprawy leśnej, więc ukryta jest pomiędzy młodymi drzewkami. Dlatego nie oczekujcie, że ją łatwo znajdziecie – pani przyroda starannie ją zamaskowała, a ponad poziom ziemi wystaje tylko szczyt prowizorycznej drabiny. Poznając MRU zyskaliśmy przeświadczenie, że wszystkie obiekty wojskowe były połączone doskonałą siecią telefoniczną i nie inaczej będzie z tą stacją transformatorową. Najprawdopodobniej była połączoną kablem z przełącznicą H2 i przez przełącznicę H1 oraz H, z główną linią fortecznej sieci telefonicznej.

Wrócimy jednak do spływu Obrą oraz poznawania kanałów fortecznych. Płynąc dalej zaliczyliśmy trzecie przenoszenie kajaków, a po kolejnym zakręcie rzeki dotarliśmy do początku kanału fortecznego nr 807. Niestety, jego ujścia broni podejrzanie wyglądająca, częściowo rozpadająca się, wędkarska kładka, więc nie dało się wpłynąć na jego wody i dlatego zrezygnowaliśmy z rozpoznania tego akwenu. Dalej rzeka bardzo zygzakuje, ale z kajaków tego nie odczuwaliśmy. Wysoka trawa na obu brzegach zasłania wszelkie widoki, a przenoszenie kajaków w tym „zielonym piekle" nie było zbyt zabawne. Na lewo od nas prowadzi długi kanał nr 809, ale nawet gdyby był tam ocean, nie wiedzielibyśmy o nim. Tak było do momentu, gdy z lewej strony pojawił się długi rząd profili Larsena, który na mapie oznaczyliśmy cyfrą 5. Wyszliśmy na brzeg (który to już raz?), i pokusiliśmy się zmierzyć krokami jej długość. Jednakże władca tutejszej „dżungli" postawił na naszej drodze… plantację pokrzyw, i tego już było za dużo. Ścianka okazała się kolejną załamaną, gdyż na swoim północnym końcu kopiuje łuk koryta rzeki. Między ścianką a kanałem 809 jest nasyp o szerokości około 6 m, który od lat jest skutecznie chroniony stalową grodzą. Zastanawiamy

Ścianka Larsena (lecz z profili typu Hoesch) oznaczona na mapie nr 2 chroni koniec kanału 803. Jego zarośnięty koniec na fotografii jest po prawej stronie blachownic. My płyniemy oczywiście z nurtem rzeki w lewo.

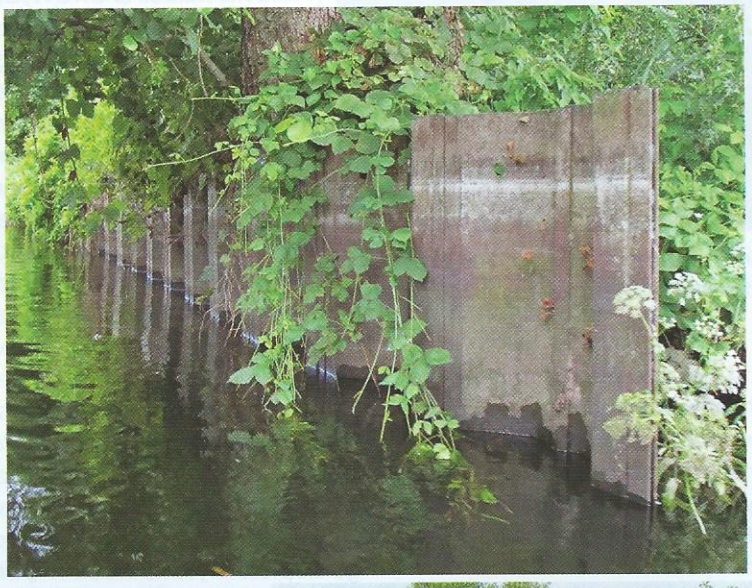

W tym przypadku destrukcyjna siła Obry (?) była silniejsza od stali, i ścianka szczelna jest powalona na 1/3 długości na dno rzeki. Na mapie miejsce to jest oznaczone nr 1.

Na tym nadobrzańskim odcinku MRU do dziś są dobrze widoczne miejsca przygotowane do budowy Ringstandów. Na zdjęciu Libor Martinů występuje w roli skali o wys. 188 cm. Mimo upływu wielu lat głębokość tego prostokątnego wykopu wynosi około 2,5 m.

dobnie nie został dokończony, ponieważ jego głębokość, przy ponad 20 m szerokości, wynosi tu tylko 1 m. I chociaż chodzi o spory odcinek kanału fortecznego, a więc budowlę liczącą już 80 lat, na współczesnych polskich mapach miejsce to nie jest zaznaczone (na marginesie można dodać, że dno jest tu pięknie piaszczyste, a miejsce jest idealne do pływania i kąpieli). Oczywiście ten „nowo odkryty" odcinek nanosimy na naszej zaktualizowanej mapie. A jeśli ze Starego Dworku pójdziecie się tu wykąpać, to przedłużcie swoją wędrówkę o parę-set metrów, aż do drugiej fortecznej stacji transformatorowej na tym odcinku. Ten żelbetowy obiekt ma klasyczne poziome wejście i znajduje się blisko od drogi, po jej zachodniej stronie.

Ścianka Larsena oznaczona na mapie nr 4 należy do najkrótszych na tym odcinku rzeki. Ponadto jest nietypowo zagięta, a miejsce to wskazuje strzałka.

Ponownie wracamy na rzekę i płyniemy dalej, szukając kanału numer 810. Okazało się, że to nie takie proste, gdyż w miejscu gdzie miał być jego północny koniec, jest tylko wysoka na 4 m skarpa i jakaś pompa. W tym momencie myśleliśmy, że się zgubiliśmy. Lecz już kilkadziesiąt metrów dalej trafiliśmy na kolejną ściankę Larsena (nr 6), więc szybko okazuje się, że nie popełniliśmy błędu w nawigacji. Niestety, po wielu godzinach na wodzie nikt nie miał sił znowu wydostać się na brzeg, dlatego zagadkę rozwiązaliśmy dopiero w domowym zaciszu, przy pomocy satelitarnych fotografii z Google. Okazało się, że na prawym brzegu rzeki został wykonany wielki staw hodowlany, który wchłonął większą część kanału 810 (nad ten staw wybraliśmy się już przy innej okazji). Ostatnia ścianka Larsena, na mapie oznaczona cyfrą 6, ma trochę inne zadanie, niż pozostałe podobne ścianki opisywane w tym artykule i może stanowić brakujący na archiwalnej mapie „obiekt hydrotechniczny nr 811". Ta ścianka tworzy próg przelewu na brzegu rzeki, gdyż poziom wody w kanale nr 813 jest niżej niż nurt Obry, a od strony niskiej wody wzmacnia ją płaszcz kamienny. Gdyby nie owa przegroda Obra oczywiście opuściłaby swoje stare koryto i popłynęła nowo wykopanym kanałem. Fortyfikacje przy moście przez Obrę, czyli zapory i szlaban przeciwpancerny oraz stare stanowisko Hindeburgstand 521 (później Pak- und MG-Unterstand 845) straciłyby rację bytu z powodu wyschniętej rzeki. Dlatego dopiero wysoka woda w Obrze przelewa się przez niższą część ścianki i po kamieniach spływa do kanału 813, na którym znajdziemy interesujący most zwodzony D 812 w Starym Dworku, w ostatnich latach odnowiony i obracany jako atrakcja turystyczna. Eksploratorom Obry po dopłynięciu do miejsca zakończenia spływu w Starym Dworku, ukaże się jeszcze widok fragmentów mostu naprzeciw stanowiska „Hindeburgstand" nr 521. Most został spalony w końcu stycznia 1945 roku. Na prawym brzegu do dziś stoi konstrukcja szlabanu przeciwpancernego, a na lewym brzegu żelbetowy blok przeszkody przeciwpancernej.

się kolejny raz „dlaczego", gdyż jeszcze nie rozumiemy tych, z pewnością finansowo i technicznie wymagających budowli hydrotechnicznych, i przeprowadzonych onegdaj korekt rzeki. Długość ścianki Larsena osłaniającej brzeg kanału 809 wynosi około 150 m, a kto nie wierzy, niech idzie to zmierzyć. Interesujące jest także, że kanał 809 w północnej części prawdopo-

Betonowy obiekt stacji transformatorowej w rejonie Starego Dworku znajduje się wprost przy leśnej drodze.

Z rzeki bardzo dobrze widać, że ścianka Larsena nr 6 (profile typu Larsen) tworzy próg przelewu na brzegu Obry.

Turystom podróżującym rzeką, po dopłynięciu do Starego Dworku, pokaże się widok na pozostałości mostu spalonego w 1945 roku. Na prawym brzegu stoją przyczółki szlabanu przeciwpancernego, na lewym brzegu znajduje się blok drogowej zapory przeciwpancernej z otworami do wkładania odcinków szyn kolejowych.

Spływ Obrą odsłonił nam mało znane, a nawet zupełnie nieznane elementy linii fortyfikacji MRU. Pozornie są to tylko fragmenty, jednak w kontekście innych faktów dokumentuje to znaczenie jakie projektanci tych fortyfikacji przypisywali przeszkodom wodnym. Oczywiście podobne, szczegółowe badania MRU trwają wiele lat i w zasadzie nigdy nie będzie można powiedzieć, że są kompletne.

Prośba do czytelników na zakończenie; każdy człowiek patrzy inaczej. Dlatego będziemy bardzo zobowiązani, gdy nas poinformujecie o swoich spostrzeżeniach, których w tym artykule nie znaleźliście. Kontakt do nas oraz wszelką korespondencję redakcja „Odkrywcy" przekaże z przyjemnością.

Post scriptum

W lutym tego roku, z naszym przyjacielem i współpracownikiem, leśniczym Andrzejem Rysiem, jechaliśmy przez Stary Dworek do leśniczówki w Bledzewku i ze zdumieniem oraz przerażeniem stanęliśmy nad wielką jamą, znajdującą się w miejscu, gdzie kiedyś był przyczółek starego mostu z podstawą szlabanu przeciwpancernego. Ten sam los spotkał też przyczółek z zaporą drogową. Od Andrzeja dowiedzieliśmy się, że w tym miejscu budowany jest nowy most o nośności 30 ton, ponieważ „tymczasowy", powojenny musi zostać rozebrany. Pomimo że MRU to historyczne już zabytki fortyfikacji, to ani konserwator zabytków, ani pracownicy Muzeum Fortyfikacji z Pniewa nie wiedzieli, że im budowlańcy bez jakiejkolwiek informacji zniszczyli kolejne forteczne obiekty. Na tym króciutkim odcinku MRU są to kolejne, po kanale nr 810, zlikwidowane budowle obronne mające być chronionym dziedzictwem kultury. Niestety, stalowe przyczółki szlabanu przeciwpancernego, wraz z potężnymi blachownicami podstawy, o szacowanej wadze 15 ton, zamiast znaleźć miejsce w muzeum skończyły na złomowisku, natomiast zaporę drogową zamieniono w betonowy gruz. A miłośnikom fortyfikacji poznającym nadobrzańskie kanały i umocnienia MRU, nie pozostaje nic innego, niż rozpaczać nad starymi fotografiami (np. z tego artykułu) i zapytać: Jak to jest możliwe?

Petr Suchánek, Libor Martinů

To najwybitniejsi czescy badacze fortyfikacji MRU i rezerwatu nietoperzy, prowadzący od lat szczegółową inwentaryzację terenową materialnych pozostałości tych fortyfikacji. Na podstawie swoich badań opublikowali wraz z kolegami dwa zeszyty prezentujące tzw. Pętlę Boryszyńską oraz Grupę Warownq „Scharnhorst".

REKLAMA

Pistolety i rewolwery w armiach I wojny światowej (cz. 2)

Kieszonkowa artyleria Jego Królewskiej Mości

TEKST: PIOTR GALIK

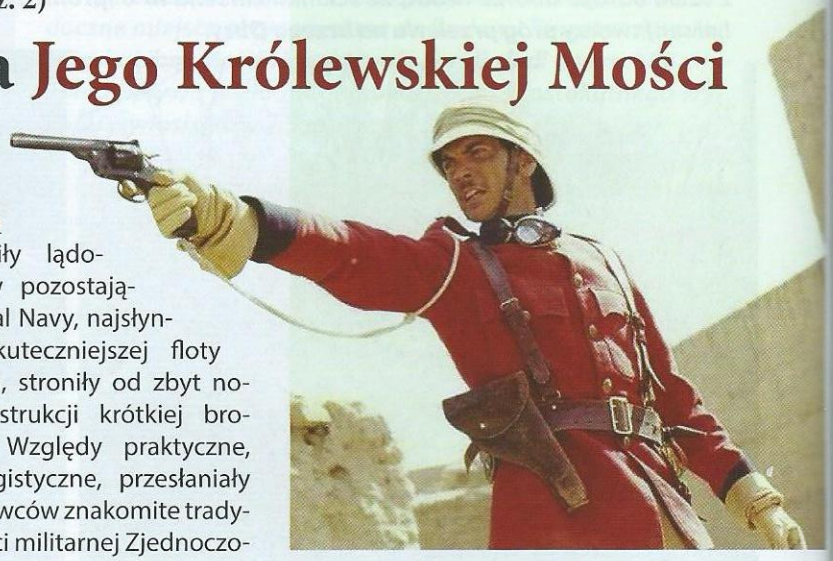

Na początku XX wieku w światowej lidze mocarstw bezdyskusyjnie pierwsze miejsce należało do Imperium Brytyjskiego, „nad którym nie zachodziło słońce". Ogromny potencjał ekonomiczny i polityczny Zjednoczonego Królestwa i jego zamorskich posiadłości, nie znajdował jednak odzwierciedlenia w liczebności wojsk lądowych. W przeciwieństwie do obywateli innych europejskich państw, Brytyjczycy nie musieli odbywać obowiązkowej służby wojskowej. Zaciąg ochotniczy i długoletnia służba zawodowa pozwalały wprawdzie na znakomite wyszkolenie żołnierzy, lecz armia – w proporcji do ilości mieszkańców kraju – była nieliczna. Po wybuchu wojny, oprócz „starego wojska", na front trafiali także ochotnicy z „Pal's Battalions" – batalionów terytorialnych (większość młodych mężczyzn z mniejszych miast i wsi lub z wielkomiejskich fabryk – społeczna presja moralna na uchylających się od zaciągu bywała nieznośna!), żołnierze z krajów kolonialnych, a od 1916 roku także poborowi, zobowiązani do służby wojskowej ustawą Military Service Act. W efekcie niespełna ćwierćmilionowe przedwojenne siły zbrojne rozrosły się do ponad pięciu milionów, a więc blisko jednej czwartej ówczesnej męskiej populacji kraju.

Epoka Webleya

Brytyjskie siły lądowe, od wieków pozostające w cieniu Royal Navy, najsłynniejszej i najskuteczniejszej floty wojennej świata, stroniły od zbyt nowatorskich konstrukcji krótkiej broni strzeleckiej. Względy praktyczne, a zwłaszcza logistyczne, przesłaniały w oczach sztabowców znakomite tradycje wynalazczości militarnej Zjednoczonego Królestwa, gdzie zrodziły się tak epokowe wynalazki, jak zamek kapiszonowy, czy działo gwintowane ładowane odtylcowo. Na Wyspach nie brakowało utalentowanych rusznikarzy, pracujących nad udoskonaleniem broni palnej. Jednak tylko nieliczni zdołali przekonać zachowawcze kręgi wojskowe do swoich propozycji. W okresie największego rozkwitu Imperium Brytyjskiego oficerowie i starsi podoficerowie brytyjskich wojsk lądowych nabywali broń osobistą we własnym zakresie. Doświadczenia wojen kolonialnych wskazywały, że powinna ona mieć znaczną siłę rażenia, a zwłaszcza dysponować dużą siłą obalającą, powodującą, że przeciwnik po trafieniu pociskiem powinien zostać natychmiast wyeliminowany z walki. Zdarzało się bowiem niejednokrotnie, że wojowniczy mieszkańcy podbitych krajów mimo ciężkich, wręcz śmiertelnych ran postrzałowych, byli w stanie dopaść strzelca i ugodzić go bronią białą. Stąd powodzeniem wśród brytyjskiej armii cieszyły się konstrukcje strzelające pociskami dużego kalibru, wykonywanymi z nieutwardzonego ołowiu, „grzybkującymi", czyli zwiększającymi jeszcze swoją średnicę w chwili uderzenia o ciało przeciwnika. Duża energia kinetyczna pocisku powodowała także dodatkowe obrażenia wewnętrzne oraz – zwłaszcza w walce na mały dystans – dosłownie zbijała trafionego z nóg.

Naprzeciw tym oczekiwaniom wychodziły propozycje różnych producentów broni. Początkowo sukces odniosła wytwórnia Enfield, której rewolwer opracowany przez Owena Jonesa został w 1880 roku uznany za standardową broń boczną w wojskach lądowych. Wkrótce jednak wyszły na jaw wady tego wzoru – kłopotliwe okazało się zwłaszcza usuwanie łusek i ponowne ładowanie bębna nabojowego, a sam na-

Amunicja rewolwerowa Webley kalibru .455 cala, widoczne różne warianty pocisku, łącznie z kontrowersyjnym grzybkującym Mk III („Dum-Dum" lub „Manstopper"), morderczo skutecznym i zakazanym mocą Konwencji Haskiej do użytku wojskowego, lecz stosowanym powszechnie w koloniach Imperium Brytyjskiego.

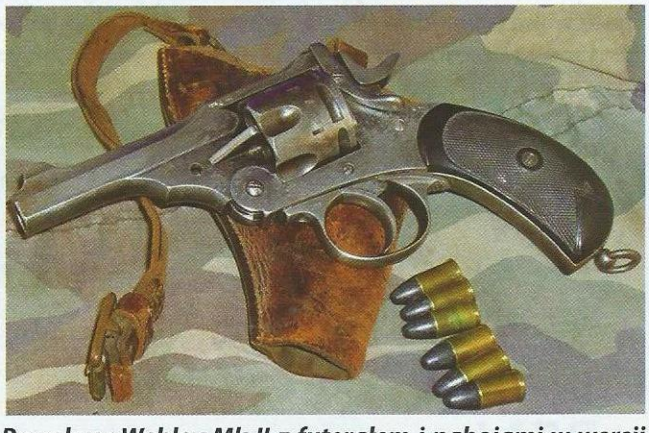

Rewolwer Webley Mk II z futerałem i nabojami w wersji dozwolonej prawem wojennym.

Webley Mk V, dostosowany konstrukcyjnie do nowoczesnej, silniejszej amunicji wykorzystującej proch bezdymny. Cechą charakterystyczną tego i wcześniejszych modeli broni, był nieco archaiczny kształt chwytu, nawiązujący do stylistyki dawnych pistoletów skałkowych i kapiszonowych.

Typowe oznakowanie wojskowych egzemplarzy rewolwerów Webley. Strzałka zwrócona grotem ku górze to symbol War Department, brytyjskiego Ministerstwa Wojny, którym pieczętowano wszelkie elementy wyposażenia sił zbrojnych.

Skórzane futerały rewolwerów Webley – wersja „polowa" z odkrytym chwytem, ułatwiająca dobycie broni, i wersja „kolonialna", lepiej chroniąca rewolwer przed deszczem tropików i pyłem pustynnym...

bój Enfielda, o kalibrze „zaledwie" 11,6 mm, uznano za zbyt słaby. Tak więc już po kilku latach rozpoczęto poszukiwania nowej broni na potrzeby wojska. Niepowodzenie konkurencji wykorzystała wówczas fabryka P. Webley & Sons (od 1897 po połączeniu z zakładami W. Scott & Sons pod nazwą Webley & Scott) istniejąca od XVIII wieku w Birmingham. Wytwarzany przez nią już wcześniej rewolwer Webley No. 1, strzelający nabojami o kalibrze takim, jak standardowy wówczas karabin piechoty: 14,6 mm (.577 cala), mimo znacznego ciężaru i wymiarów był chętnie kupowany przez kadrę dowódczą królewskich sił zbrojnych z racji wielkiej siły rażenia. Sukces tej konstrukcji zapoczątkował „epokę Webleya", trwającą od 1887 do 1963 roku. Następcą „No. 1" stał się „rewolwer służbowy wzoru pierwszego", czyli Webley Ser-

Mundur mjr. Królewskiej Artylerii z alternatywnie przenoszonym futerałem rewolweru – po lewej stronie pasa. Po prawej widoczna skórzana ładownica na naboje.

Młody ppor. wojsk inżynieryjnych z rewolwerem Webley w dłoni. Dobrze widoczny sznur („smycz") zabezpieczający broń przed zgubieniem. Futerał zamocowany po prawej stronie pasa głównego.

Ostatni model rewolweru Webley, Mk VI, jest łatwo rozpoznawalny dzięki odmiennie ukształtowanej rękojeści.

Webley Mk VI w wersji szturmowej z bagnetem (przeróbka francuskiego bagnetu do karabinu Gras, opatentowana 29 XI 1916 r. przez ppor. Arthura Pritcharda).

Webley Mk VI w odmianie karabinkowej z bagnetem i dołączaną kolbą.

vice Revolver Mk I o kalibrze .455 cala czyli 11,56 mm. Od swojego poprzednika różnił się przede wszystkim mechanizmem otwierania („łamania") szkieletu broni, opracowanym przez Charlesa Pryse'a. Dzięki zawiasowi możliwe było po wystrzeleniu naboi opuszczenie lufy wraz z bębnem ku dołowi, z jednoczesnym wypchnięciem pustych łusek z komór nabojowych za pomocą specjalnego wyrzutnika. Tym samym ponowne załadowanie bębna stawało się łatwiejsze i szybsze niż w rewolwerach o stałym korpusie. Broń opatrzona była mechanizmem spustowym „podwójnej akcji", czyli z możliwością napinania kurka bezpośrednio lub poprzez dłuższą drogę języka spustowego. Rewolwer okazał się także odporny na zanieczyszczenia, nieuniknione w warunkach wojennych. Wraz z realizacją zamówień rządowych (państwo przejęło wówczas rolę dostawcy oficerskiej broni osobistej) firma starała się zaspokoić rosnący popyt na rynku cywilnych użytkowników broni. Tak więc oprócz modeli typowo militarnych firma Webley oferowała warianty swoich rewolwerów o różnych długościach lufy (3, 5 i 6 cali, model wojskowy miał lufę czterocalową) oraz o mniejszym kalibrze. Z czasem, pod wpływem krytycznych uwag użytkowników, wprowadzano drobne korekty konstrukcyjne (Mk II 1894, Mk III 1897 i Mk IV 1899 r.), między innymi dotyczące budowy kurka oraz wzmocnienia bębna nabojowego, związane z przejściem na naboje elaborowane tzw. prochem bezdymnym, o większej mocy miotającej. Dostosowany do nowej amunicji rewolwer nosił oznaczenie Mk V i wraz z późniejszym modelem Mk VI stał się podstawowym typem osobistej broni palnej podczas I wojny światowej. Wymogi pola walki spowodowały, że brytyjskie siły zbrojne wprowadziły broń krótką do szerszego niż wcześniej użytku. O ile przed rokiem 1914 rewolwer stanowił symbol wyjątkowego statusu dowódcy, zazwyczaj oficera, to w czasie wojny trafił także do rąk szeregowych żołnierzy, zwłaszcza w oddziałach karabinów maszynowych, grupach szturmowych (raiders), lotnictwie, marynarce wojennej oraz w rozbudowywanych coraz bardziej broniach technicznych. Skokowy wzrost zapotrzebowania na broń krótką sprawił, że oprócz „miłościwie panującego" rewolweru Webleya w różnych wersjach do użytku trafiły liczne inne modele broni krótkiej, także te już dawno uznane za przestarzałe, jak Enfield Mk. I z roku 1880, czy produkowane dla irlandzkiej policji rewolwery RIC (Royal Irish Constabulary). Specyficznym, wojennym wariantem Webleya była odmiana szturmowa, dozbrojona bagnetem (!) i dołączaną kolbą. Tak „podrasowana" broń budziła respekt już samym wyglądem, a w rękach doświadczonego trench raidera stanowiła naprawdę śmiercionośny oręż...

Pistolet samopowtarzalny Webley w wersji cywilnej (bez bezpiecznika chwytowego) i w odmianie wojskowej (z bezpiecznikiem; ujęcie chwytu pistoletu powodowało automatyczne odbezpieczenie broni).

Ni pies, ni wydra, czyli hybryda Fosbery'ego

Wśród niedocenionych konstrukcji pozostał nawet niezwykły wynalazek Williama George'a Fosbery'ego, w jednej osobie weterana wojen kolonialnych, odznaczonego najwyższym orderem za waleczność – Krzyżem Wiktorii, oraz utalentowanego wynalazcy. Broń samopowtarzalna jego konstrukcji, opatentowana w roku 1895, a znana jako Webley Fosbery Automatic Revolver (rewolwer automatyczny Webley-Fosbery) wychodziła naprzeciw preferencjom generalicji, faworyzującej rewolwery kosztem pistoletów samopowtarzalnych nowej generacji. Oręż Fosbery'ego był swego rodzaju połączeniem obu typów uzbrojenia – zachowywał tak miłą oku brytyjskiego oficera archaiczną formę bębenkowca, oferując zarazem jego samoczynne przeładowanie. W przeciwieństwie bowiem do zna-

nych i powszechnie stosowanych rewolwerów o tak zwanej podwójnej akcji (double action), obrót bębna i napięcie kurka odbywały się nie za sprawą wysiłku strzelca, który musiał poprzez nacisk palca na język spustowy lub bezpośrednio na kurek uruchomić odpowiedni mechanizm. W broni Webley-Fosbery w tym celu wykorzystano energię odrzutu, przemieszczającego górną część szkieletu rewolweru z lufą, bębnem nabojowym i kurkiem względem części dolnej z chwytem i urządzeniem spustowym. Posuwisto-zwrotny ruch tego specyficznego mechanizmu zamkowego powodował obrót bębna o jedną szóstą obwodu (mieścił on sześć komór nabojowych) i napięcie kurka. Do oddania kolejnego strzału wystarczył już tylko lekki nacisk na język spustowy. Trzeba dodać, że automat Fosbery'ego pozwalał na stosunkowo szybkie przeładowanie bębna, gdyż górna, pracująca część szkieletu broni była otwierana („łamana"), z jednoczesnym uruchomieniem wyrzutnika łusek, a zapasową amunicję wkładano do komór bębna łatwo i przy użyciu specjalnych ładowników z nabojami w odpowiednich odstępach („speedloader"). Dzięki temu rewolwer cechował się wysoką szybkostrzelnością i znakomitą celnością. Broń była opracowana z myślą o standardowym naboju do broni krótkiej brytyjskich sił lądowych kalibru 11,56 mm (czyli .455 cala), z odkształcającym się łatwo pociskiem ołowianym, powodującym spustoszenie w ciele trafionego przeciwnika. W efekcie rewolwer ten stanowił nadzwyczaj skuteczny oręż w walce na niewielki dystans, a takie właśnie miało być zastosowanie krótkiej broni palnej. Wojskowi wskazali jednak na ujemne strony broni: była zbyt ciężka (ok. 1250 gramów bez amunicji), a precyzyjny mechanizm był podatny na zacięcia w wyniku zabrudzenia, trudnego do uniknięcia w warunkach bojowych. Problemem mogła być także niedostateczna jakość

Urządzenie do szybkiego ładowania bębna – „speedloader" – znakomicie poprawiało szybkostrzelność broni.

amunicji, spotykana podczas masowej produkcji w czasach wojennych. Zbyt niska energia ładunku miotającego naboju mogła nie wystarczyć do prawidłowego zadziałania automatyki broni. Poza tym rewolwer wymagał znacznej siły do naciągnięcia kurka przed pierwszym strzałem, zazwyczaj trzeba było to robić oburącz. Konstruktor przewidział, że w warunkach bojowych może być to zbyt kłopotliwe, opracował zatem specjalny bezpiecznik nastawny, który pozwalał na odwiedzenie kurka przed walką i zabezpieczenie rewolweru przed nieumyślnym odpaleniem. W sumie trudno się dziwić, że broń ta nie zyskała uznania u wojskowych. Negatywna decyzja władz nie zniechęciła wynalazcy, w kolejnych latach opracował on bowiem kilka nowych wersji swojego rewolweru, dostosowanych do „cywilnych" naboi .38 cala (9 mm), z myślą o prywatnych nabywcach, a zwłaszcza miłośnikach strzelectwa sportowego. W okresie 1901-1915 wyprodukowano ponad 4700 egzemplarzy tej niezwykłej broni, która w wyniku mobilizacyjnego „głodu rewolwerowego" trafiła także na front, potwierdzając obawy co do wrażliwości na zanieczyszczenia.

Niechciane dzieci, czyli brytyjskie pistolety automatyczne

Dominacja rewolwerów jako konstrukcji sprawdzonych i uznanych za wystarczająco zaspokajające potrzeby wojska sprawiła, że konstrukcje nawiązujące do nowej generacji pistoletów, opracowywanych w Europie i za oceanem, nie znalazły większego zainteresowania na Wyspach Brytyjskich. Pierwszym oferowanym wojsku typem stał się pistolet automatyczny Mars, wytwarzany w zasłużonej fabryce Webley (firmę stać było wówczas na eksperymenty!). Ciężki, duży i strzelający małokalibrowymi pociskami (8,5 później 9 mm) pistolet odstraszał użytkowników wyglądem, a przede

Webley Fosbery – zadziwiająca hybryda rewolweru i pistoletu w wersji podstawowej i po przeróbce na karabinek automatyczny.

Dzięki wyrzutnikowi łusek, który wypychał je z komór nabojowych podczas otwierania („łamania") broni, rozładowanie bębna Webleya było szybkie i bezproblemowe.

wszystkim potężnym odrzutem. Po wykonaniu kilkudziesięciu egzemplarzy testowych w latach 1897-1905 produkcja została wstrzymana. Mimo to wytwórnia broni nie zaniechała prób opracowania własnego wzoru pistoletu, jednak raczej z myślą o nabywcach prywatnych, niż o zamówieniach rządowych. Dlatego też testowano warianty broni dostosowane do amunicji „cywilnych" kalibrów 6,35; 7,62 i 9 mm. Niestety, w porównaniu z konkurencyjnymi pistoletami Browninga, czy wytwórców niemieckich, Webleye nie spotkały się z większym zainteresowaniem nabywców. Wojskowy następca pechowego Marsa, pistolet samopowtarzalny Webley (Webley Self-Loading Pistol) miał więcej szczęścia – został przyjęty do uzbrojenia londyńskiej policji, a po pewnym czasie zamówienie na tę broń złożyła Royal Navy. Podczas wojny pistolet oznakowany już jako Webley No. 1 Mk I, wykorzystujący naboje o standardowym rewolwerowym kalibrze .455 cala, trafił do użytku w lotnictwie i artylerii konnej, gdzie, dzięki dołączanej kolbie, miał zastępować karabinki. Mimo większej niż w przypadku typowych bębenkowców szybkostrzelności (ładowanie poprzez wymianę magazynka w rękojeści) nie zyskał uznania żołnierzy. W przeciwieństwie do rewolwerów wymagał starannego i częstego czyszczenia, gdyż precyzyjny mechanizm broni był wrażliwy na osady powstające w wyniku spalania ładunku miotającego. A poza tym wyglądał tak straszliwie „kontynentalnie"... Ostatecznie nie udało się więc przełamać hegemonii rewolwerów, trwającej w brytyjskich siłach zbrojnych aż do czasów II wojny światowej, a nawet dłużej.

Literatura, ilustracje:
1. I. Hogg, „Broń strzelecka. Przewodnik encyklopedyczny", Poznań 2000
2. F. Myatt, „Pistols and revolvers", London 1980 (edycja polska 1993)
3. J. Lugs, „Handfeuerwaffen", Band 1-2, Praga 1982
4. Military Illustrated, roczniki 1992-2010

REKLAMA

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

Oliver Bullough „Kaukaz. Niech świat rozbrzmiewa naszą chwałą", opr. miękka, str. 592, wyd. Zysk i S-ka. Cena: 38,90 zł

Odważny młody dziennikarz Oliver Bullough rzuca w tej książce światło na jeden z najbardziej zróżnicowanych pod względem etnicznym i kulturowym regionów na świecie. Utwierdza czytelników w przekonaniu, że przemoc i agresja od zawsze wpisane były w niedostępny krajobraz gór Kaukazu i w mentalność zamieszkujących go ludów, bezwzględnych dla tych, którzy chcieliby pozbawić ich wolności i tożsamości. Dlatego też Kaukaz kryje w sobie nie tylko fizyczne piękno, przebogatą tradycję i kulturę, ale i tragedię mieszkańców. Dzięki tej książce ich historie zostały wreszcie opowiedziane.

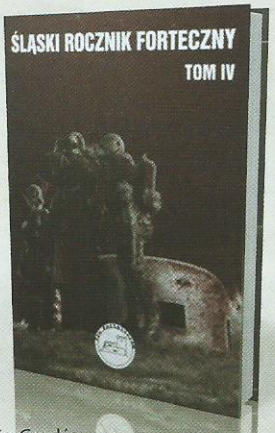

„Śląski Rocznik Forteczny" tom IV, opr. miękka, str. 226, wyd. Pro Fortalicium. Cena: 26,25 zł

W czwartym tomie „Śląskiego Rocznika Fortecznego" znalazły się teksty dotyczące polskich i niemieckich fortyfikacji, a także historii II wojny światowej i okresu powojennego. Niniejszy tom zawiera następujące artykuły: Odporność schronów Obszaru Warownego „Śląsk" z punktu widzenia artylerii Wehrmachtu; Izba muzealna fortyfikacji niemieckich Wału Zachodniego w miejscowości Halberg; Roman Trager – bytomianin, który być może odmienił losy wojny; Kwestia jeńców niemieckich w Będzinie-Grodźcu w latach 1945-1946; Po drugiej stronie lustra. Gen. leut. Hartwig von Ludwiger – bytomianin, którego powieszono w Jugosławii; Po drugiej stronie lustra. Gen. mjr Hellmuth Reymann – człowiek, który miał obronić upadającą stolicę III Rzeszy (czyli Prudnika ciąg dalszy).

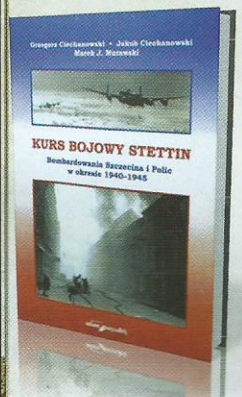

Grzegorz Ciechanowski, Jakub Ciechanowski, Marek J. Murawski „Kurs bojowy Stettin", opr. miękka, str. 268, wyd. Adam Marszałek. Cena: 39,90 zł.

Celem niniejszej książki jest ukazanie działań lotnictwa bojowego aliantów w czasie II wojny światowej nad Großstadt Stettin. Autorzy dokonali również analizy dotyczącej działań obronnych Niemców w opisywanym okresie oraz badali skutki nalotów, jakie dotknęły aglomerację. Choć w książce wielokrotnie użyta jest współczesna, polska nazwa „Szczecin", to należy pamiętać, że podczas II wojny światowej mieszkali tu niemal wyłącznie Niemcy, a miasta leżało na terytorium III Rzeszy. W pracy nad książką korzystano z materiałów dostępnych w archiwach polskich, amerykańskim Air Force Historical Research Agency oraz ze wspomnień naocznych świadków tych wydarzeń.

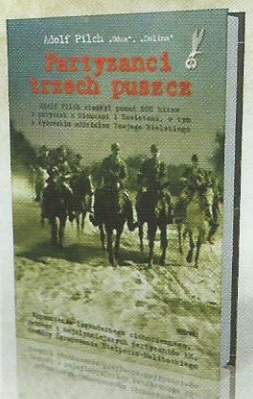

Adolf Pilch „Partyzanci trzech puszcz", opr. miękka, str. 382, wyd. Mireki. Cena: 32,90 zł

Wspomnienia „Partyzanci trzech puszczy" zostały napisane przez jednego z legendarnych Cichociemnych, partyzanta AK, dowódcę Zgrupowania Stołpecko-Nalibockiego – Adolfa Pilcha ps. „Góra", „Dolina". Stoczył on ponad 200 bitew i potyczek z Niemcami i Sowietami, w tym z żydowskim oddziałem Tewjego Bielskiego. Jego oddziały przeszły szlak bojowy wiodący spod starej granicy, z Puszczy Nalibockiej, poprzez Puszczę Kampinoską w lasy Kielecczyzny. We wspomnieniach Pilch opowiada o każdym z tych etapów, szczegółowo opisując przebieg walk. Książka zawiera także wykaz żołnierzy Zgrupowania Stołpecko-Nalibockiego.

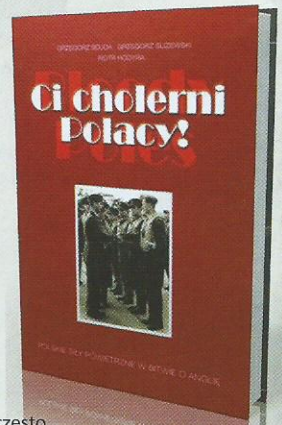

Grzegorz Sojda, Grzegorz Śliżewski, Piotr Hodyra „Ci cholerni Poalcy!", opr. twarda, str. 720, wyd. GRETZA. Cena: 120 zł

„Ci cholerni Polacy!" – to uwaga, jaką w kierunku polskich lotników rzucił brytyjski sierżant nie mogąc z nimi dogadać się w najprostszych sprawach. Po dłuższym czasie sformułowanie to przestało mieć charakter pejoratywny, a stało się synonimem waleczności i zaciętości w walce. Autorzy tej publikacji przypominają zasługi polskich lotników, którzy przyczynili się do odwrócenia losów wojny na Zachodzie. W pracy nad tą monumentalną publikacją sięgnięto do oryginalnych dokumentów, często wcześniej nieznanych. Zapiski sporządzane na bieżąco tam, gdzie rozgrywały się podniebne wydarzenia latem 1940 r., oddają fascynujący obraz Bitwy o Anglię i podkreślają rolę, jaką odegrali w niej polscy lotnicy.

Hubert Królikowski „Geneza i rozwój polskich operacji oraz sił specjalnych", opr. miękka, str. 260, wyd. Taktyka i Strategia. Cena: 58,80 zł

W książce tej Autor udowadnia, że wojska i operacje specjalne są częścią polskiej wojskowości od setek lat. Publikacja przeznaczona jest nie tylko dla żołnierzy i miłośników działań specjalnych, ale także dla decydentów politycznych, którym może ona uświadomić, jakimi narzędziami dysponują realizując politykę bezpieczeństwa. Spis treści: Definicje i właściwości operacji specjalnych; Definicje i właściwości sił operacji specjalnych; Geneza działań nieregularnych i specjalnych; Działania nieregularne od średniowiecza do odzyskania niepodległości; Operacje specjalne, jako narzędzie polityki bezpieczeństwa II Rzeczypospolitej; Polskie działania i formacje specjalne w okresie II wojny światowej; W Układzie Warszawskim; Od Układu Warszawskiego do Sojuszu Północnoatlantyckiego; Wobec wyzwań XXI wieku; Współczesna charakterystyka operacji i zadań sił specjalnych.

Znajdź nas na

www.odk.pl

Przyjdź
na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

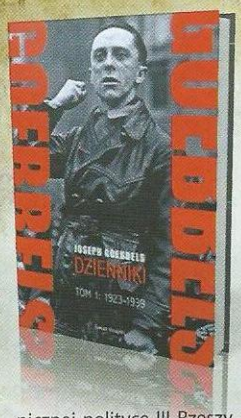

„Joseph Goebbels. Dzienniki Tom 1: 1923-1939" opracował E.C. Król, opr. twarda, str. 810, wyd. Świat Książki. Cena: 64,90 zł

Joseph Goebbels budzi jednoznacznie złe skojarzenia. Minister oświecenia narodowego i propagandy Rzeszy nazywany był często „mordercą zza biurka". Nigdy nie został osądzony za swoje zbrodnie, ponieważ popełnił samobójstwo. Pozostawił po sobie niezwykły spadek –niesłychanie obszerne „Dzienniki", liczące około 36 tys. stron, spisywane regularnie przez kilkadziesiąt lat. W niniejszej pracy dokonano jedynie wyboru niektórych zapisków Goebbelsa – tych dotyczących najważniejszych spraw w wewnętrznej i zagranicznej polityce III Rzeszy. Pozostawiono również fragmenty poruszające wątki polskie. Są one ilościowo skromne, ale niezwykle ważne i interesujące. W pierwszym tomie zamieszczono zapiski Goebbelsa z lat 1923-1939.

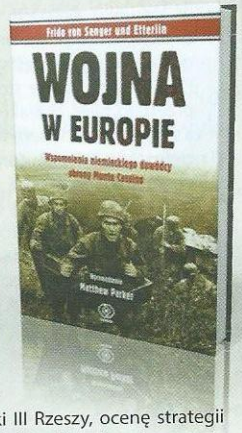

Frido von Senger und Etterlin „Wojna w Europie", opr. twarda, str. 472, wyd. Rebis. Cena: 47,70 zł

Wspomnienia niemieckiego dowódcy obrony Monte Cassino z okresu II wojny światowej. Generał Frido von Senger und Etterlin był postacią nietuzinkową. Zadeklarowane poglądy antynazistowskie nie przeszkodziły mu w byciu jednym z najskuteczniejszych generałów walczących pod rządami Hitlera. Pochodził z badeńskiej rodziny arystokratycznej. Podczas dwuletnich studiów w Oksfordzie zafascynował się Anglią. W autobiografii barwnie przedstawia swoje losy na frontach II wojny światowej, uzupełniając je niebanalnymi refleksjami. Czytelnicy znajdą tu informacje na temat specyfiki walk prowadzonych na wyspach, przemyślenia dotyczące przyczyn klęski III Rzeszy, ocenę strategii aliantów i nieczęsto prezentowany niemiecki punkt widzenia na kampanię we Włoszech.

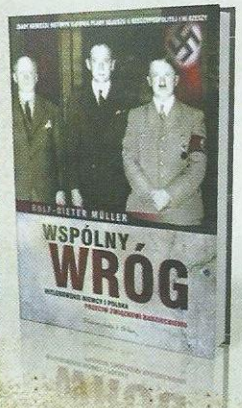

Rolf-Dieter Muller „Wspólny wróg", opr. miękka, str. 416, wyd. Prószyński i S-ka. Cena: 39,10 zł

Niemiecki profesor Rolf-Dieter Müller w pracy nad tą książką zbadał wiele nieznanych dotąd materiałów. Ich analiza doprowadziła go do zaskakującego, z punktu widzenia późniejszych wydarzeń, wniosku – Adolf Hitler chciał zawrzeć sojusz z Polską, aby wspólnie zaatakować Związek Radziecki. Autor opisuje intensywne zabiegi ze strony Niemiec mające na celu przeciągnięcie Polski na swoją stronę. Próby takie trwały aż do pierwszych miesięcy 1939 roku. Całkowity zwrot w planach Führera nastąpił dopiero po odrzuceniu warunków dotyczących Gdańska i korytarza eksterytorialnego. W związku z tym Hitler odłożył na później starcie ze Związkiem Radzieckim, postanawiając najpierw zaatakować Polskę.

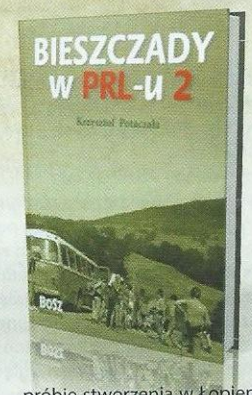

Krzysztofa Potaczała „Bieszczady w PRL-u 2", opr. twarda, str. 248, wyd. Bosz. Cena: 29,90 zł

Druga część zbioru reportaży o Bieszczadach w PRL-u. Krzysztof Potaczała przedstawia czytelnikom elektryzujące historie oparte głównie na relacjach świadków tamtych czasów, przeplatając je anegdotami i dokumentami, m.in. MO i SB. Autor opowiada m.in.: o dwóch pomnikach Świerczewskiego w Jabłonkach, Chacie Socjologa na Otryce, pierwszych namiotowych bazach studenckich i dzikiej osadzie w Caryńskiem, nielegalnie wzniesionym kościele w Nowosiółkach i nieudanej próbie stworzenia w Łopience wioski skansenowej, kulisach powstania i upadku kombinatu drzewnego „Ustianowa" i o podróżach pociągami pod sowieckim nadzorem.

Aleksander Smoliński „Mundur i barwy jazdy dywizyjnej oraz strzelców konnych Wojska Polskiego", opr. twarda, str. 318, wyd. Eko-Dom Sp. z o.o. Cena: 44 zł

W niniejszej publikacji autor podjął próbę opisania umundurowania i barw oddziałowych formacji jazdy dywizyjnej oraz strzelców konnych WP w XX międzywojennym. Na początku pracy przedstawił proces formowania się pierwszych formacji dragonów Wojska Polskiego. W drugim rozdziale podjął temat Szwoleżerów Armii Polskiej we Francji i ich zjednoczenia z krajową jazdą dywizyjną w 1919 roku. Trzeci rozdział zawiera ogólne uwagi o umundurowaniu i barwach jazdy WP z lat 1918-1919, a czwarty o formacji dragonów. W piątym, Autor omówił rzeczywisty kształt umundurowania formacji jazdy dywizyjnej w okresie 1919-1922. Ostatni rozdział dotyczy zmian barw oraz ogólnych przekształceń umundurowania strzelców konnych na tle munduru kawaleryjskiego w latach 1922-1939. Praca zawiera również niezwykle bogaty materiał ilustracyjny liczący kilkadziesiąt stron.

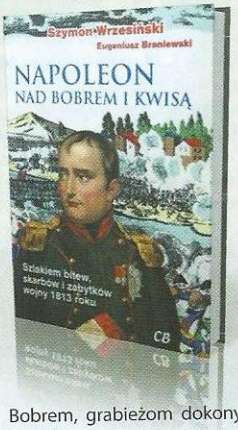

Szymon Wrzesiński, Eugeniusz Braniewski „Napoleon nad Bobrem i Kwisą", opr. miękka, str. 180, wyd. Agencja Wydawnicza CB. Cena: 29,40 zł

Szymon Wrzesiński i Eugeniusz Braniewski, znani badacze dziejów Dolnego Śląska opisują wydarzenia z pól bitew kampanii napoleońskiej 1813 r. nad Bobrem i Kwisą. Poszczególne rozdziały tej publikacji poświęcone są m.in. pobytowi Napoleona w Bolesławcu, Lubaniu oraz Lwówku Śląskim, zaciętej batalii o Wleń zakończonej pożarem miasta; tragicznym wydarzeniom dotyczącym bitwy pod Lwówkiem Śląskim, kwaterom dowódców w pałacach nad Bobrem, grabieżom dokonywanym w pobliskich miastach i wsiach, zaginionym skarbom z omawianego okresu; odważnemu adiutantowi hrabiemu von Nostitzowi, krwawym walkom w Dębowym Gaju, Niwnicach i Skale, pomnikom wojennym wzniesionym nad Bobrem i Kwisą, lwóweckim obchodom na cześć zwycięstwa nad Napoleonem czy też współczesnym tradycjom napoleońskim pielęgnowanym w Mojeszu.

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl, telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10-18) lub 42 634 89 93 (24 h – automat) lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

kolekcja ODKRYWCY

MAPA „MIĘDZYRZECKI REJON UMOCNIONY. ODCINEK CENTRALNY”
Wydanie zawiera, poza dokładną mapą topograficzną rejonu od Lubrzy do Chyciny, dwujęzyczny (polski i niemiecki) opis stałych budowli obronnych centralnego odcinka FF OWB a także opis wartych obejrzenia pobliskich miejscowości.

13,-

METALOWY KUBEK termiczny z uchem. Przykrywka z otworem do picia, środek metalowy. Pojemność 400 ml. Kolory: niebieski i czerwony.

20,-

Niezwykle elegancki pendrive USB o pojemności 4 GB. Czarny, skórzany zatrzask ochrania łącze. Duży, chromowany uchwyt ułatwia przypięcie pendriva do kluczy lub innego przedmiotu. Smycz w komplecie.

36,-

PŁASZCZ PRZECIWDESZCZOWY
Z zatrzaskami i kapturem. Dwustronny (możliwość wywrócenia na drugą stronę) żółto/granatowy. Z miękkiej nieprzemakalnej tkaniny gumowej; klejone, płaskie szwy. Napisy w kolorach żółtym i granatowym. Rozmiar XL, XXL

50,-

ORYGINALNA SMYCZ „ODKRYWCY”
Długość 47 cm; mocowanie do telefonu komórkowego plus karabińczyk.

6,-

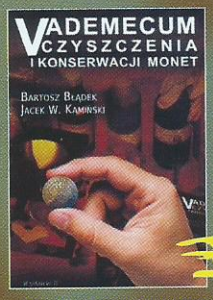

„VADEMECUM CZYSZCZENIA I KONSERWACJI MONET”
Pierwsza tak wyczerpująca temat pozycja na rynku polskim. Bogato ilustrowana ukazuje wiele praktycznych metod – krok po kroku. Do wykorzystania nawet dla mało doświadczonych kolekcjonerów. Metody prezentowane w książce można także zastosować do wielu innych, delikatnych, starych i zniszczonych wyrobów metalowych w tym, wydobytych z ziemi.

35,50

ORYGINALNA BLUZA „ODKRYWCY”
rozpinana na suwak, ze stójką, boczne kieszenie, napis haftowany. UWAGA: dostępne jedynie w kolorze granatowym i rozmiarze L.

45,-

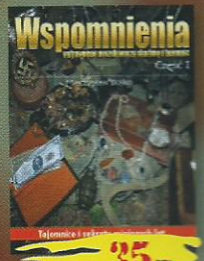

WSPOMNIENIA WYTRAWNEGO POSZUKIWACZA SKARBÓW I TAJEMNIC.
Książka opowiada o niezwykle ciekawych wątkach historii, o skrywanych przez wiele lat opowieściach i tajemnicach, a także o mitycznych skarbach.

35,-

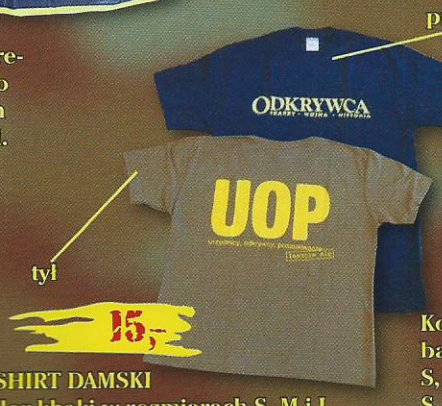

T-SHIRT DAMSKI
kolor khaki w rozmiarach S, M i L
kolor granat w rozmiarach S, M, L i XL

15,-

Koszulki „Odkrywcy” z miękkiej 100% bawełny. Kolor czarny w rozmiarach: S, M, L. Kolor oliwkowy w rozmiarach: S, M, L, XL. Koszulki idealne do wszystkich kamuflaży. Napis „Odkrywca” z przodu i z tyłu.

20,-

Oferta dostępna, aż do wyczerpania zapasów. Czas realizacji zamówienia do 4 tygodni. Zwrotów nie przyjmujemy.

ZAMÓWIENIE 6/173

Wypełnione zamówienie prosimy przesyłać na adres:
„ODKRYWCA”, ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław

nazwa artykułu	rozmiar	kolor	cena	ilość	wartość
				razem:	

Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi zamawiający.

imię i nazwisko .....

kod pocztowy ..... miejscowość .....

ulica ..... nr domu .....

telefon .....

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych do celów sprzedaży wysyłkowej w Kolekcji „Odkrywcy” zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych z 29.08.97

podpis zamawiającego .....

Wyrażam zgodę na wystawienie faktury VAT bez mojego podpisu

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71

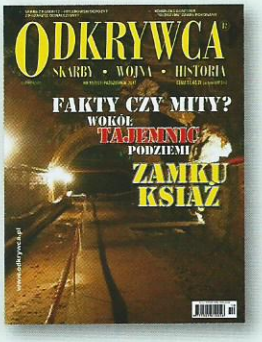

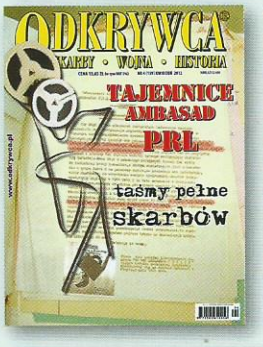

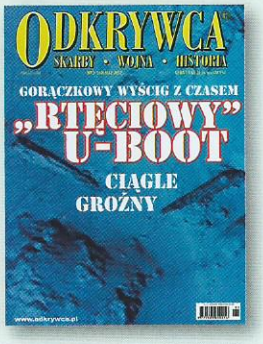

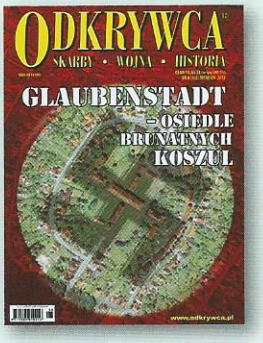

UWAGA PRENUMERATORZY!

Zachęcamy Państwa do wykupienia prenumeraty miesięcznika „Odkrywca”. Jest to gwarancja: ► stałej, niższej ceny ► szybkiej dostawy pod wskazany adres ► otrzymania upominków i dodatków – jedynie dla prenumeratorów.

Możecie zamówić i opłacić prenumeratę bezpośrednio online pod adresem: http://instytut.odkrywca.pl

Możecie także skorzystać z usług firm współpracujących:

- Poczta Polska
- Ruch

lub dokonać wpłaty bezpośrednio na nasze konto:
Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych (IBHiK) sp. z o.o.
ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin

Numer konta: **98 2490 0005 0000 4520 6153 2533**

Dla wpłacających z zagranicy:
BIC / SWIFT – ALBPPLPW

Przy zamówieniu i opłaceniu prenumeraty należy podać: dokładne dane adresowe oraz informację, od którego numeru ma się ona rozpocząć. Koszty manipulacyjne związane z zamówieniem i opłatą ponosi zamawiający.

Cena prenumeraty:
► krajowa roczna – 136,50 zł; półroczna – 68,25 zł
► zagraniczna półroczna: 102,25 – list zwykły, 132,25 zł – list priorytetowy. Roczna – dwa razy droższa.

Pytania prosimy kierować do Działu Prenumeraty wydawnictwa IBHiK: listownie na adres: Redakcja „Odkrywcy”, ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław z dopiskiem Dział Prenumeraty.
telefonicznie: 71 329 71 71,
e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

Uwaga! Do nabycia numery archiwalne:

- rok 2000 nr 4/21 – cena 5 zł za 1 egz.
- rok 2001 nr od 1/25 do 12/36 – cena 5 zł za 1 egz.
- roczniki 2002 do 2005 – cena 60 zł
- roczniki 2006 i 2007 – cena 84 zł
- roczniki 2008 i 2009 – cena 96 zł
- roczniki 2010 do 2011 – cena 108 zł
- Cena razem z kosztami wysyłki.

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych po cenie innej niż detaliczna, ustalona przez Wydawcę, jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71